



DAN KROKOS

OBCA PAMIĘĆ

False Memory

Tłumaczenie: Kinga Składanowska

Obca pamięć

Adamowi Lastorii - kumple na całe życie

W części restauracyjnej centrum handlowego znajduję policjanta opierającego się o filar. Omiata wzrokiem stoliki, obracając w palcach zawieszony na szyi gwizdek. Lewą dłonią wybija takt na udzie. Według identyfikatora na ubraniu nazywa się C. Lyle.

Podchodzę do niego. Mija dobre pięć sekund, zanim przenosi na mnie spojrzenie.

- Witaj - mówię. - Straciłam pamięć. Zastanawiałam się, czy mógłbyś mi pomóc.

- Straciłaś pamięć? - pyta.

Nie wiem dlaczego. Przecież usłyszał mnie całkiem wyraźnie.

- Tak. Nie mam pojęcia, gdzie powinnam się teraz znajdować - mówię.

Policjant prostuje się, odpychając plecami od filaru. Kępkę kędzierzawych włosów pokrywają jego podbródek, na czole widać ślady po trądziku - nie do końca pomyślnie udało mu się przejść przez okres dojrzewania.

- Jak się nazywasz?

- Miranda North.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście.

Kącik jego ust unosi się ku górze, a ja wiem, że jego uśmiech jest fałszywy, bo nikt nie robi tego w ten sposób. Tyle przynajmniej pamiętam.

- Wygląda na to, że nie zapomniałaś wcale tak dużo. Pamiętasz, kim jesteś.

W połowie ma rację. Pamiętam nazwisko i wiek. Pamiętam też, kim jest policjant w centrum i parę innych rzeczy. Nie pamiętam jednak całej reszty swojego życia. Mam tylko nadzieję, że to normalne u kogoś z amnezją.

Thum pulsuje za moimi plecami, każąc mi przysunąć się o krok bliżej do C. Lylea. Próbuje się odciąć od

mrowia ludzi. Przebywanie na otwartej przestrzeni sprawia, że dostaję gęsiej skórki, choć nie mam pojęcia dlaczego.

- Nie pamiętam niczego więcej - mówię.

To prawda. Tego ranka obudziłam się na ławce, wpatrując się w wieżowiec Terminal Tower. Wiem, że znajduję się w Cleveland. Moją pierwszą myślą było to, że obudzenie się w Cleveland z całkowitą utratą pamięci nie mogło wróżyć niczego dobrego. Nie w San Diego czy Dallas albo jakimś innym miejscu, gdzie słońce świeci więcej niż trzy dni w ciągu roku. Jedyнным logicznym powodem, dla którego tu jestem, to fakt, że w Cleveland jest mój dom.

Wiem, że nazywam się Miranda North i weszłam w drugą połowę siedemnastego roku życia. W kieszeni mam czterysta dolarów w gotówce.

- Dlaczego miałabym kłamać? - pytam.

- Dlatego że jesteś dzieciakiem, a dzieciaki lubią droczyć się z ochroną.

Nie rozumiem, po co tak gada. Skoro chce, żebym sterczała tutaj, dopóki będzie wreszcie zmuszony się mną zająć, mogę dalej grać w tę grę.

Po tym, jak włóczyłam się przez jakiś czas po mieście, znalazłam lustro w publicznej toalecie i nie rozpoznałam widocznej w nim dziewczyny. Oczywiście wiedziałam, że ja to ja. Gdyby ktoś jednak spytał, jakiego koloru były wcześniej moje włosy, nie potrafiłabym udzielić właściwej odpowiedzi. Są brązowe z czerwonymi refleksami i sięgają nieco za ramiona. Jestem umięśniona, jakbym cały czas trenowała na siłowni. Kontury mięśni mojego brzucha są doskonale widoczne nawet bez napinania. Nie jestem zwałista, ale też nie ma we mnie nic miękkiego. Możliwe, że jestem gimnastyczką. Oczywiście mam tego samego koloru, co włosy, a to wydaje się nieco dziwne.

Potem zjawiłam się w centrum handlowym. Z początku czułam się wspaniale - nie bałam się niczego, bo nie wiedziałam, czego należy się bać. Utrata pamięci mogła być tymczasowa. Później zauważyłam, że moje oczy automatycznie szukają miejsca, w którym mogłabym się ukryć. Taksują twarze, oceniają ich wyraz jako przyjazny lub groźny. Obserwują sposób, w jaki ludzie się poruszają, sprawdzając, czy nie chcą mnie zaatakować.

Paranoja - pomyślałam. Toczyłam wewnętrzną walkę, by zachować pozory opanowania. Od środka cała się gotowałam, przeskakując spojrzeniem od jednej rzeczy do drugiej i czepiając się uspokajających myśli.

W końcu nie mogłam już tego znieść, musiałam poprosić kogoś o pomoc. Wjechałam ruchomymi schodami na drugie piętro, na którym mieściła się część restauracyjna. Znalazłam stolik w rogu, przy którym mogłam odpocząć i pomyśleć. Wtedy zobaczyłam C. Lyle a opierającego się o filar.

- Niech pan pozwoli mi... skorzystać z telefonu czy coś w tym stylu.

Może, gdy wezmę telefon do ręki, moje palce wpiszą numer, którego nie potrafi przypomnieć sobie mój mózg.

C. Lyle przygląda mi się uważnie po raz pierwszy od początku naszej rozmowy. Wygląda to tak, jakby jego brwi chciały się pocałować między oczami.

- Nabijasz się ze mnie?

Staram się zachować spokój i rozsądek, lecz wrażenie pustki w mojej piersi rozprzestrzenia się. To strach, że mogę już nie przypomnieć sobie, kim jestem.

Mam głowę wypełnioną tą okropną myślą, zaczynając mnie boleć oczy, zupełnie jakbym wpatrywała się

zbyt długo w słońce. Ucisk rozlewa się po wewnętrznej stronie mojej czaszki i przechodzi w uporczywy ból głowy, który w tej chwili jest mi wyjątkowo nie na rękę. Mrugam kilka razy. Gdzieś ponad moim ramieniem ustawia się kolejka do Charleys.

- Nie - mówię. - Wcale nie. Miałam nadzieję, że za chwilę wróci mi pamięć, ale tak się nie stało. Naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy.

C. Lyle wskazuje palcem na torbę w mojej dłoni.

- Straciłaś pamięć, ale mimo wszystko znalazłaś czas na zrobienie zakupów?

Ja również spoglądam na torbę.

- Miałam przy sobie trochę gotówki i pomyślałam, że kupię parę rzeczy.

Kup parę ciuchów w centrum. Zachowuj się normalnie. To była część planu mająca na celu powstrzymanie chęci wyrzucania się do najbliższego kosza na śmieci.

Policjant wskazuje na podłogę.

- Postaw to.

Robię, co każe.

Przykłęka i otwiera torbę, a potem unosi pytająco brew.

- Czy w środku jest coś, co może zrobić mi krzywdę?

- Co takiego? Nie. - Sposób, w jaki na mnie patrzy, jakbym była przestępcą, sprawia, że robi mi się zimno.

- Jesteś pewna?

Ból umiejscowiony za moimi oczami przybiera na sile. Towarzyszy temu wrażenie, jakby rozpalona do czerwoności szpilka torowała sobie drogę do moich zątków. Nie przypomina zwykłego bólu głowy, ale być może sama nie pamiętam, czym jest taki zwykły ból. Biorę płytki wdech i trę oczy, podczas gdy C. Lyle grzebie

w mojej torbie. Wyciąga z niej czerwony stanik, za który zapłaciłam czterdzieści dolarów.

- Straciłaś pamięć, ale miałaś czas, żeby kupić sobie stanik? - pyta.

Ktoś wpada na mnie od tyłu. Zamiast trącić go łokciem, robię krok do przodu, co z jakiegoś powodu jest moją pierwszą instynktowną reakcją. C. Lyle nie patrzy na mnie. Jest zajęty gapieniem się na błądy fragment skóry widoczny pomiędzy ramiączkami mojego czarnego topu.

- Mam mnóstwo czasu - mówię. - Jak już wspominałam, nie wiem, gdzie w tej chwili powinnam przebywać.

Zadowolilibym się nawet kłamstwem, kilkoma przynoszącymi pociechę słowami. „Wszystko będzie dobrze, Mirando”.

C. Lyle widzi, że reszta rzeczy w torbie to ubrania. Kupiłam je, żeby mieć się w co przebrać. Skoro miałam podszywać się pod zwykłego klienta, to równie dobrze mogłam kupić sobie nową parę dżinsów.

Mężczyzna wstaje i otrzepuje dłonie, jakby były brudne.

- Wynoś się. Nie jestem tu po to, żebyś ze mną pogrywała. A jak nie, to sam cię stąd wyprowadzę.

Otwieram usta. Nie rozumiem. Właśnie powiedziałam mu, że niczego me pamiętam, a on próbuje się mnie pozbyć, jakby miał w tej chwili coś ważniejszego do roboty.

- Proszę - mówię. - Naprawdę nie wiem, co mi się stało.

Gdybym wiedziała, może wszystko byłoby w porządku.

Możliwe, że wtedy zapełniłaby się ta pustka w moim wnętrzu. Albo przynajmniej przestałaby mnie boleć głowa.

C. Lyle kładzie dłoń na moim ramieniu. A potem zaciska palce.

Chwilę później czuję się tak, jakby w moim ciele ktoś umieścił drut fortepianowy sięgający od czubka głowy aż po stopy. Drut pęka. Kładę obie dłonie na jego ręce i wciskam ją w swoją klatkę piersiową. Obcasy moich czarnych butów szorują po podłodze, gdy obracam się w jego stronę, w dalszym ciągu trzymając go za rękę. Ustawiam się plecami do niego. Ciągnę go za biodrem w jego udo.

Przerzucam go ponad sobą, a on wierzga, jakby jechał na rowerze do góry nogami.

C. Lyle ląduje z hukiem na plecach, wyrzucając z siebie gwałtowny, pełen śliny oddech.

Stoję nad nim jak ogłupiała. Jedna myśl jarzy się w mojej głowie jak neon: *Mam kłopoty.*

Wyraz jego twarzy jest identyczny jak mój. Nie licząc obszaru bezpośrednio wokół nas, życie w części restauracyjnej toczy się dalej. Kolejka do Charleys powiększa się. Jakiś dzieciak rozlewa swój napój, a matka grozi mu palcem i krzyczy. Ktoś zwinął w kulkę opakowanie, wycelował nim w kosz, spudłował i zostawił na podłodze.

C. Lyle gmera nerwowo w poszukiwaniu broni, próbuje odpiąć sprzączkę.

Muszę go powstrzymać. Muszę mu pokazać, że wcale nie chciałam tego zrobić. Nie mam pojęcia, dlaczego tak postąpiłam. Udaje mu się jednak odpiąć sprzączkę i sięgnąć palcami do broni. W tym momencie przestaję logicznie myśleć.

Wyrzucam do przodu rękę, dłonią do góry.

- Zaczekaj!

Gdy to mówię, ból za moimi oczami powraca, silniejszy niż przedtem. Zaciskam mocno powieki, ale nie przynosi to ulgi. Mój mózg zamienił się ogromny pło-

nący węgieł. Jakimś cudem ból i gorąco wypromieniowują się z wnętrza mojej głowy. Czuję, jak rozchodzą się wokół mnie, poruszając falami, choć to całkiem niemożliwe.

C. Lyle zastyga na podłodze z dłonią zaciśniętą na rękojeści broni. Oczy wylażą mu na wierzch, a całe ciało zaczyna drgać. Dzięki Bogu jego ręka dygocze zbyt gwałtownie, by mógł wyciągnąć broń. Ludzie wokół niego wycofują się, zamiast pomóc, a sekundę później sami zamierają w miejscu.

A potem zaczynają uciekać.

C. Lyle przewraca się na brzuch. Próbuje podeprzeć się na jednej nodze i wstać, ale ślizga się i znów pada na podłogę. Ogień w mojej głowie zaczyna się rozprzestrzeniać, uwalniając ciśnienie wraz z każdym impulsem, przynosząc mi krótkotrwałą ulgę.

Ludzie uciekają ode mnie w popłochu, uciekają od nas. Dudniące walenie stóp drażni moje bębunki. Z bólu zaczynają mi łzawić oczy, automatycznie zaczynam szukać wyjścia awaryjnego. Nie udaje mi się jednak znaleźć drogi ucieczki. Wszędzie widać tylko twarze z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami pełnymi paniki.

To strach. Ale przed czym? Odwracam się na pięcie, szukając kogoś przy zdrowych zmysłach. Kogoś, kto powie mi, że wszystko jest w porządku. Zamiast tego widzę biegnącego przed siebie mężczyznę z głową wykręconą przez ramię, ślepego na srebrną barierkę stojącą tuż przed nim. Uderza w nią. Jego stopy odrywają się od ziemi, a on przelatuje ponad barierką. Podeszwy jego butów są wycelowane w sufit, gdy zaczyna spadać. Krzyki nie zagłuszają wcale głuchego odgłosu ciała uderzającego w podłogę.

Zakrywam dłonią usta. Identyczna sytuacja ma miejsce chwilę później. Nad barierką przelatuje kobie-

ta. Jej beżowa torebka unosi się w powietrzu. Monety i klucze rozpryskują się dokoła, migocząc w ostrym świetle. Skupiam się na tym, na torebce wirującej w powietrzu.

Obserwuję, jak znika za krawędzią.

Spada coraz więcej osób, więc skupiam wzrok na świetlikach otaczających jaskrawoniebieskie niebo. Maty chłopczyk woła mamę. Jego głos dociera do mnie i kieruje moją uwagę z powrotem w stronę masowej hysterii. Chłopczyk znów krzyczy: „Mamo! MAMO!”, ale wokół panuje zbyt wielki hałas. Zbyt wielu ludzi biega we wszystkich kierunkach, by ktoś mógł go odnaleźć. Odrętwiałe stopy prowadzą mnie do krawędzi, gdzie za ciskam dłonie na zimnej, metalowej rurce, która miała za zadanie ochraniać ludzi. Piętro niżej widać podłogę zaścieloną powykęcanyimi, nieruchomymi ciałami.

Odsuwam się i wracam szybko do części restauracyjnej, z trudem przelękając ślinę, by stłumić odruch wymiotny.

Nawet ci, którzy nie widzieli mojej potyczki z C. Lyleem, zaczynają biec. Jak rozszerzająca się fala z mojej głowy, ludzie w najdalszym krańcu centrum sztywnieją, a potem zrywają się z miejsc i rozbiegają na wszystkie strony. Wielu z nich krzyczy. Część zakrywa usta dłońmi, by powstrzymać wrzask, zupełnie jak ja. Docierają do mnie jedynie urywki ich słów - „pomocy”, „co się dzieje?”, „mamo, gdzie jesteś?”, „na pomoc, ktokolwiek!”.

C. Lyle podnosi się i chwiejnym krokiem, jakby był pijany, rzuca w stronę ruchomych schodów. Prawie potyka się o dwójkę mężczyzn kłębiących się na podłodze. Ostatnich dwóch. Patrzą, jak odrywają się od siebie i turlają w przeciwnych kierunkach. Oddychają z trudem, gwałtownie łapiąc powietrze. Jednemu udaje się wstać i zbiec po schodach. Drugi zaczy-

na pełznąć ku nim, ciągnąc za sobą prawą nogę. Ostatnie, co widzę, to jego but.

Gdzieś w części restauracyjnej na ziemię spada taca. Napój rozlewa się po podłodze.

Z początku sala wydaje się pusta, nie licząc torebek i tac z jedzeniem, które zostawili za sobą ludzie.

Mimo to nie jestem sama.

Na środku sali, pośród porzuconych stolików i krzeseł, siedzi chłopak mniej więcej w moim wieku. Przed nim stoi porcja kurczaka mango z Ru by Thai. Jest szczupły i ma najbardziej wyrazistą twarz, jaką dotychczas widziałam. Twarz jak z konkursu piękności. Czarne włosy ma gęste, nieco przydługie i wijące się lekko w okolicach karku. Biała koszulka opina ciało składające się wyłącznie z mięśni i skóry.

Macha do mnie ręką, jak gdyby nic się nie stało. Stoję w miejscu przez chwilę jak wryta. W końcu chłopak przyzywa mnie zapraszającym gestem.

A zatem wie, kim jestem. Musi wiedzieć. Nie ma żadnego innego powodu, dla którego miałby tu siedzieć, zamiast uciekać. Możliwe, że wie, dlaczego straciłam pamięć. Możliwe, że wie, do czego właściwie przed chwilą doszło. Być może orientuje się, czemu ci wszyscy ludzie wypadli za barierkę i prawdopodobnie są martwi. Może też wiedzieć, że to moja wina.

Ruszam w jego stronę, przechodząc nad porzuconymi krzesłami. Część mnie zastanawia się, czy nie powinnam czasem iść w odwrotnym kierunku. Zerkam co jakiś czas na chłopaka, śledząc każdy jego ruch, i przez to wchodzę w kałużę coli. Moja prawa stopa lepi się potem przy każdym kroku. W końcu docieram do jego stolika i opadam na krzesło naprzeciwko niego.

- Hej - mówię, starając się zachować zimną krew. Nie wiem, czego boję się bardziej - odkrycia prawdy czy

tego, że jej nie poznam. Składam dłonie na udach, żeby przestały się trząść.

Za i pode mną, na niższym piętrze galerii handlowej, ludzie w dalszym ciągu biegają i krzyczą. Ich panika odbija się echem od sufitu.

- Hej - odpowiada chłopak. Jego niebieskie oczy są zdumiewające. Wyglądają niemal jak sztuczne. Jak jaskrawo- niebieska farba.

Wtedy wyczuwam jego zapach, na który składają się pot, mydło i coś jeszcze. Kwiaty? Nie jakieś tam kwiaty - róże. Teraz, kiedy rozpoznaję tę woń, uświadomiam sobie, że unosiła się w powietrzu od momentu, w którym zaczęła boleć mnie głowa.

- Używasz perfum? - pytam.

- To przez psychiczną energię. Wchodzi w interakcję z układem limbicznym, więc z jakiegoś powodu czujesz zapach róż.

Milczę. Czeka na reakcję z mojej strony, ale nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Zagiął mnie już przy słowach „psychiczna energia”.

- To... my ją czujemy i oni ją czują, ludzie, na których energia wywiera wpływ. To tylko dziwny skutek uboczny. Jak tam twoja głowa?

- Mam wrażenie, jakby stała w ogniu.

- O tak, robi się całkiem gorąco.

Siedzimy dalej jak gdyby nigdy nic. W pewnym momencie szkło tłucze się gdzieś i rozsypuje z brzękiem na podłogę.

Chłopak przygląda mi się spod czarnych brwi, które nie są ani grube, ani do końca cienkie. Jest zupełnie tak, jakby miał dwie twarze - od nosa w dół jest rozbawiony, ale jego oczy przyglądają mi się badawczo.

- Według ciebie to takie zabawne? - pytam.

Marszczy brwi.

- To chyba najmniej zabawna rzecz, jaką jestem sobie w stanie wyobrazić.

Umieram z głodu i potrzebuję zająć czymś ręce, więc porywam kawałek jego kurczaka. Smakuje jak popiół. Po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, czy cokolwiek z tego wszystkiego jest prawdą. Gdyby lekarz w białym kitlu powiedział mi teraz, że przeżyłam załamanie nerwowe, prawdopodobnie bym w to uwierzyła.

- Wyjaśnij mi, co się właściwie stało - mówię.

- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

- Nie mam pojęcia. - Znów to widzę: dudniące w posadzkę stopy, młóćące powietrze ramiona. Spadający ludzie.

Damską torebkę frunącą w powietrzu. - Ci wszyscy ludzie...

Chłopak powoli kręci głową.

- To nie twoja wina.

Jego twarz mówi jednak co innego. Sprawia wrażenie spokojnego, ale usta ma zaciśnięte w przykrym grymasie.

Oczywistym jest dla mnie fakt, że próbuje ukryć swoje przerażenie. Teraz mam już pewność, że cała ta panika wybuchła z mojej przyczyny. W jakiś niewytłumaczalny sposób.

- To nie twoja wina - powtarza, jakby próbował przekonać samego siebie. Nie? - Mam mokre policzki. Rozmazuję łzy opuszkami palców.

Pochyla się do przodu i odsuwa tacę, zanim zdążę wzięć więcej kurczaka.

- A jak z twoją pamięcią?

A więc wie. Tylko jakim cudem? Pełen podekscytowania dreszcz przeszywa mnie na myśl o odpowiedzi, zmniejszając na chwilę niepokój.

Obca pamięć

- Zniknęła - mówię zdartym głosem. Biorę wdech i wstrzymuję powietrze, zmuszając swoje dłonie do pozostania w bezruchu.

- Zdażyłem się tego domyślić.

- Naprawdę?

Siedzimy tak jeszcze przez jakiś czas. Centrum handlowe jest teraz pogrążone w grobowej ciszy.

- Masz jakieś imię? - pytam ostrzejszym tonem, skoro wygląda na to, że nie ma zamiaru udzielić mi użytecznych informacji.

- Peter.

- Peter...?

- Na razie tylko Peter - mówi.

Niedorzeczność sytuacji w końcu do mnie dociera. Nie obłąd, jakiego doświadczyłam wcześniej, lecz fakt, że siedzę ; teraz z „Peterem”, a on rozprawia o utracie pamięci i psychicznej energii. Czuję, że jakieś paskudne przecucie rodzi się gdzieś w moim wnętrzu. Prawda jest blisko, a ja nie wiem, czy jestem na nią gotowa.

- Mam na imię Miranda. - Kładę dłonie na udach i ściskam je, by powstrzymać się od wiercenia.

- Wiem,

- Co się właściwie stało? - pytam.

Pociera dłońmi twarz i przeczesuje jedną włosy, a potem opiera się o swoje krzesło.

- Uwolniłaś falę psychicznej energii, która wywarła wpływ na mózgi wszystkich ludzi w centrum, konkretnie na ich jądra migdałowe i korę przedczołową. Energia wywołała zbiorową panikę, unicestwiając pozostałe odruchy aż do dianu, w którym pozostało jedynie czyste przerażenie. Potrafiłaś to kontrolować, zanim zapomniałaś, jak się to robi. Kiedy poczułaś zagrożenie ze strony policjanta, twoja reakcja była automatyczna.

Obca pamięć

- Kłamiesz. - Sama nie wymyśliłabym bardziej niedorzecznego wytłumaczenia. Nie

rozumiem nawet słowa z tego, co on przed chwilą powiedział. Gdybym mu jednak nie uwierzyła, nie siedziałabym teraz w bezruchu na tym plastikowym krześle. Gdybym obudziła się w Bostonie, nie byłoby mnie In teraz i nie musiałabym słuchać tego pomyłonego chłopaka, opowiadającego mi pomyłone historie.

Peter mruga do mnie, wykazując się cierpliwością.

- Później wytłumaczę ci więcej, ale musimy już iść. Natychmiast.

Podnoszę się z miejsca. Krzesło skrzypi pode mną, zbyt głośne w tej wielkiej, pustej przestrzeni.

Dlaczego niczego nie pamiętam?

- Dlatego że nie brałaś zastrzyków. Albo dlatego, że twoje zastrzyki nie do końca były zastrzykami.

Moje zastrzyki nie do końca były zastrzykami. Chłopak pachnący różami, imieniem Peter, okrąża stół i ujmuję mnie za ramię. Strząsam z siebie jego dłoń i prawie uderzam go w pierś, ale udaje mi się przed tym powstrzymać. Moje ciało znowu wibruje. Czuję się tak, jak czułam się na sekundę przed powaleniem policjanta na ziemię.

Chłopak wpatruje się we mnie, aż w końcu odwracam wzrok.

- Spokojnie - mówi. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Skąd mam to wiedzieć? Tracę pamięć, a ty po prostu czekasz tu na mnie, rozmyślając nad kurczakiem?

Wzrusza ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Zaczyna się oddalać, wołając do mnie, ale nie odwracając się.

- Idziemy, Mirando.

Zapach róż słabnie, zupełnie jakby pochodził od niego.

Stoję w miejscu jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy powinnam zaufać jemu, skoro nie ufam samej sobie.

Nie mogłam tu jednak zostać. Jeśli on wie o mnie coś więcej, pozostaje mi tylko jedno wyjście.

- Jeśli z tobą pójdę, powiesz mi, co się stało?

- Opowiem o wszystkim - obiecuje. Wchodzi na ruchome schody i znika mi z oczu.

Mogę zostać tu i nie otrzymać żadnych odpowiedzi na swoje pytania albo zaryzykować i pójść za tym obłąkanym, nieustraszonym chłopakiem.

Jak dla mnie, to żaden wybór.

Ciała ukazują się moim oczom, gdy ruchome schody zwożą nas na dół. Jest ich pięć. Leżą oddalone od siebie w równych odstępach. Beżowa torebka kobiety jest tuż obok jej głowy, leży w aureoli z kałuży krwi. Ręka pierwszego mężczyzny, który wypadł zza barierki, jest wygięta i schowana pod jego ciałem. Posiniaczoną twarz ma przyciśniętą do podłogi. Żadne z nich nie daje znaku życia.

Schody napierają na moje pięty, ale nie chcę się ruszyć, czekam, aż minie fala oszołomienia. Kilka mrugnięć powiekami nie załatwia sprawy. Peter idzie dalej, taksując wzrokiem otoczenie w sposób, w jaki sama to robiłam, gdy tu dotarłam.

- Mamy ich tu tak po prostu zostawić...? - mówię, bardziej do siebie niż do niego.

Peter dostrzega wreszcie, że się zatrzymałam, wraca i chwyta mnie łagodnie za rękę. Wyrrywam się z jego uścisku i idę w kierunku ciał.

Znów łapie mnie za rękę i unosi ją wysoko.

- Nie możesz im pomóc. - Wykręca mi ramię do góry, przytrzymując w miejscu. Ma odsłonięty brzuch. Mogłabym go teraz walnąć z całej siły i zwać.

Twardy, zdecydowany wyraz znika na ułamek sekundy z jego twarzy. Marszczy czoło i zaciska powieki, jakby pomysł pozostawienia tych ludzi sprawiał mu fizyczny ból. Gdy znów otwiera oczy, twarz ma rozchmurzoną. Widoczny na niej cień emocji był tak ulotny, że zastanawiam się, czy w ogóle coś poczuł.

- Wybacz, ale musimy już iść.

Kiwam głową, niezdolna wykrztusić słowa. Część mnie, ta tchórzliwa część, Cieszy się z faktu, że mnie stąd zabiera. Druga go za to nienawidzi.

Idziemy szybko przez pustą galerię.

- Peter, kim ty właściwie jesteś? - Staram się nadać swojemu głosowi lekki ton, ale tak naprawdę jestem o krok od skrzeku.

- Przyjacielem.

- No tak. Wybacz, jeśli w to nie wierzę.

Z marszu przechodzimy w trucht.

- Myślę, że jednak wierzysz - mówi.

- Dlaczego?

Wyprzedza mnie.

- W końcu idziesz razem ze mną, prawda?

Zaczyna biec. Z łatwością dotrzymuję mu tempa. Witryny sklepów migają obok nas. Część jest pusta, pozostałe zostały zajęte przez uciekinierów, którzy kulą się i tłoczą wraz z innymi. Przed oczami migają mi podrapane twarze. Słyszę stłumione szlochanie. Chcę do nich wrócić, ale Peter znów by mnie odciągnął. Uderza we mnie poczucie winy - gdybym tylko mogła powiedzieć im, że będzie dobrze. Ze już po wszystkim. Że złowroga psychiczna energia zniknęła. Omiąam nastolatka leżącego na boku, który pojękuje i trzyma się za rękę.

- Dokąd idziemy? - pytam, skoro rezultatem mojego pierwszego pytania była odpowiedź w zaledwie trzech słowach.

- Na początek jak najdalej stąd. Wszystko w swoim czasie.

Przestaje biec. Peter robi jeszcze kilka kroków, a potem - Co znowu?

- Nie oczekuj, że ot tak za tobą pójde. Powiedz, dokąd się wybieramy, albo idź sam.

- Wracamy do domu, Mirando. Pamiętasz, gdzie to jest?

- Nie...

- Tak też myślałem. A teraz chodź.

Wzdycham, a potem doganiam go w pośpiechu.

Wychodzimy przez sklep ze sprzętem sportowym. Gdy wyłaniamy się na zewnątrz w gasnącym popołudniowym świetle słońca, policyjny radiowóz wyjeżdża z piskiem opon z za zakrętu, jadąc prosto w naszą stronę. Parking jest pełen ludzi, którzy uciekli tędy z centrum. Tłoczą się między samochodami. Mężczyzna stojący najbliżej nas mruga gwałtownie i przeciera oczy, spoglądając w niebo. Reszta wygląda tak, jakby właśnie wybudziła się z koszmaru na potwornym kacu.

Policjant zatrzymuje się kilka stóp dalej. Jak można się było tego spodziewać, wybrał nas, żeby porozmawiać. Możliwe, że stanie tuż przy wejściu ma z tym coś wspólnego.

Peter odwraca się do mnie z rozbawionym i jednocześnie niezadowolonym wyrazem twarzy.

- Ładna robota, North.

- To był twój pomysł, żeby wyjść tą drogą - przypominam mu.

Policjant otwiera drzwi i wysiada z radiowozu. Domyślałam się, że w telefonie z wołaniem o pomoc nie podano zbyt wielu szczegółów, więc nie ma pojęcia, że to ja jestem wszystkiemu winna. Mimo to dłoń położył na broni, plecy ma wyprostowane, a krok pewny.

Obca pamięć

- Nie ruszać się - mówi, choć tkwimy w bezruchu.

Przypomina mi mojego starego znajomego C. Lyle'a.

- Co się stało? - pyta.

Koszmar.

- Nie wiem. Wszyscy nagle spanikowali i uciekli. Myślę, że część ludzi nadal jest w środku.

- Czy są ranni?

Tak. Z mojego powodu. I nie tylko ranni - połamani. Martwi.

Ta myśl boli, ale wciąż mam spokojny wyraz twarzy. Skoro Peter to potrafi, ja również.

- Nie wiem - mówi Peter. - Siedzieliśmy w ukryciu, dopóki wszystko nie ucichło. Nie mamy pojęcia, co się stało.

Policjant kiwa głową kilka razy. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę.

- W porządku. Chcę, żebyście tu zaczekali. Przy moim radiowozie. Wejdę do środka, żeby się rozejrzeć.

- Nie ma sprawy - mówi Peter.

Policjant mijają nas i wchodzi do centrum. Drzwi zamykają się za nim ze świstem.

Syreny wyją w oddali, z sekundy na-sekundę coraz głośniejsze. Zostało nam jakieś dwadzieścia sekund, zanim tu dojadą. Nie ma powodu, żeby radiowóz nie oddalał się od miejsca przestępstwa, do którego właśnie wezwano kolejny. Odejście stąd pieszo byłoby bardziej ryzykowne. W zależności od tego, co zgłoszono policji, funkcjonariusze mogli nas zatrzymać.

- Chcesz prowadzić? - pyta Peter.

- Pewnie, czemu nie. - Wcale me wygląda na zmartwionego, więc udaję to samo. Podchodzimy do drzwi radiowozu i wsiadamy do środka. Peter zamyka leżący na tablicy

rozdzielczej laptop i wyjmuje z tyłu kabel.

W środku pachnie zwietrzałą kawą i potem. Wrzucam bieg, nie mając pewności, czy potrafię prowadzić, dopóki lego nie zrobię, i kładę stopę na pedale gazu.



Udaje nam się opuścić teren centrum. Okraczamy je i mijamy pozostałych policjantów. Dzięki Bogu, żaden z nich nie rozpoczyna pościgu.

- Skręć w prawo, gdy już wyjedziesz z parkingu - instruuje Peter.

Jesteśmy w południowej części miasta, właściwie na przedmieściach. Próbuję przypomnieć sobie, jak dotarłam tutaj z centrum, ale nie potrafię. Moje krótkotrwałe wspomnienia to stanowczo za mało. Zdają się dryfować w umyśle, a potem stopniowo zanikać.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Peter wyciąga rękę i dźga mnie strzykawką, wciskając do potowy tłok. I to w dodatku, kiedy prowadzę samochód.

- Ala!

Zdejmuje lewą rękę z kierownicy i uderzam go w nos, a potem wyrywam strzykawkę z ramienia, poświęcając całą pełną sekundę uwagi widocznemu w środku płynowi w kolorze lemoniady. Chwilę później wbijam igłę w jego udo i wciskam tłok. A wszystko to z jednoczesnym podparciem kierownicy kolanem i utrzymaniem prędkości.

- Wziąłem już swój zastrzyk - mamrocze Peter przez dłonie zaciśnięte na nosie.

- Jaki zastrzyk? - Głos mi się załamuje. Bardziej jestem zaszokowana tym, jakim cudem udało mi się

wbić mu igłę w trakcie jazdy. Nie mam pojęcia, gdzie się tego nauczyłam. To kolejna obca dla mnie rzecz, jak wtedy, gdy odruchowo przeczesywałam pomieszczenie w poszukiwaniu dróg ucieczki i wrogów. Wyłączały się wszystkie myśli. Pozostawało jedynie działanie. Gdy się nad tym nieco zastanowić, było to przerażające. Nie mam pojęcia, co to znaczy ani jak to możliwe. Nie wiem nawet, co było w tej cholernej strzykawce.

Krew ścieka Peterowi po nadgarstku.

- Nie złamałaś mi nosa.

- To źle.

- Przeciwnie, to dobrze - mówi. - Bo ja złamałbym twój.

- Uderzyłbyś dziewczynę?

Walczymy ze sobą przez cały czas. - Peter wyciera zakrwawioną dłoń o moje udo, a potem opuszcza szybę i wypluwa czerwoną bańkę. Ta zatacza łuk w powietrzu i znika za radiowozem.

- Chciałem podać ci lekarstwo bez konieczności wszczynania kłótni. Poza tym rozpuszczone w wodzie smakuje okropnie. - Znów wyciera nos.

- Jakie lekarstwo? - pytam, czując się źle przez to, że go uderzyłam. Skręcam w prawo. Nie bardzo wiem dlaczego. Ruch na drodze jest niewielki, a niebo jaskrawoniebieskie. Przypomina mi o świetlikach w galerii handlowej i ludziach wypadających za barierkę. O głosie małego chłopca wołającego matkę. Zamiast (ego skupiam się na podwójnej żółtej linii na jezdni.

- Takie, które pomaga nam pamiętać. Jestem taki jak ty, Mirando. Jesteśmy tacy sami.

Chcę mu wierzyć, ale nadał nie wiem, co to znaczy.



Po kilku minutach jazdy i milczenia Peter wskazuje na zaułek między dwoma odrapanymi budynkami. Cegły na poziomie ulicy są brudne.

- Tutaj będzie dobrze - mówi.
- Dobrze na co?
- Na zatrzymanie się.

Skrećam w zaułek, rozgniatając prawą oponą mokre kartonowe pudło. Mam nadzieję, że to nie był czyjś dom. Wybadamy z auta, szorując drzwiami o cegły. Peter podchodzi do zardzewiałej drabiny przyśrubowanej do budynku.

- Co teraz? - pytam.
- Wspinamy się na górę, zanim ktoś nas zobaczy. Potem porozmawiamy, obiecuję.

Gdy nie ruszam się z miejsca od razu, chwyta jeden z wylej położonych szczebli i opiera się o niego.- Proszę. Jeśli nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia, zejdziemy na dół i każde pójdzie w swoją stronę. Zgoda?

Całkiem uczciwa propozycja. Nie sądzę, by moja ciekawość pozwoliła mi odejść, nawet gdybym chciała. Jeśli można nazwać ciekawością potrzebę odkrycia, kim się naprawdę jest.

Dołączam do Petera na drabinie. W miarę wspinaczki pytania kotłują się w mojej głowie, żądając odpowiedzi, ale mogę poczekać jeszcze trochę.

Dach jest pokryty gruzem. Gdzieś wystają szyby wentylacyjne i rury. Osłaniam oczy ręką i spoglądam na północ. W oddali widzę miasto i znajdujące się za nim jezioro. Teraz, kiedy jestem z dala od zamieszania, ogarnia mnie znajome uczucie spokoju.

Tutaj, w górze, czuję się bezpieczna, choć nie do końca ufam Peterowi.

Za plecami słyszę szuranie. Peter siada na dachu. Nadgarstki opiera na kolanach, plecy ma wsparte o metrowy gzyms. Połowa jego twarzy płonie czerwienią w słońcu, druga jest pogrążona w cieniu. Poklepuje miejsce obok siebie. Wygląda tak, jakby uszło z niego powietrze. Jego siła i determinacja sprawiły, że dostał nas z opresji, ale świadomość tego, co zaszło w centrum handlowym, w końcu zaczęła do niego docierać. Dwoma palcami lewej ręki uciska miejsce między oczami, mruga parę razy i próbuje się do mnie uśmiechnąć. Wrażenie jest takie, jakby próbował uśmiechać się na przekór bolącemu zębowi.

Drzę i pocieram nagie ramiona, gdy owiewa mnie wiatr. Obciążam w dół top i podchodzę do niego. Gdy zajmuję miejsce obok Petera, okazuje się, że siedzę bliżej, niż zamierzałam. Czuję bijące z niego ciepło, choć wcale się nie dotykamy. Nie wiem dlaczego, ale w dalszym ciągu czuję zapach róż, gdy jestem blisko chłopaka.

- Czym właściwie jestem? - pytam. Peter nie owija w bawełnę.

- Twój mózg został zaprojektowany tak, by emitować fale wystarczająco potężne, żeby wywierały wpływ na otaczających cię ludzi. A konkretnie na ośrodki odpowiedzialne za kontrolowanie i reagowanie na strach. Jesteś technicznie zaawansowaną wersją kontroli tłumy. Gdy miałaś dwa lata, lekarz pobrał ci krew. Odkryto w niej anomalię, która umożliwia przejście przez terapię genową niezbędną do zostania Różą. Tak się właśnie określamy, z braku odpowiedniejszej nazwy.

Dłonie zaczynają mi się trząść. Złączam je i ścisgam, ale to w niczym nie pomaga. Słowa Petera odbi-

jają się w mojej głowie - fale wystarczająco potężne, kontrola tłumy, terapia genowa. Powinnam zostać w galerii i pozwolić, żeby aresztował mnie policjant. Powinnam wylądować w więziennej celi albo jeszcze lepiej, w głębokim lochu. W miejscu, w którym już nigdy nie będę w stanie nikogo skrzywdzić. Nie wiem, co spodziewałam się usłyszeć, ale z pewnością nie to.

Peter ujmuje moją lewą dłoń w swoje ręce, które są ciepłe, kruche i nieco szorstkie. Jego odciski łaskoczą mnie, a zimny dreszcz przebiega po ramieniu i zagnieżdża się w brzuchu.

Peter mówi dalej łagodnym głosem, dając mi czas na przetrwanie wszystkiego, choć wiem, że nie potrafię. Nie w sposób, w jaki bym chciała. Próbuję zaakceptować każdą z tych rzeczy jako fakt, lecz z każdym kolejnym słowem chcę wstać i wrzeszczeć: „Nie!”.

- Skutkiem ubocznym terapii jest utrata pamięci. Nasze mózgi mają mnóstwo nowych połączeń nerwowych, a aksony są grubsze niż normalnie. To znaczy, że temperatura naszego ciała jest nieco wyższa niż u zwykłych ludzi. Żeby ustrzec się przed zniszczeniem Wspomnień, przyjmujemy zastrzyki. Lek chroni naszą korę mózgową, zanim cała dodatkowa energia zdoła ją usmażyć. Teraz, kiedy znów masz środek w organizmie, zaczniesz gromadzić nowe wspomnienia.

Milknie, pozwalając przez jakiś czas wisieć słowom w powietrzu. Tłuką się w mojej głowie. Do informacji doszło kilka nowych. Aksony. Kora mózgową.

- Czy odzyskam stare wspomnienia? - pytam cicho.

Peter milczy przez chwilę.

- Nie wiem. - Lepsze to niż „nie”, ale mimo to czuję się przybita. Znów zapada cisza. Niemal słyszę, jak zastanawia się, czy dam radę znieść więcej. - Ktoś majstrował przy twoich zastrzykach. Wiemy kto.

Dwójka z naszych przyjaciół zniknęła. Uciekli. Nie mamy pojęcia dlaczego. A teraz przepadli jak kamień w wodę. Doktor Tycast myśli, że uciekłaś razem z nimi, ale ja w to nie uwierzyłem. Znałem sposób, jak cię wyśledzić, i zrobiłem to.

Tego było już za dużo. Terapia genowa? Lekarstwo na pamięć? Przyjaciele uciekający nie wiadomo dokąd, przyjaciele, których nawet nie znam, których twarzy nie jestem w stanie przywołać w pamięci? Muszę natychmiast wstać. Wyrywam rękę z uścisku Petera.

- My to znaczy kto? - pytam. - Kim jest doktor Tycast? - To nie jedyne pytania, jakie mam, ale domyślałem się, że odpowiedzi na te uda mi się łatwiej znieść.

- My... my to znaczy nasza czwórka. Ty, ja, Noah i Olive. I ludzie, którzy nas szkolą. To właśnie my.

- Chyba wiesz, że to mi niczego nie mówi - odpowiadam. Wtedy w centrum chciałam uzyskać odpowiedzi, teraz nie jestem już tego taka pewna.

Pod nami jakiś samochód zatrzymuje się z piskiem opon u wyjścia z zaułka. Drzwiczki otwierają się i zamykają z trzaskiem. Policjanci prawdopodobnie namierzyli skradziony radiowóz dzięki nadajnikowi GPS. Ale tutaj jesteśmy bezpieczni. Zakładam, że nie będą się spodziewać po złodzieju, iż wejdzie na dach budynku tuż obok kradzionego pojazdu. Całe to zamieszanie staje się odległe i nieistotne.

- Jaki w tym sens? - pytam. - Chodzi mi o nas. O wszystko, co powiedziałaś.

Peter zamyka oczy, jakby zastanawiał się nad doborem słów.

- Wyobraź sobie, że ktoś rzuca cię na pole bitwy, a ty przyprawiasz o strach wszystkich wokół, zmuszając do poddania się. Żadnej śmierci. Żadnego rozlewu krwi. Wystarczająco liczebni, jesteśmy w stanie powalić na kolana całe miasto. - Jego własne słowa zdają

się go zaskakiwać, zupełnie jakby usłyszał je gdzieś indziej i dopiero teraz uświadomił sobie, jak fałszywie brzmią. „Żadnej śmierci? Żadnego rozlewu krwi?”

Stoję odwrócona do niego plecami, z dłońmi wspartymi na biodrach. Wiatr wprawia w ruch drobne włoski na moich ramionach. To nie ma sensu. Widziałam panikę w centrum handlowym. Zakrojona na szerszą skalę? Śmierć i krwawa jatka.

Kule i bomby to alternatywa dla mojej mocy.

Co jest gorsze?

Policjanci na dole krzyczą coś do siebie. Słysząc odgłos stóp walących w chodnik.

- Gdzie są moi rodzice? - pytam.

Peter oblizuje usta i spogląda na żwir pod nogami.

- Oddali cię. Dla wyższego dobra, tak mi się zdaje. Moi zrobili tak samo.

- Znałam ich?

- Nie. Byłaś wtedy zbyt mała.

Dla większego dobra. Wyobrażam sobie bezimien-nych rodziców oddających mnie na terapię genową. Tak jak wszystko inne, to również nie ma sensu. Znow wyczuwam pustkę w piersi.

- Skąd wiesz, że ci ludzie po prostu mnie nie zabrali? Równie dobrze mogli mnie porwać.

- Już raz tego doświadczyłaś i pogodziłaś się z tym. Teraz też musisz.

Nie wydaje mi się, bym cokolwiek musiała. Jasnym jest, że wszyscy, nawet Peter, będą się musieli mocno natrudzić, żeby mnie do tego zmusić.

- Jesteśmy twoją rodziną. Byliśmy nią od lat. Od czasów dzieciństwa.

My. Nasza czwórka. Rodzina. Nie zapomina się rodziny.

Odwracam się. Na rzęsy spływa mi łza, ale odpędzam ją szybkim mrugnięciem. Mięśnie brzucha mam

napięte jak postronki. Przykładam do nich dłoń i próbuję się rozluźnić, oddychać przez usta. Zajmuje to kilka minut, ale w końcu udaje mi się wrócić do rzeczywistości. Muszę zaakceptować to, co słyszę, jako prawdę, bo widziałam już jej dowód. Na własne oczy widziałam opustoszałe centrum handlowe. To, co wtedy czułam, nie mogło być przypadkiem.

- Czy odzyskam swoje wspomnienia? - pytam ponownie.

Peter milczy. Odwracam się, by dostrzec odpowiedź wypisaną na jego twarzy.

Staram się wyglądać, jakby nic się nie stało, ale dziura w moim wnętrzu powiększa się, grożąc, że pochłonie mnie cała.

- Domyślam się, że nawet nie wiem, co tracę, prawda?

- Wszystko będzie dobrze, Mirando.

Dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Gdybym tylko mogła w to uwierzyć.

W twarzy Petera nie dostrzegam żadnego kłamstwa, żadnej wskazówki, która powie mi, że zwariował, że ja zwariowałam albo oboje całkiem zwariowaliśmy. Jedyne, co widzę, to ten niezachwiany spokój i niewzruszone spojrzenie.

- Pójdiesz ze mną?

Znów mnie prosi. I tak jak poprzednio, nie mam zbyt wielkiego wyboru. Jeśli chcę wiedzieć więcej.

Chwilę później wierzę i jednocześnie nie wierzę w to, co mówi.

- Skoczmy z dachu.

Wierzę, ponieważ nie widzę innej drogi i wygląda na to, że fizycznie jestem w stanie to zrobić. Z drugiej strony, nie wierzę, bo no cóż, to kompletne szaleństwo.

Uśmiecha się, odgadując mój tok myślenia.

- W takim razie ja skoczę pierwszy.

I skacze. Podbiega do krawędzi dachu, wybija się z jednej nogi i przelatuje nad zaułkiem. Przez chwilę ślizga się po kolejnym dachu, a potem odwraca i macha do mnie. W jego wykonaniu wyglądało to równie łatwo, jak skok przez kałużę.

Wszystko, co robi, ja mogę zrobić lepiej. A przynajmniej taką mam nadzieję. Jedyнным sposobem na odkrycie, co stanie się za chwilę, jest pójście na całość. Przetykając strach i zdrowy rozsądek, podbiegam do krawędzi dachu i skaczę. Wzrok mam utkwiony w punkt przed sobą. Moje stopy ślizgają się po powierzchni niewidzialnego stawu. Słyszę wiatr w uszach, a potem jestem już na dole, ze stopami wbitymi w sąsiedni dach. Nie zatrzymuję się. Biegniemy, wylaniając się z ukrycia. Nie sprawia mi to żadnego wysiłku. Przeskakujemy z dachu na dach, gubiąc pościg i zmierzając w kierunku, który oboje zdajemy się znać. Strach i wątpliwości, które miałam chwilę wcześniej, są teraz wspomnieniem, i to W dodatku odległym.

Nim Peter zwalnia, serce wali mi jak młot. Pokruszone kamyki, które kopie, obsypują moje łydki. Zatrzymuje się gwałtownie, a ja prawie na niego wpadam. Odzyskuję równowagę, opierając się dłonią o jego plecy. Chcę ją natychmiast zabrać, ale on udaje, że tego nie zauważa, a ja nie chcę czuć się niezręcznie.

- Tutaj - mówi.

Zapadł zmierzch. Fiołkowe niebo pokryło się mlecznymi chmurami. Zerkam ponad krawędzią w widoczny w dole zaułek. Daleko, daleko w dole. Z tak wysoka czarne worki na śmieci wyglądają jak sterta obrzydliwych mam'sów.

- Dasz radę?

- Co masz na myśli?

Przeskakuje ponad krawędzią i zderza się z ceglana ścianą naprzeciwko nas, pięć stóp dalej. Jego dłonie i stopy dotykają jej, a potem się odpycha, ślizgając po ścianie budynku, na którym stoje. Ledwie dotknął jej przy drugim podejściu, obniżając się o kolejnych kilka stóp. Obserwuję go, gdy skacze w tę i z powrotem, a jego sylwetka maleje coraz bardziej. Na samym dole wpada w górę worków na śmieci.

Stacza się z niej. Jeden z worków pęka, a śmieci rozsypują się po całym zaułku. Z tej odległości widzę jego śnieżnobiały uśmiech.

- Twoja kolej! - krzyczy przez złożone w trąbkę dłonie.

Wzdycham. Strach powrócił, ale domyślam się, że zniknie, gdy tylko podejmę wyzwanie. Poza tym moje zwątpienie ma nowego kompana - osobliwą i mile widzianą równowagę gnieźdząca się na dnie mojego brzucha. Podoba mi się to. Nie wiem, kim jestem, ale równie dobrze mogę się okazać kimś złym. Kładę dłoń na krawędzi i przeskakuję przez nią. Uderzam w sąsiednią ścianę zupełnie jak Peter, czepiam się jej na sekundę, a potem odpycham i szybuję przez zaułek.

Niestety, źle oceniłam odległość. Spadam za szybko, a serce podjeżdża mi do gardła. Peter krzyczy coś do mnie.

Uderzam w ścianę, rękami i nogami szorując po ceglach. Okna migają mi przed oczami. Z całej siły wbijam dłonie w parapet, tak mocno, że aż paznokcie zaczynają krwawić. Przez chwilę wiszę uczepiona ściany budynku z palcami płonącymi z bólu.

- Całkiem nieźle! - krzyczy z dołu Peter.

Ryzykuję zerknięcie na niego. Nadał jestem zdecydowanie zbyt wysoko.

- Hej, tutaj jest drabina! - krzyczy znów Peter.

- Serio? - pytam.

Peter wybucha śmiechem.

- Nie. Schodź dalej.

Robię, co mówi. Przetykam wątpliwości, jakie narosły wokół moich płuc, i znów zacznę oddychać.

- Dam radę - szepczę, a potem wylatuję w przestrzeń i obracam się. Chwytam się kolejnego okna, a potem następnego. Wkrótce jestem już na dole. Spadam w tę samą stertę worków na śmieci co Peter, wytaczam się z nich i wstaję. W jego oczach nie ma ani śladu zmartwienia czy strachu - miał całkowitą pewność, że uda mi się zejść na dół w jednym kawałku.

- Jakim cudem to zrobiłam? - pytam. - Lub co ważniejsze, dlaczego w ogóle umiałam to zrobić?

Peter wzrusza ramionami, zupełnie jakby to było coś naturalnego.

- Chcą, żebyśmy mieli coś więcej niż tylko możliwości.

Obdarzenie nas tymi mocami to za mało - musimy umieć zadbać o siebie samych w niesprzyjających okolicznościach.

- Oni. Masz na myśli naszych nauczycieli?

Powoli kiwa głową.

- Tak. Naszych nauczycieli.

Chcę czegoś więcej - jakiegoś wytłumaczenia mojego istnienia, wskazówki dotyczącej przeszłości. To sprawia, że znów robi mi się niedobrze i nagle jestem wdzięczna za to bieganie i skakanie po dachach. Trudno rozmyślać o czymś strasznym, kiedy skupiasz się wyłącznie na ruchu i precyzji.

Peter z pewnością dostrzeże wyraz mojej twarzy. Jego uśmiech znika wraz ze światłem. Obejmuje moje ramiona, a potem prowadzi zaułkiem, trzymając mnie blisko siebie.

- Chodź, Mirando. Wracajmy do domu.

Gdybym tylko wiedziała, gdzie jest ten dom.



Wkrótce się tego dowiaduję. Dom to las.

Znajdujemy chevroleta cavalier z kluczykami tkwiącymi w stacyjce. Peter mówi, że cavaliery doskonale nadają się do kradzieży, bo nikt nie zwraca na nie uwagi. Zatrzymuję się, gdy dociera do mnie fakt, że kradzież samochodu nie wywołuje u mnie najmniejszego moralnego sprzeciwu.

W samochodzie pytam Petera, dlaczego nie czuję się z tym źle.

- Wyszkolono cię tak, abyś brała wszystko, co potrzebne do wykonania misji. Naszą misją teraz jest bezpieczne dotarcie do domu.

A więc o to chodzi.

Peter zabiera nas na południe, z dala od miasta, gdzie drogi zwężają się i są otoczone drzewami zamiast odrapanymi budynkami. Mijamy kilka krów i pola obsiane kukurydzą. Po jakimś czasie ściana drzew gęstnieje, przesłaniając drogę. Po upływie kolejnych dziesięciu minut Peter pochyla się do przodu i wpatruje w las.

- Jesteśmy na miejscu - mówi, gdy natykamy się na ledwie widoczny ślad prowadzący między drzewa. Chevrolet kołysze się na kamieniach, wybojach i dziurach przez całą milę. Na końcu ścieżki las znów sprawia wrażenie jednej całości. Ale taki nie jest. Peter prowadzi cavalierra wzdłuż następnego, bardziej wyraźnego śladu ciągnącego się przez kolejną milę. Nie rozmawiamy zbyt wiele - po prostu wyglądam przez okno i przyglądam się drzewom. Aż do momen-

tu, W którym dłoń Petera zsuwa się z dźwigni zmiany biegów i przypadkowo ociera o moje udo. Wtedy podskakuje, jakby mnie ukłuł.

- Zdenerwowana, co? - pyta. Uśmiecha się do mnie, a ja wiem, że stara się sprawić, bym nie przejmowała się całą tą sytuacją.

- Chyba trochę. - I faktycznie jestem. To wszystko może być pułapką. Nie mam jednak pojęcia, jaką i na co. Choć Peter nie sprawia wrażenia, jakby kłamał. Nie ma rozbieganych oczu ani drżących rąk. To wcale nie znaczy, że mu ufam, ale wystarcza, żebym chciała siedzieć dalej w aucie.

Naszym domem okazuje się prosty, jednopiętrowy budynek z betonu pomalowany w barwy maskujące. Jego dach pokrywają rośliny, by ukryć go przed samolotami i helikopterami. Peter zatrzymuje auto, a ja odkrywam, że budynek jest w rzeczywistości garażem z kilkoma samochodami i motocyklami. Głowica zamontowana na dachu podąża za nami. Słysząc, jak mechanizm obraca się w jej wnętrzu. Bliźniacze lufy wyglądają na wystarczająco duże, by rozerwać nas na pół, wliczając w to samochód.

- Mieszkamy pod ziemią - informuje mnie Peter.

- Och, a ja myślałam, że w samochodach.

Nie wybucha grzecznościowym śmiechem, a ja czuję, jak gorąco oblewa mi kark. Nie powinien budzić we mnie zażenowania.

- To było zabawne - mówię.

- Wiem. Ale słyszałem już kiedyś ten żart. Podejrzewam, że znów będę musiał usłyszeć całą resztę. - Jego słowa dotyczą mnie boleśnie. Peter zauważa to i dodaje po chwili: - Nie żebym miał coś przeciwko temu.

Wchodzimy w prostokąt wycięty w metalowej podłodze.

- Są gorsze rzeczy - mówię.

- Wiem - odpowiada, gdy w prostokacie zapalają się białe żarówki. - Nie wysuwaj rąk poza granicę.

Prostokąt gładko zjeżdża w dół. Gdy otaczają nas ściany, Peter odwraca się i chwyta mnie za kark. Przechyla moją głowę tak, że muszę spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia, co stanie się tam na dole - mówi. Jego palce parzą. Utknęłam między chęcią wyrwania się i pozostania w jego uścisku. Nie wiem dlaczego. Zastanawiam się, czy potrafiłabym się wyrwać, czy jestem tak silna, jak on.

- A co może się stać?

- Nie wiem. Zniknęłaś z dnia na dzień. Namierzylem cię dzięki chipowi wszczepionemu pod skórę.

Chip pod skórą? Wątpię, żebyśmy wyraziła na to zgodę. Może i nie wiem, kim jestem, ale nie sprawiam wrażenia osoby, która zgadza się na to, by być obserwowaną. Mimo wszystko on mnie odnalazł. To najważniejsze. W końcu nadal mogłam włóczyć się po galerii i ranić ludzi.

Winda zjeżdża w dół. Musimy znajdować się co najmniej kilka pięter pod ziemią.

Peter muska kciukiem moje ucho i puszcza mnie. Pot występuje mi na kark. Być może wejście tutaj nie było najlepszym pomysłem.

- Mogłeś powiedzieć mi wcześniej.

- Czy wtedy nadal chciałabyś ze mną iść?

Dobre pytanie.

- Tak. Nie wiem.

- Po tym jak uciekli Noah i Olive, Tycast może cię podejrzewać. Zachowaj spokój. Będę z tobą przez cały czas. - Peter posyła mi kolejny uśmiech, ale on również się martwi.

Naszym oczom powoli ukazują się metalowe drzwi. Winda staje w miejscu. Słysząc nasze oddechy. Za późno na Ucieczkę. Powierzchnia ziemi jest teraz ciemnym prostokątem widocznym wysoko nad naszymi głowami.

Słysząc brzęk otwieranych drzwi, po którym następuje metaliczne skrobanie trwające dwie sekundy. Potem rozlega się kolejny brzęk.

Drzwi rozsuwają się na bok od prawej do lewej, a w naszą stronę wycelowanych jest całe mnóstwo pistoletów.

Ta bardziej przerażająca część mojego mózgu przejmuję nade mną kontrolę. Część, która sprawia, że najpierw reaguje moje ciało, a dopiero potem włącza się myślenie. Jedyne, co widzę, to zagrożenie...

Czterech mężczyzn, wszyscy ubrani na czarno, w opancerzonych kamizelkach i metalowych hełmach. Równie dobrze mogą być robotami. Hełmy przypominają motocyklowe kaski, ale są mniejsze i na pewno nie mają wyściółki. Wąskie, czarne przyłbice osłaniają ich oczy. Każdy ma ze sobą coś, co rozpoznaję jako broń uniwersalną firmy Heckler & Koch -paskudnie wyglądające pistolety maszynowe.

Fakt, że wiem, czym są, mocno mnie zaskakuje.

- Peter, przypomniałam sobie coś.

- Omija mnie i staje z przodu, blokując im widoczność. Pośród czwórki odzianych w hełmy mężczyzn stoi starszy pan. Nie ma na sobie zbroi ani hełmu. Zamiast tego nosi biały laboratoryjny fartuch z pełnymi kieszeniami, które marszczą materiał. Cienkie siwe włosy ma zaczesane z czoła do tyłu. Nosi wąską bransoletkę podobną do sportowej, tyle że wykonaną z czarnego plastiku zamiast z materiału. Nie znam go, ale ogarnia mnie przyływ uczuć względem niego. Co

Obca pamięć

to ma znaczyć? - pyta Peter. - Doktorze, to przecież Miranda.

Doktor unosi ręce, rozkładając dłonie na płask. Otaczający go mężczyźni równie dobrze mogliby być posagami.

- Opuściła rezerwat. To wszystko środki ostrożności. Na pewno się tego spodziewałeś.

Przez moment Peter stoi sztywny jak kołek, a potem powoli kiwa głową. Cofa się i zajmuje miejsce tuż obok mnie.

Doktor wchodzi do windy.

- Mirando, nazywam się doktor Tycast. Pamiętasz to?

- Nie.

Kiwa głową.

- Musimy cię zatrzymać. Pójdiesz z nami z własnej woli?

- Tak - mówię. A niby jaki mam wybór? Wątpię, by udało mi się stąd teraz uciec.

Doktor unosi dwa palce, dwóch mężczyzn robi mu przejecie i odchodzą. Ich ciężkie buty dudnią w korytarzu.

Doktor Tycast kładzie dłoń na ramieniu Petera.

- Dziękuję, że sprowadziłeś ją tutaj z powrotem. Idź do swojego pokoju. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Sir, z całym szacunkiem, ale zostanę.

Skóra wokół oczu doktora Tycasta marszczy się, gdy na jego twarzy gości uśmiech.

- Z całym szacunkiem?

Peter wytrzymuje jego spojrzenie jeszcze przez kilka sekund.

- Sir...

- Dobranoc, Peter.

Peter wzdycha i opuszcza windę. Lewą dłoń ma zaciśniętą w pięść.

Serce wali mi jak młot. Nawet jeśli wcześniej miałam wątpliwości, teraz ufam mu bardziej niż komukolwiek w tym miejscu. Bez niego czuję się naga.

Doktor Tycast od razu to dostrzega.

- Spokojnie, zobaczysz się z nim jeszcze. Może w to nie wierzysz, ale zaledwie kilka dni temu ufałaś mi bezgranicznie. Chodź ze mną.

Ujmuje mnie pod rękę i wyprowadza z windy. Mężczyźni z pistoletami maszynowymi i dziwnymi hełmami podążają za nami. Korytarz jest ciasny i nijaki, szaty z małutkimi światełkami wpuszczonymi w podłogę, pokazującymi nam drogę do miejsca, do którego zmierzamy. Wąski sufit to jeden wielki panel świetlny, świecący jednakowo na każdy centymetr kwadratowy powierzchni.

Za pierwszymi drzwiami po prawej znajduje się moja cela. To cela, bo zaraz po wejściu zostajemy automatycznie odcięci od reszty świata. Wielkie metalowe drzwi zamykają się, a sworzeń wchodzi na miejsce, po czym słychać nieco za głośne bzyczenie.

Doktor Tycast przysuwa do metalowego stolika jedno z krzeseł.

- Usiądź - mówi.

Czekam wystarczająco długo, by dać mu do zrozumienia, że nie będę skakać na każde jego zawołanie, nawet jeśli jestem do tego przyzwyczajona. Dopiero potem siadam.

Długie lustro zajmuje całą ścianę za moimi plecami i sprawia, że niemożliwością jest nie czuć się obserwowanym. Za plecami doktora widać ścianę różniącą się od pozostałych. Wygląda, jakby była pokryta cienką warstwą jakiejś substancji.

Doktor splata razem dłonie i spogląda na mnie ponad stolikiem. Krzesło jest zimne i wysysa całe ciepło z moich nóg i pośladków.

- Czy mogę zdjąć tę bransoletkę? - pyta.

- Jasne. I tak nie jest zbyt modna.

Doktor parska krótkim śmiechem.

- Nie należysz do osób strojących sobie żarty, kiedy są spięte, Mirando.

- I tak bym o tym nie wiedziała. - Ciekawość przejmuję kontrolę nad moją lepszą połową. -Do czego służy ta opaska? - pytam, choć wydaje mi się, że znam odpowiedź.

- Blokuje psychiczną energię, którą emitujesz. Nie tak dobrze jak hełmy, ale wystarczająco. Przy tak dużym zagrożeniu ludzie rozwijają w sobie pewną tolerancję. Lecz dla tych, którzy nie są przyzwyczajeni, przebywanie w pobliżu Róży wystarcza, by po jakimś czasie czuć dyskomfort. Z powodu nagromadzonej energii i tym podobnych. Ale ty nie zamierzasz posłużyć się przeciwko mnie swoją mocą, prawda?

- Nie.

- Świetnie.

Zdejmuje bransoletkę i kładzie ją na stoliku. Przedmiot kurczy się i przybiera kształt małego kółka mieszczącego się w kieszeni. Doktor nie przestaje uśmiechać się swoim znajomym uśmiechem. Moje ramiona rozluźniają się odrobinę. Zdjęcie opaski było gestem zaufania. Teraz jest całkiem bezbronny.

- Co pamiętasz?

Co pamiętam? Dobre pytanie. Pamiętam przebudzenie się na ławce. Pamiętam spotkanie z Peterem, który sprawia, że czuję się bezpieczna, choć jasnym jest, że sama potrafię o siebie zadbać. Pamiętam centrum handlowe. Ludzi i ich krzyki. Głos małego chłop-

ca. Mężczyznę, który spadł. Krew i połamane kończy-
ny.

Jak wytłumaczą to ci, którzy przeżyli? Gdy znów
będą sobą, co wtedy powiedzą?

Kto porozmawia z rodzinami zmarłych?

Znów z trudem przelykam ślinę, walcząc z mdło-
ściami. Nie chcę rozmawiać o tym, co pamiętam.

- Pozwól sobie pomóc - mówi doktor Tycast.

Ściana za moimi plecami ożywa. To ekran. Wielki
ekran pokazujący video: długi i wąski pokój, w jego
dalekim końcu ogromne stalowe drzwi. W połowie po-
koju, wzdłuż ścian na prawo i lewo, stoją piętrowe
łóżka, po jednym na każdą stronę. Dwa małe kufry
stoją w nogach każdego łóżka. Między nimi znajduje
się pas wolnej przestrzeni, a z dala od drzwi, bli-
żej kamery, stoi duży stół otoczony krzesłami. Jak na
materiał z kamery ochrony, video jest doskonałej ja-
kości.

Czekam, aż jakiś fragment układanki wpadnie na
swoje miejsce. Czekam na jakąkolwiek wskazówkę. Ale
to tylko pokój. Pomiedzy łóżkami leży brązowy dywan.
To musiała być pierwsza rzecz, której każdego ranka
dotykały moje stopy. Nie wiem, czy jest szorstki. I
czy dotykałam go bosymi stopami, czy spałam w skar-
petkach.

Na video leżę na boku na niższym łóżku po lewej.
Koło mnie klęczy chłopak. W pierwszej chwili myślę,
że to Peter, nie jest zbyt szczupły. Nie jest niższy, tylko
szczuplejszy. I zamiast czarnych ma brązowe włosy,
ogolone tuż przy skórze. Jedną dłoń przykładą do mo-
jej twarzy. Unoszę rękę i poklepuję palcami czubek je-
go nosa.

Chłopak pochyla się i zatrzymuje z ustami zawie-
szonymi o centymetr od moich. Trwa tak przez kilka
sekund, aż w końcu uśmiecha się, a ja unoszę się, by

dać mu całusa. Oboje śmiejemy się bezgłośnie, ponieważ łóżko ponad mną i łóżko naprzeciwko mnie nadal są zajęte przez nieruchome postaci. Potem następuje pocałunek z prawdziwego zdarzenia, a jego usta wędrują z moich ust do podbródka, a potem wzdłuż szyi aż do zagłębienia między obojczykami.

Przełykam ślinę, obserwując to wszystko i czując, jak ogień eksploduje w moim brzuchu i rozprzestrzenia się dalej.

Chłopak daje mi ostatniego całusa, wraca do swojego łóżka, wspina się na górę i chowa pod kołdrą. Na ekranie wiercę się na swoim miejscu, podciągając koc pod samą szyję.

Nagranie przyśpiesza, przewijając szybko obraz naszych nieruchomych ciał do momentu, w którym cztery godziny później chłopak schodzi powoli ze swojego łóżka. Podchodzi do mnie na palcach. Kładzie dłoń na moim policzku, a ja otwieram oczy.

- Kim jesteś? - pytam na nagraniu.

Przykłada palec do ust.

- Ciii. Mirando, to ja. Przyjrzyj mi się.

Patrzę na niego przez chwilę, a potem powoli kręcę głową.

- Gdzie jestem?

- Chcę, żebyś ze mną poszła - mówi, pomagając mi zejść z łóżka.

Wyprowadza mnie z pokoju. Kilka minut później dziewczyna o czarnych włosach wymyka się ze swojego łóżka i podbiega do postaci, która musi być Peterem. Wbija mu coś w szyję, a on podrywa się gwałtownie i niemal natychmiast opada z powrotem. Dziewczyna całuje czubki swoich palców i przyciska je do czoła nieprzytomnego. Potem odchodzi, a pokój zostaje pusty, nie licząc Petera.

Nagranie się zatrzymuje.

Obca pamięć

- Pamiętasz opuszczenie pokoju z Noahem? - pyta doktor Tycast.

Noah. Chłopak, który mnie pocałował. Odtwarzam w pamięci obraz swojej głowy odchylającej się w tył, by zapewnić mu lepszy dostęp do mojej szyi. Nie wiem, co myśleć. Nie pamiętam żadnej z tych rzeczy. Nie pamiętam dotyku jego ust ani zapachu skóry. Ani tego, co czułam, gdy spotykały się nasze spojrzenia.

- Mirando? - pyta doktor Tycast.

- Przepraszam. Nie.

Zdejmuje okulary i pociera oczy tak mocno, że aż się krzywię.

- To dlatego, że od wielu dni podmieniał twoje zastrzyki. Zakładam, że Peter wtajemniczył cię w sytuację.

- Tak.

- Owszem, no cóż. Znów je bierzesz, więc będziesz mogła zacząć tworzyć nowe wspomnienia. I choć nie mogę być tego pewny, obawiam się, że to, co utracone, mogło zostać utracone na zawsze.

- To nie ma znaczenia - mówię.

Szeroko otwiera oczy ze zdziwienia.

- Nie? Dlaczego?

- Bo nie mogę zmienić tego, co już zaszło.

Nie wiem, czy mówię to szczerze. Słowa wychodzą z moich ust automatycznie. Mimo to słyszę w nich prawdę, choć jest trudna do zaakceptowania. Nie mogę odzyskać wspomnień. To sprawia, że robi mi się zimno. Czuję się bezradna.

Doktor posyła mi zmęczony uśmiech. Uśmiech ojca.

- To prawda. Od zawsze świetnie radziłaś sobie ze wszelkimi zmianami. Pozostali trzymali się tego, co było, zamiast tego, co jest.

Przyjmuję to do wiadomości, starając się zebrać o sobie jakieś informacje.

- Doktorze, dlaczego pamiętam niektóre rzeczy, a pozostałych nie? Skąd wiem, jaką funkcję spełnia ochroniarz W centrum, ale nie rozpoznaję w lustrze własnej twarzy?

Doktor Tycast kiwa głową.

- Istnieją różne rodzaje pamięci, Mirando. Zastrzyki Wspomagające, które przyjmujesz, zapobiegają zanikowi części twojej pamięci długotrwałej. Pamiętasz swoje imię, ale nie pamiętasz, jak reszta świętowała twoje czternaste urodziny. Nie pamiętasz pierwszego razu, kiedy położyłaś na łopatki swojego instruktora sztuk walki.

Nie mam nic do powiedzenia. Siedzimy w ciszy, która w innych okolicznościach mogłaby być całkiem przyjazna.

Doktor Tycast zakłada z powrotem okulary.

- Noah i Olive zabrali cię z domu. Wprowadzili jednego z moich ludzi w śpiączkę, żeby to zrobić. Jeśli pamiętasz cokolwiek, chcę, żebyś mi o tym teraz powiedziała.

- Nie pamiętam. Wolałabym, żeby było inaczej.

- Noah był twoim chłopakiem - mówi.

- Serio? - odpowiadam prawie szeptem- Nie chcę w to wierzyć.

Ekran-ściana znów ożywa. Videowersja mnie siedzi za biurkiem, gapiąc się w coś, co musi być kamerką wbudowaną w laptopa. Moje palce tańczą po klawiaturze, a potem unoszą się w górę i łapią za dolną wargę. Stojący za mną Noah wyciąga rękę i zabiera ją.

- Nie rób tego - mówi. Jest piękny. Moje oczy śledzą mocną linię jego szczęki aż do ust. Staram się przypomnieć sobie, jak to jest czuć je na skórze, ale

znów nic. Patrzy w kamerę na mnie siedzącą na zimnym krześle.

- Tu Miranda i Noah. Robimy raport po zakończeniu misji.

- Zgadza się - dodaje. - Jesteśmy zbyt leniwi, by napisać każdy po jednym.

- Więc je połączymy - odpowiada Noah, szczerząc zęby.

Rozmawiamy o jakiejś misji treningowej, podczas której dzieliliśmy się na zespoły, żeby znaleźć śnieżną kulę dzięki podążaniu za wskazówkami rozsianymi po całym mielcie. Żadne z nas nie było pod wrażeniem misji. Noah, dowódca naszego zespołu, stroi sobie żarty na temat Petera, dowódcy przeciwnej drużyny. W każdej znajdują się tylko dwie osoby i z tego również żartujemy. Pokonujemy ekipę Petera. Noah wymienia imię czarnowłosej dziewczyny - Olive.

Nie wiem, jakim cudem go nie pamiętam.

Nagranie kończy się gwałtownie, a ja się wzdrygam.

- Wydaje nam się, że w jakiś sposób próbował zapewnić ci bezpieczeństwo. Zabrał ze sobą Olive, ale nie wtajemniczył cię w swoje plany, jakiegokolwiek one są. Wydaje mu się, że coś się zbliża.

- Co takiego?

Doktor Tycast wzrusza ramionami.

- To właśnie twoje zadanie. Musisz się tego dowiedzieć. A teraz; wracaj do Petera. Jutro rano wszystko wam wyjaśnię. - Rozkłada dłonie na płask na stole. - To, co wydarzyło się w centrum, to me twoja wina. Na razie chcę, żebyś odsunęła myśli o tym na bok. Zajmiemy się rodzinami zmarłych. Rozumiesz?

W niczym mi jego słowa nie pomagają, ale mimo wszystko kiwam głową. Doktor Tycast zaczyna się podnosić.

- Chwileczkę - powstrzymuję go. - Proszę mi powiedzieć, co to za miejsce. I czym właściwie jestem. Tak naprawdę.

Przygląda mi się, zastanawiając się, jak to powiedzieć.

- Jesteś częścią eksperymentu mającego na celu zaprowadzenie pokoju poprzez chaos. Jesteś nadzieją na lepsze jutro.

- Brzmi dość banalnie, doktorze.

Kiwa głową.

- Nawet bardzo. Ale to jedna z ofiar, jakie ponosimy.

Opuszcza celę, która znów przypomina zwykły pokój.

Drzwi pozostają otwarte.

Pada. A właściwie to leje. Strumienie deszczu. Mroczny zaułek. Za mną rozlega się donośny brzdęk. Rzucam się na ziemię i czuję, jak coś przelatuje góra, czepiając się moich włosów. Do ceglanej ściany odległej o dwadzieścia stóp przymocowano pajęczą sieć z drutu. Wystrzeliwują w moją stronę sieci.

Znów zrywam się na nogi i biegnę. Kolejny brzdęk. Rzucam się na lewo. Sieć mija mnie, nadal skrecona. Rozwija się w powietrzu i zatrzymuje na oknie. Szyba roztrzaskuje się, a odłamki szkła wgryzają się w moje ubranie.

Otwieram oczy.

Zaułek nie ma. Został zastąpiony przez podziemny korytarz. Drzwi do naszych kwater są tuż przede mną.

Stoję tak przez moment, czepiając się ściany rozcapierzonymi palcami. Pamięć? Tyca stanie powiedział, że jej powrót jest niemożliwy. Jestem niemal wściekła, że to nie mogło działać się w jakimś spokojniejszym okresie mojego życia. To z pewnością musi być jakaś głupia misja treningowa.

Misja, która sprawia wrażenie prawdziwej. A przynajmniej strach był prawdziwy. Ale domyślałam się, że to jedno z założeń treningu.

Wspomnienia bledną, zanim docieram do wielkich metalowych drzwi, na których namalowano ogromną różę, wysoki na całe cztery stopy. Na dole Olive wypisała swoje imię pretensjonalnymi, wijącymi się literami.

Otwieram drzwi i widzę pokój z nagrania. Na wielkim stole leży szachownica. Białe pionki są poprzewracane. Wszystko wygląda tak samo, tylko w odwróconej perspektywie. W dalekim końcu stoi lodówka i cztery niewielkie komody. Otwarte drzwi prowadzą zapewne do łazienki.

Kamera jest zamontowana wysoko nad lodówką i wycelowana prosto we mnie. Dopiero teraz uderza mnie myśl, że nagrała, jak ja i Noah się całujemy. I obściskujemy. Wszystko jedno. Chyba po prostu... mieliśmy to gdzieś.

W dolnym łóżku po lewej na plecach leży Peter z dłonią na oczach. Obserwuję go przez chwilę, czując dywan pod stopami. Jest gładki, nie szorstki. Peter ma małą bliznę na podbródku. Małą, białą kreskę. Powstrzymuję się od wyciągnięcia dłoni i dotknięcia jej. Część mnie chce go obudzić i zapytać o sieci, ciemny zaułek i deszcz.

Kręcę głową i wspinam się na swoje łóżko, stojące kilka kroków dalej. Przykrywam twarz kołdrą i czekam na sen.



Nadchodzą marzenia senne. Noah jest w moim łóżku i zachowujemy się cicho, bo pozostali śpią i oboje wiemy, że to wbrew zasadom. Czuję, jak jego palce zataczają powolne kółka na nagiej skórze moich pleców. Gorący oddech owiewa mi ucho. Pyta, czy możemy, ale odpowiedź brzmi jak zwykle - nie. Wydaje z siebie pełen rozczarowania jęk i całuje wrażliwe miejsce pod moim uchem.

- Jak długo każesz mi jeszcze czekać? - pyta.

Pokój zmienia się, zanim zdążę odpowiedzieć. Teraz gram w szachy z Olive. Pochyliła się nad swoimi pionkami, przygryzając wargę. Noah i Peter siłują się bez większego zapалу pomiędzy naszymi łózkami.

- Nie martw się tak - mówię do Olive. Choć prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, do czego konkretnie to się ma odnosić.

- To był głupi błąd - odpowiada Olive. - Nic dziwnego, że zawsze zajmuję czwarte miejsce.

- Hej, ja zawsze jestem trzecia. To jeden z czterech.

Twarz Olive wydłuża się.

- Zawsze jesteś druga. Nie udawaj, że Noah jest szybszy od ciebie. Albo mądrzejszy.

Uśmiecham się, przesuwając gońca na jej połowę planszy.

- No cóż, płacze, jeśli nie pozwalam mu wygrać.

- Słyszałem to - mówi Noah, unikając jednego z kopniaków Petera. - Oczywiście, nasz wspaniały przywódca musi być najlepszy we wszystkim. - To żart, ale jest w nim jakaś zaczepka. Cień oskarżenia.

Peter chichocze. Pokój znów się zmienia, przeistaczając się w jeden z kamiennych korytarzy. Nasza czwórka wychodzi zza zakrętu i staje jak wryta. Przed nami stoi Phil z ramionami skrzyżowanymi na szero-

kie; jak beczka piersi. Ma rudą bródkę, ale jego głowa jest błyszcząca i gładka.

- Dokąd to? - pyta.

Olive wychodzi przed szereg. Od zawsze miała największy wpływ na Phila. Może i nie jest najsilniejszym wojownikiem, ale za to najlepszy z niej słuchacz.

- Idziemy na spacer, *sifu*. - Tylko ona tak na niego mówi. To chińskie słowo oznaczające pana lub nauczyciela.

- Jest już po północy - zauważa Phil.

- My tylko chcemy wyjść na zewnątrz - dodaje Olive, posyłając mu swój najbardziej olśniewający uśmiech.

Phil stara się utrzymać surowy wyraz twarzy, ale odsuwa się na bok.

- Wróćcie, zanim wzejdzie słońce, bo w przeciwnym razie Tycast każe wsadzić mój tyłek w gips. - Phil zawsze używa tego zdania, które nieodmiennie przywołuje niepokojące obrazy. - Jutro rano mamy misję, więc żadnych zaspanych twarzy.

Słowo „misja” sprawia, że jęczymy zgodnym chórem, ale tak naprawdę jesteśmy nią podekscytowani. Trenujemy bez przerwy lub mamy zajęcia, ale co jakiś czas Phil wysyła nas na misje zwiadowcze w mieście i poza nim. Uwielbiam te wyjścia, rozprostowywanie nóg i widok nieba.

Noah klepie Phila w pierś.

- Tylko nie mów, że boisz się dobrego doktora Tycasta.

Phil kręci głową i uśmiecha się.

- Ten facet jest przerażający.

Korytarz znów się zmienia. Jesteśmy na stacji, później tego samego dnia, biegniemy wzdłuż pędzącego pociągu. Wskakujemy na stopnie ostatniego wago-

nu, wspinamy się na dach i jedziemy przez parną noc rozświetloną jedynie białym księżycem. Czysta euforia.

Sceneria znów się zmienia. Jestem w klasie. Nasza czwórka uczy się matematyki, historii, a później ekonomii.

Phil jest naszym nauczycielem. Cztery krzesła, cztery biurka, czterech uczniów. To zawsze odbywa się w ten sposób. Zajęcia służą do szybkiego opanowania materiału tak, żebyśmy mogli wrócić do treningu fizycznego. Żadnych rozmów, wyłącznie wykłady i testy. Phil przeraża nas opowieścią o tym, że cywile spędzają w szkołach więcej niż siedem godzin dziennie, a i tak uczą się mniej od nas. My ogarniamy wszystko w trzy godziny.

Nagle ląduję na sali gimnastycznej. Phil demonstruje nam rzut na Olive, a potem ćwiczymy go na sobie do momentu, w którym dostajemy zadyszki.

Kolejna zmiana. Jestem w całodobowej restauracji. Nasza czwórka siedzi w boksie. Noah i ja trzymamy się za ręce pod stolikiem. To ta sama noc, kiedy dla zabawy jeździliśmy pociągiem.

Kilkoro dzieciaków je hamburgery i frytki w boksie naprzeciwko nas. Jeden mówi szeptem żart, a pozostali wybuchają śmiechem i zerkają na nas ukradkiem do chwili, w której łapię kontakt wzrokowy z jednym z nich. Wtedy przestają.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby być normalna? - pyta Olive, wrzucając frytkę do ust.

- A co jest normalne? - pytam.

Olive wzrusza ramionami i dźga Petera łokciem w bok.

- Co jest normalne, nasz Nieustraszony Przywódco?

Peter wybucha śmiechem, kręcąc głową.

Obca pamięć

- Chciałbym, żebyście przestali mnie tak nazywać. Nie prosiłem się o to.

Noah wypija swoją colę do dna.

- Nie, ty po prostu nie umiesz nic poradzić na to, że jesteś najsilniejszy i najszybszy.

Peter uśmiecha się.

- Znów chcesz się siłować na rękę?

Noah wydaje z siebie niski jęk.

- Nie, dzięki. - Pociera przedramię. - Nadal mnie boli.

To wcale nie jest zabawne. Wciąż jesteśmy pod-ekscytowani z powodu wymknięcia się na zewnątrz, więc się śmiejemy. Mimo wszystko widział nas Phil, więc z praktycznego punktu widzenia to nie kwalifikuje się jako wymknięcie. Noah ściska mnie pod stolikiem za udo.

- Gotowi do powrotu? - mówi Peter. - Już prawie świta.

- Zostańmy jeszcze trochę - odpowiadam.

Nie wiem, co było dalej.

Gdy się budzę, czuję się jednocześnie pusta i pełna. Wspomnienia bledną, ale pozostają we mnie. Fragmenty mojej przeszłości opuszczają mnie, pragnąc więcej.

Znów chwytam się jednego z nich, ostatniego wspomnienia z restauracji. Jestem w boksie, ale nie pamiętam, jak się wtedy czułam. Widzę Petera, Noaha i Olive, ale to tylko ludzie. Lubię to, jak Noah trzyma mnie za rękę. Jestem pewna, że to lubiłam.

To nie jest odpowiedź na pytanie, kim jestem, ale teraz mam lepsze rozeznanie. A to już coś.

Jednak z drugiej strony, to nic mi nie mówi. Fragmenty wspomnień nie idą w parze ze zrozumieniem znajdujących się w nich ludzi. Przyszły i odeszły, zbyt szybko, by móc ich w ogóle doświadczyć lub za-

chować jako prawdziwie moje. Jak film z życia obcej osoby. Jak wiele mogę się nauczyć z paru migawek?

Może jeśli uzbiera się więcej fragmentów, będę miała lepszy ogląd sytuacji. Jeśli uzbiera się więcej wspomnień, możliwe, że dam radę je zatrzymać.

Wzdycham, odrzucam pościel i siadam na łóżku. Odzyskanie kilku wspomnień miało sprawić, że będzie lepiej, ale tylko potwierdza, że istniało kiedyś życie, które należało do mnie.

Moja przepocona koszulka przykleja się do pleców i brzucha. Odgarniam włosy z twarzy i związuję je w luźny kucyk. Potem uświadamiam sobie, że umieram z pragnienia. Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, jeszcze zanim docieram do łazienki.

Zapala się światło. Peter opiera się o drzwi jednej z kabin. Ma na sobie dżinsy i nic poza tym.

Zaskakuje mnie, więc jestem nieco rozdrażniona, kiedy mówię:

- Co tutaj robisz?

Wzrusza ramionami, co wypada dziwnie, bo ma je przyklejone do drzwi kabiny.

- Rozmyślasz sobie w ciemnościach, co? - pytam.

- Nie mogłem spać.

Mocno się stara, żeby tego nie robić, ale omiata wzrokiem moje odsłonięte nogi, zanim przenosi spojrzenie na moją twarz. Siła woli pozwala mi patrzeć mu w oczy, a nie gapić się na linię jego bioder kryjących się pod dżinsami. Przeczesuje dłonią swoje czarne włosy. Próbuję przypomnieć sobie, jak patrzyłam na niego we śnie i czy czułam coś wtedy, ale nie potrafię.

- Miałam sen. Wspomnienie Noaha - naszej czwórki. To było wspomnienie.

Obca pamięć

- Złudzenie - mówi. - Możesz je miewać od czasu do czasu.

- Czy nie mogą być nieco jaśniejsze?

Odwraca wzrok.

- Nie.

- Wcześniej powiedziałeś, że nie jesteś pewny.

Wzrusza ramionami.

- Masz rację, nie jestem.

- W takim razie dlaczego...

- Po prostu nie chcę, żebyś miała niepotrzebną nadzieję. - W sposobie, w jaki to mówi, jest coś dziwnego, jakby zostawiał jakieś niedopowiedzenie.

Może w końcu uzbieram więcej wspomnień. I może nie będą powiązane z cudzymi emocjami.

Może.

Stoimy tak bosko na zimnych płytkach. Żadne z nas nie wie, co powiedzieć. Wypełniam ciszę czymkolwiek.

- Nie martw się tym, gdzie są moje nadzieje. - Milknę. - Albo wsadzę twój tyłek w gips. Peter otwiera usta.

- Pamiętasz Phila.

Kiwam głową.

- Trochę.

- Kręci się w pobliżu. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie przyszedł cię odwiedzić.

- Może boi się, że go nie poznam. - To żart, ale później myślę sobie, jakie to wszystko musi być dla pozostałych. Znają mnie, nawet jeśli ja nie znam siebie.

Ramiona mam skrzyżowane na piersi. Czuje się dziwnie, stojąc na środku łazienki, więc podchodzę do kabiny i również opieram się o drzwi.

- Więc chcesz powiedzieć, że stałeś sobie tutaj po ciemku?

- Rozciągałem się. To pomaga mi spać, gdy mam koszmary.

- Jakie koszmary?

Podchodzi do umywalki i napełnia szklanę wodą, kompletnie mnie ignorując. Dwie umywalki, dwa lustra, cztery szczoteczki do zębów. Peter stoi plecami do mnie. Gruba czerwona blizna biegnie poziomo od ramienia do ramienia. Wybrzusza się, gdy unosi rękę, by się napić. Zastanawiam się, skąd ją ma, a potem uświadamiam sobie, że pewnie już wiem. A na pewno wiedziałam jeszcze kilka dni temu.

Koszmary to drażliwy temat. Próbuje czegoś innego.

- Znoszę to całkiem nieźle, nie sądzisz? - Albo świetnie udaję. Nadal czuję się tak, jakbym mogła popękać, zupełnie jakbym była posklejana słabym klejem.

- Tak jak powiedziałem, jesteś wyszkolona. Przystosujesz się. I mimo tego, że zapomniałaś, nadal będziesz pamiętać nasz sposób życia. Mieszkaliśmy tu od lat. W ostatnim tygodniu graliśmy w szachy, 1y i ja. Wygrałem, ale wydaje mi się, że mi na to pozwoliłaś. A ty nigdy nie pozwalasz nikomu wygrać.

Gdy się odwraca, widzę jego czerwone oczy. To pewnie przez światło. Wcale nie wygląda na przybitego.

- Przyjaźnimy się od bardzo dawna - mówi.

- Przepraszam, ale nie pamiętam.

Wzrusza ramionami, jakby to nie miało znaczenia. Ale ma, i dobrze o tym wiemy.

- Stworzymy nowe wspomnienia.

Patrzę, jak odchodzi, i żałuję, że nie miałam czegoś lepszego do powiedzenia. Czegoś, co pokazałoby mu, że jestem tą samą dziewczyną, którą znał, nawet jeśli sama tego nie pamiętam.

Zostawia na blacie pełną do połowy szklanę. Wypijam wodę i wracam do łóżka.

Budzi nas pukanie do drzwi. Doktor Tycast przychodzi z niewielkim wózkiem. Dwie tace na wyższej półce zawierają śniadanie - proteinowy batonik bez nazwy, jajecznicę z białek i sok pomarańczowy. To i dwie strzykawki wypełnione słomkowym płynem.

- Uznałem, że przekażę wam wszystkie informacje tutaj, żebyście mogli iść zaraz po śniadaniu - mówi.

Siedzimy przy dużym stole. Szachownica leży pomiędzy nami a doktorem. Mogłam się wyspać i czuję się już lepiej. Łóżko pachniało i sprawiało wrażenie znajomego. Choć nie rozpoznaję przedmiotów wokół, jest mi dobrze, a to na razie wystarcza.

Doktor Tycast splata dłonie i pochyla się nad stołem.

- Czas naszej pracy jest ograniczony. Nie mam zwyczaju ukrywać przed wami ważnych spraw, ale w związku z Mirandy ostatnim... hmm...

- Nazwijmy to incydem - podpowiada Peter, szturchając mnie łokciem. Czuję ukłucie gorąca na karku. Jak on może z tego żartować? Potem uświadamiam sobie, że próbuje sprawić, bym poczuła się komfortowo, żeby znów było jak dawniej. Zakładając, że wcześniej również żartowaliśmy w ten sposób.

Doktor Tycast zauważa, że moja reakcja nie jest negatywna.

- W porządku, incydem. Jak już mówiłem... - Zdejmuje okulary i pociera grzbiet nosa. Nadal ma podkrążone z niewyspania oczy. - Wiem, że masz tajemnice. Peter, wiem, że jako przywódcę Phil trenował cię inaczej. Nie ma go tutaj, ale jeśli znasz sposób, w jaki można namierzyć Noaha i Olive, chcę, żebyś się nim posłużył. Zrobisz to?

- Tak - odpowiada Peter, gryząc batonika. Gdy Tycast mówił, Peter odbezpieczył obie strzykawki i zaaplikował zastrzyki. Żadnego zdezynfekowania skóry alkoholem, tylko szybkie ukłucie w ramię i gotowe. Nie narzekam, bo nie chcę wyjść na mazgaj a. Peter wbija strzykawkę w swoje ramię, naciska tłok, odkłada obie na tacę, a potem znowu odgryza kawałek batonika. Całkowity czas czynności - sześć sekund.

- W takim razie znajdź ich - mówi Tycast. - I trzymaj Mirandę na krótkiej smyczy.

- Hej - wtrącam się. Powiedział to w niezobowiązujący sposób, ale to nie znaczy, że chcę o sobie myśleć jak o kłopotliwym zobowiązaniu. Poza tym nie jestem psem.

Doktor Tycast unosi dłoń.

- Gdybyś była sobą, młoda damo, zgodziłabyś się ze mną. Nie jesteś... godna zaufania. Przynajmniej na razie. Jesteś w grze, bo cię potrzebujemy. Zrozumiałaś?

- A co z tymi facetami uzbrojonymi w pistolety? - pytam. Oni sprawiają wrażenie całkiem godnych zaufania.

Uśmiecha się.

- Nie spędzili prawie dziesięciu lat na trenowaniu z Peterem. Peter cię zna. A my musimy wiedzieć, co potrafisz, a czego nie. Więc pójdiesz z nim.

- Tak, sir - odpowiadam automatycznie bez wymądrzania się.

Doktor klaszcze w dłonie, przenosząc spojrzenie ze mnie na Petera i z powrotem na mnie.

- Świetnie. Fantastycznie. Sprowadźcie ich do domu. Nie wracajcie, dopóki tego nie zrobicie.

Zostawia nas samych. Drzwi zamykają się, gdy biorę ostatniego kęsa.

Peter wstaje zaaferowany, ocierając kąciuki ust.

- Ubieraj się.

Z początku jestem zdezorientowana, bo mam już na sobie ubranie. Potem otwieram komodę i już rozumiem, o czym mówi.



Mój uniform składa się z dwóch części.

Pierwszą warstwę stanowi kombinezon ochronny. Czarna, jednoczęściowa zbroja, która przypomina skafander nurka pokryty łuskami. Materiał jest utkany z czegoś, nad czym Peter nie chce się rozwodzić. Po prostu chce, żebym go na siebie wciągnęła i żebyśmy mogli zbierać się do drogi. Zakładam go. W łazience. Wsuwam kończyny w sztywny, lecz wystarczająco rozciągliwy materiał, czując się trochę jak cyborg. Zakrywa mi stopy i kończy się na szyi, pozostawiając odkryte dłonie. Kombinezon kurczy się nieco, okrywając szczelnie moją nagą skórę.

To pierwsza warstwa.

Na drugą warstwę składa się para zwykłych dżinsów oraz czarna koszulka z długim rękawem. Kiedy mam je na sobie, nie widać spod nich czarnego uniformu. Pod łóżkiem mam parę miękkich, czarnych butów ze skóry, z wepchniętymi do środka skarpetkami. Wsuwam je na stopy, podczas gdy Peter bierze koszulkę podobną do mojej, tylko ciemnogrnatową.

- Co z bronią? - pytam. Założenie zbroi sprawiło, że moje myśli podążyły odruchowo tym torem. Nagle jestem podekscytowana bronią.

Uśmiechając się, Peter zakłada koszulę przez głowę.

- Pamiętasz coś?

- Nie, ja... To dziwne.
- Dziwne w pozytywnym sensie? - Siada na swoim łóżku i sznurowuje buty.
- Chyba tak.
- Zaczekaj chwilę.

Wychodzimy na korytarz i idziemy wzdłuż połykującego sufitu z powrotem do windy, nie mijając nikogo po drodze. Miejsce sprawia wrażenie pustego, jak krypta. Jestem lekko skołowana, jeszcze zanim wchodzimy na platformę windy. Nie wiem, co wydarzy się później, i to mnie podnieca. Czuję się tak, jakbym była do tego stworzona.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak się prowadzi motor - mówi Peter, gdy docieramy do garażu.

W rogu stoją dwa motocykle, schowane za masywnym, oliwkowozielonym wielozadaniowym pojazdem kołowym. Są pomalowane na czarno. Nalepki z nazwami zostały usunięte, ale jakimś cudem wiem, że to *ducati superbikes*. Walczę z chęcią podzielenia się tą wiedzą z Peterem za każdym razem, gdy coś sobie przypomnę.

Ledwie widoczne ślady po gumie widnieją na betonie tuż obok. Brakuje dwóch pojazdów.

Peter wręcza mi kask.

- Jeśli nie, zawsze możesz jechać ze mną. - Nie patrzy na mnie, wychodząc z tą propozycją.

- Jestem pewna, że pamiętam. - Nie chodzi o to, że pomysł jechania na motorze razem z nim jest lub nie jest całkowicie odpychający. Po prostu... nie wiem. Sama potrafię jechać motorem.

Zbieram włosy w kucyk i zakładam kask. Peter odpala swój motor, warkot silnika wypełnia niewielki garaż. Także trącam zapłon. Chłopak wyciąga z kieszeni klockowaty zegarek i przypina go do lewego nadgarstka, a potem grzebie przy nim, podczas gdy moto-

cykle zatruwają powietrze gryzącym odorem spalin. W końcu wrzuca bieg, a ja robię to samo.

Jadę za nim w szarym świetle poranka wyboistą ścieżką prowadzącą do głównej drogi. Grunt jest nierówny, ale z łatwością omijam wgłębienia. Najwidoczniej w tym również byłam dobra.

Peter skręca w prawo, kierując się na północ. Rozmawia ze mną przez mikrofon zamontowany w kasku.

- Śledziłem Noaha i Olive. Przez jakiś czas jechali na zachód do Indiany, ale zatrzymali się w Indianapolis. Dotarcie tam powinno nam zająć nie więcej jak pięć godzin.

- Dlaczego?

Jego głos przedziera się z trzaskiem do moich uszu.

- Dlaczego się zatrzymali? A kto to wie? Może zmęczyli się podróżą. A może odkryli urządzenie namierzające, które im podłożyłem, i je wyrzucili.

Skręca ostro, wyprzedzając mustanga, i wraca na pas, zanim nadjeżdżającej z naprzeciwka ciężarówce udaje się zrównać go z ziemią. Dotrzymuję mu tempa, ciesząc się napierającym na mnie pędem wiatru i sposobem, w jaki motocykl poddaje się ruchom mojego ciała.

- To samo urządzenie, które mam ja? Po co mieliby nas tak wciąż namierzać?

Spogląda na mnie ponad ramieniem, ale nie widzę jego twarzy ukrytej za osłoną kasku.

- Na wypadek gdyby jedno z was zgubiło się w centrum handlowym.

Jedziemy dalej, zatrzymując się jedynie po to, żeby uzupełnić paliwo czy wrzucić coś na ruszt. Jazda powinna zamknąć się w czterech godzinach. Nie możemy oprzeć się demonowi szybkości na pustej i pro-

stej drodze. Gdy zbliżamy się do Indianapolis, zapada cisza. Wiem, że Peter zastanawia się nad tym, co znajdziemy w mieście. Jestem sama ze swoimi myślami. Jedna rzecz w szczególności nie zgadza się z tym, co mi powiedziano.

Na następnej stacji paliw siadam koło pompy i jaduję hot doga. Peter stoi przy motorach, obserwując drogę, zupełnie jakby spodziewał się towarzystwa.

- Peter?

Ani na sekundę me odrywa wzroku od drogi.

- Hmm?

- Powiedziałeś wcześniej, że zostaliśmy stworzeni do czynienia dobra. Do rozwiązywania konfliktów bez rozlewu krwi.

Peter wpycha resztki hot doga do ust i wyciera dłoń o dzinsy.

- Zgadza się - mówi z pełnymi ustami.

- Nie jestem ekspertem, ale sytuacja w galerii wymknęła się spod kontroli. Ludzie zostali ranni. - Gardło mam wyschnięte na pieprz. - Niektórzy zginęli. - Nie dodaję, że z mojej winy.

- To lepsze niż śmierć od kul, prawda?

Wstaję z miejsca.

- Owszem. Ale skąd możemy wiedzieć, że nasza moc zostanie wykorzystana w dobrym celu?

- Podobnie jest z wszystkim innym. Wszystko można wykorzystać w imię zła. Pistolet można wykorzystać do zabójstwa, ale w odpowiednich rękach ta sama rzecz może służyć ochronie.

Wsiadam na motor, czując, jak gorąco z silnika wnika w moje uda. Plecy bolą mnie od nieustannego garbienia się.

- Wiem. Po prostu... czuję się jak broń.

Peter kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Ufam doktorowi Tycastowi. Nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś nas wykorzystał. Cokolwiek knują Noah i Olive, wkrótce się tego dowiemy.

To wystarczy, żeby mnie uspokoić; Jestem spokojna, bo on jest spokojny. Wątpię jednak, by cokolwiek zdołało stłumić gnębiące mnie zmartwienie.

Odpalamy motory i kierujemy się w stronę autostrady. Niedługo potem naszym oczom ukazuje się Indianapolis.

Gdy przekraczamy granicę miasta, Peter zaczyna przestrzegać ograniczeń prędkości. Jedziemy według obowiązujących zasad. Mijamy plac budowy. Policjant kierujący ruchem przez cały czas ma na nas oko. Podnoszę osłonę i uśmiecham się do niego. Po sekundzie odwzajemnia uśmiech i skierowuje uwagę z powrotem na auta.

Peter unosi osłonę kasku tylko po to, by przewrócić oczami.

Sygnał prowadzi nas do hotelu Holiday Inn znajdującego się na obrzeżach centrum. Na budynek składają się cztery piętra wzniesione z jasnej cegły. Nuda. Domyślam się, że to idealne miejsce na kryjówkę. Niezbyt może tanie, ale jednocześnie nie za drogie.

Dwa motory identyczne z naszymi stoją zaparkowane na tyłach. Zostawiamy swoje niedaleko, schowane za ogromną furgonetką, na wypadek gdyby Noah i Olive obserwowali parking przez okno. Peter unosi siedzenie swojego motoru i wyciąga ze środka dwa niewielkie pistolety marki Walther PPK. Rzuca jeden w moją stronę. Wsuwam broń za pasek spodni z tyłu, obciążam koszulkę.

- Są naładowane - mówi chłopak. - Mam nadzieję, że pamiętasz, jak się strzela.

- Ja również. - Nie ma w tym pewności siebie, jeszcze nie. Przychodzi przecież dopiero w chwili, w której odkrywam, że faktycznie coś potrafię.

Wchodzimy do hotelu z taką pewnością, jakbyśmy byli u siebie, nie zwracając uwagi na portiera za biurkiem. Idę za

Peterem i jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to kawał metalu przyciśnięty do mojego kręgosłupa. Mam nadzieję, że nie będę musiała go użyć.

W windzie Peter ponownie zerka na zegarek, którego najwidoczniej używa do zlokalizowania Noaha i Olive. Dłonie mi się trzęsą. Nie wiem, czy ze strachu, czy dlatego, że boję się spotkania z pozostałą dwójką. Dzięki Noahowi nie mam wątpliwości tylko co do targającego mną gniewu. Nadal nie mogę uwierzyć, że chłopak, którego całowałam na nagraniu, odebrał mi wspomnienia.

Peter prowadzi mnie do pokoju czterysta dziewięćdziesiąt sześć i po raz ostatni spogląda na zegarek. Odsuwa się na bok, trzymając broń przy udzie, a potem kiwnięciem głowy wskazuje drugą stronę drzwi. Zajmuję podobną pozycję, nasłuchując przez gwałtowne bicie serca jakichkolwiek oznak życia.

Peter puka trzy razy.

Nic, żadnej odpowiedzi. Peter puka jeszcze trzy razy.

- Obsługa - mówi. Uśmiechamy się do siebie mimo powagi sytuacji. - Dajcie spokój. Noah, Olive, otwórzcie drzwi. - Po kilku sekundach Peter wzdycha. - W porządku, wchodzi. Nie strzelajcie.

Żadne z nas nie ma klucza, więc Peter unosi stopę i kopie w drzwi powyżej klamki. Rozlega się dźwięk jak przy wystrzale. Drzwi otwierają się na oścież i odbijają od ściany, prawie w nas uderzając, ale Peter prze naprzód, osłaniając się ramieniem, z wyciągniętą bronią i

napiętymi mięśniami. Wchodzę sekundę po nim i jednym spojrzeniem omiatam pokój...

Łóżko. Małe biurko. Telewizor z wypukłym ekranem. Drewniana komoda pod ścianą. Okno wychodzące na część śródmieścia. Ciemne przejście po mojej lewej. Łazienka.

I Peter, stojący jak słup soli z lufą pistoletu przystawioną do skroni.

- Rzuć broń - odzywa się osoba trzymająca pistolet.

Rozpoznaję go natychmiast. Noah. Chłopak, którego całowałam.

Jego oczy wędrują w moją stronę.

- Miranda?

W chwili, w której po raz pierwszy nawiązujemy kontakt wzrokowy, czuję gniew eksplodujący w moim wnętrzu.

Peter wykonuje błyskawiczny ruch, próbuje wytrącić broń lewą ręką i zadać cios prawą, ale Noah jest szybszy. Robi zamach pistoletem i uderza nim w czoło Petera, który potyka się i obją biodrem o kant biurka. Przyciska dłoń powyżej brwi, krew spływa mu po policzku i skapuje z podbródka.

- Nie próbuj tego znowu - mówi Noah.

- Dzięki za radę - odpowiada mój towarzysz, opierając się o ścianę.

Trzymam pistolet wyłącznie siłą woli i wycelowuję go w Noaha. Czynię to z trudem nie dlatego, że jest ciężki. Chodzi o to, że wiem, iż nie powinnam tego robić. To złe - obojętnie, jak by się do tego podeszło. Powinniśmy stanowić zespół. Oczy Noaha rozszerzają się. Wiem, że chce przenieść lufę pistoletu z Petera na mnie.

Nie robi tego. I wiem dlaczego. Wyczuwam ruch w ciemnej łazience po mojej lewej. Zanim udaje mi się

ogarnąć sytuację i zdecydować na zmianę celów, lufa broni wsuwa się w moje włosy.

- Rzuć to - mówi dziewczęcy głos.

Drzwi za mną zamykają się, odcinając nas od korytarza.

- Chyba żartujesz.

- Nie rób tego - mówi Peter. - Ona i tak nie strzeli.

- Zamknij się - odpowiadają jednocześnie Noah i dziewczyna.

To musi być Olive. Widzę ją kątem oka, czającą się na krawędzi ciemności. Jedynym szczegółem, jaki udaje mi się rozróżnić, są długie czarne włosy.

Stoimy tak przez dobre czterdzieści sekund - ja celuję w Noaha, Olive celuje we mnie, Noah w Petera, a Peter zwyczajnie trzyma się za głowę. W końcu dochodzi do siebie, mruga kilka razy i wymierza pistolet w Olive.

- Wygląda na to, że dopełniam układanki.

- Opuść broń - mówi spokojnym głosem Noah.

Peter potrząsa głową.

- Ludzie, posłuchajcie mnie. Choć przez minutę.

Czeka. Nie ruszamy się z miejsca. Przyglądam się Noah owi kątem oka. Jest wyższy, niż wydawał się na nagraniu, równie wysoki jak Peter. Pot występuje mu na czoło. Na jego twarzy maluje się wyraz, który od razu rozpoznaję.

Podejrzliwość.

Wydaje mu się, że to my mamy złe zamiary. Dużo wysiłku kosztuje mnie, żeby nie roześmiać się jak idiotka. I to nie zwykłym śmiechem, a raczej czymś w typie „zabierzcie tę laskę do wariatkowa”. Patrzę na chłopaka, który był wcześniej moim facetem, i

coś wyczuwam. Ducha przeszłości. Ale sam pomyśl, że podejrzewa nas, podczas gdy to on uciekł w taki sposób... jest tak kretyński, że zaczynam wątpić we wszystko, czego się do tej pory o sobie dowiedziałam. Wierzę, że byliśmy razem. Nie rozumiem tylko jak. W dodatku cała ta sytuacja, kiedy celuję do niego z pistoletu, niczego nie poprawia.

- Jeśli chcesz się z nami czymś podzielić, to proszę bardzo - mówi Noah. Zerka na mnie przez cały czas, szukając czegoś. Zrozumienia? Niedoczekanie. Może gdyby nie podmienił moich zastrzyków i nie zrobił tego, co zrobił... Gniew, jaki początkowo czułam, zmniejsza się jak przykrecony płomyk na kuchence. Żadną miarą nie dorównuje pustce w mojej piersi, która zdaje się pożerać wszystko w sekundę po tym, jak to poczuje.

Peter bierze głęboki wdech.

- Kilka dni temu spaliśmy w tym samym pokoju, jedliśmy razem posiłki, chodziliśmy na zmianę pod prysznic. Trenowaliśmy razem. Mieliśmy razem zajęcia. Pamiętacie to? To znaczy wszyscy poza Mirandą.

Uśmiecha się do mnie - tym olśniewającym uśmiechem, który powinien zostać opatrzony znakiem handlowym. Noah sprawia wrażenie zniesmaczonego. Nie jestem pewna, co napawa go obrzydzeniem, on sam czy ja.

- Pamiętam - odpowiada Noah.

- Ja również - dodaje pogrążona w mroku Olive.

- W takim razie - ciągnie Peter - rozsądnym rozwiązaniem wydaje się rozmowa o wszystkim bez broni, prawda?

- Zgadza się - mówi Olive.

- Zamknij się, Olive - przerywa jej Noah.

- Sam się zamknij. Od kiedy jesteś szefem?

- Od momentu, w którym za mną poszłaś.

Ktoś w korytarzu otwiera i zamyka drzwi. Nasze wejście było dość głośne. Zastanawiam

się, czy wkrótce nie będziemy mieć towarzystwa.

Nikt nie chce zrobić pierwszego ruchu. To przynajmniej jest jasne. W porządku. Niech dziewczyna, która ma najmniej powodów, by ufać któremukolwiek z nich, pokaże, że jest skłonna do rozmów.

- Okej. - Powoli obniżam broń, aż znowu opiera się o udo. Dłoń mam śliską od potu.

- Moja dziewczyna - mówi Noah.

- Osobniku numer jeden, nie jestem twoją dziewczyną.

Uśmiech znika z jego twarzy, jakby nigdy go tam nie było. Wciąż celuje w Petera, który mierzy do Olive, która mierzy do mnie.

- Ludzie, właśnie opuściłam broń. Może wykażecie trochę dobrej woli, co?

Peter powoli opuszcza swój pistolet. Noah i Olive stoją bez ruchu.

- Teraz tylko wy jesteście uzbrojeni. Może powiecie nam, dlaczego uciekliście? I dlaczego - teraz mówię do Noaha - nie pamiętam ani jednej cholernej rzeczy?

Noah przetyka ślinę. Patrę, jak jabłko Adama chodzi mu w górę i w dół.

- Widziałem coś - mówi, nieustannie trzymając Petera na muszce.

- Co? - pyta Peter.

- Nie zgrywaj głupka. Dobrze wiesz, o czym mówię.

Peter zaciska szczęki, zerka na Noaha, który wygląda na jeszcze bardziej zdeterminowanego. Zanim udaje mi się opanować, idę już naprzód. Jeśli Noah nie chce przestać mierzyć do Petera, może nie zdecyduje się celować we mnie.

Wsuwam broń za pasek, a potem wyciągam ramię i kładę dłonie na klatce piersiowej każdego z nich. Obie są ciepłe.

Czuje łuski ich zbroi pod warstwą materiału. To powinno być niemożliwe, ale czuję też szybkie bicie ich serc pod palcami. Staram się mówić najspokojniej jak tylko się da.

- Albo będziemy ze sobą rozmawiać, albo się pozabijamy. Wybierajcie.

Od razu powinnam była tak zrobić.

Noah opowiada nam całą historię.

W zeszłym tygodniu myszkował w gabinecie doktora Tycasta w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych. Nadwyreżył plecy podczas misji treningowej. Mógł wziąć tylko określoną liczbę pigułek, ale ponieważ ból narastał, postanowił sprawdzić, co doktor trzyma w biurku. Każemy mu przejść do sedna.

Noah zamyka oczy i zdaje się pogrążyć w czymś na kształt transu.

- Po prostu... zostań ze mną - mówi. - Właśnie to się wydarzyło.

Dwie sekundy po znalezieniu tabletek usłyszał doktora Tycasta w korytarzu i ukrył się w niewielkim schowku, w którym naukowiec trzymał rzeczy osobiste. Było już późno. Uznał, że Tycast wejdzie na chwilę i zaraz wyjdzie, ale zamiast tego tamten usiadł, a coś zawibrowało na jego biurku, prawdopodobnie telefon.

- Ekran - powiedział. Na ścianie w dalekim kącie pomieszczenia pojawiło się nagranie, tak jak to miało miejsce w pokoju zatrzymań.

Noah nie widział, kto pojawił się na ekranie - drzwi do schowka były zamknięte, wpadała przez nie zaledwie wąska smużka światła. Wszystko było jednak doskonale słychać.

- Jesteś sam? - spytał głos, kobiecy i znajomy.

Obca pamięć

- Zawsze jestem sam, czyż nie tak? - odparł doktor Tycast.

- Mam na myśli fizycznie sam, Brett.

- Tak. Mów.

- Mamy zamiar przyspieszyć próbę.

- Wiem.

- Nie skrócić czasu, ale zrobić to teraz. Za dwa tygodnie.

- Mówiłaś, że mogę spędzić z nimi jeszcze rok.

- Mówiłam.

- Powiedziałem, że do tego momentu nie rozwina jeszcze w pełni swojego potencjału.

- Owszem.

- Więc dlaczego chcesz poddać ich testom?

- Dlatego że nasi kupcy chcą ich teraz i domagają się próbnego testu.

- Kim są ci kupcy?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego mam przecucie, że to nie jest nasz rząd?

- Ponieważ to nie jest nasz rząd, Brett.

- Znów się wycofali.

- Zgadza się.

- Wiedzą o dzieciach?

- Nie.

- Nastąpiła długa pauza, jakby doktor Tycast mocno się nad czymś zastanawiał. Kiedy wspomniałaś o przeprowadzeniu testu, miałaś na myśli to...

- To, o czym już rozmawialiśmy, doktorze. Powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko temu.

- Powiedziałem, że możemy to przedyskutować. Mieliśmy na to cały rok.

- Teraz już nie mamy tyle czasu. Zespół Beta zostanie zakwaterowany w ośrodku, a ty będziesz mógł spędzić z nimi kolejny rok. Zespół weźmie udział w te-

ście, żeby wyrównać moc, której brakuje Alfom. Im dłużej będziemy zwlekać, tym większe ryzyko, że już nigdy nie odzyskamy ani centa włożonego w ten projekt.

Kolejna pauza.

W końcu doktor Tycast powiedział:

- Mogą umrzeć setki osób. Tysiące. Nie wiemy, jaki będzie to miało zasięg.

- Dlatego potrzebny jest test, Brett.

- Możemy zrobić go na zewnątrz. Możemy przeprowadzić symulację...

- Mamy kupca. Wpłacono depozyt. Zażądali jednak prawdziwej demonstracji.

Głosowaliśmy dzisiaj, jednomyślnie.

- To dobre dzieciaki. Nie zgodzą się na to. Wiesz o tym.

- Mamy sposoby na to, by je przekonać. Wiesz, że nie dostarczymy ich do kupców bez odpowiednich środków bezpieczeństwa.

- Środki bezpieczeństwa - powtórzył doktor Tycast. - Tatuaze.

- Owszem, tatuaze. Jesteś w tym razem z nami, doktorze.

- Pytasz czy mnie o tym informujesz?

- Pytam. Daj spokój, Brett.

- Chcę wiedzieć, dokąd ich zabiorą. Po teście. Muszę to wiedzieć.

- Oczywiście. To twoje dzieci, tak samo jak i moje.

- Oczywiście.

Noah urywa w tym momencie. Przykłada dłoń do skroni. Mówi, że chce dokładnie odtworzyć rozmowę. To ważne. To dlatego tu jest. Dlatego zrobił to, co zrobił.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedziała kobieta.

- Tak?
- Chodzi o zbiega.
- Znaleźliście go.
- Nie. Jeszcze nie. Ostatni ślad prowadzi do Indianapolis, a potem się urywa. Istnieje prawdopodobieństwo, że się tam ukrywa. Albo wrócił do miasta.
- Myślisz, że Rhys zrobi to ponownie?
- Nie rozumiem, dlaczego miałyby tego nie zrobić. Widziałeś skutki jego ucieczki. Cztery martwe Róże w przeciągu kilku minut.

- Nie powinniście byli go wypuszczać! Wiedzieliście, że jest silniejszy od pozostałych.

- Tak, no cóż, staramy się odseparować go od reszty zespołów. Albo ich zabije, albo spróbuje wykorzystać przeciwko nam. W takiej sytuacji mam nadzieję, że wybierze to drugie. O ile rozumiesz, co chciałam powiedzieć.

- Nie uda mu się tu dostać.
- Mam nadzieję, że jesteś tego pewny.
- Jestem.
- W takim razie dobrej nocy, doktorze.
- Dobranoc.

Światło padające z ekranu zgasło. Doktor Tycast uderzył dłonią w blat biurka i zaklął cicho pod nosem, jakby się zranił. Po minucie Noah usłyszał, jak płacze. Szlochał przez pięć minut, zanim wziął się w garść. W końcu wyszedł. Noah podszedł do biurka i próbował znaleźć nagranie, ale zniknęło.

Nie wiedział dokładnie, co się stało, ale odkrył wystarczająco dużo. Mieli zamiar nas sprzedać, kazać nam krzywdzić ludzi. Mnóstwo ludzi.

- Chciałem, żebyś była bezpieczna - mówi Noah.
- Podmieniałem twoje zastrzyki do momentu, w którym leku nie było już w twoim organizmie.

Chciał, żebym była bezpieczna. Ludzie w centrum handlowym zginęli dlatego, że on chciał, bym była bezpieczna.

- Zabrałem cię ze sobą i... nie mam żadnej wymówki, wiem. Po prostu chciałem, żebyś była bezpieczna.

Wszyscy wlepiają we mnie wzrok.

Noah przeczesuje dłonią krótkie włosy.

- Potem pojechałem poszukać zbiega. Tego Rhysa, o którym mówili. On mógłby wszystko zmienić. Mógłbym nam pomóc.

- Albo zabić - mówi Peter. - Wygląda na to, że zarabia na życie zabijaniem Róż.

Noah unosi ręce i rozkłada szeroko dłonie.

- Tak. Róże. Liczba mnoga. Więcej takich jak my. Musiałem wiedzieć, czy to prawda. Wiedziałem, że jeśli znajdę zbiega, istnieje duża szansa, że zabije mnie na miejscu. Razem z Mirandą, gdybym przyprowadził ją ze sobą.

Zostaw mnie w domu, a zostanę sprzedana jako broń. Weź mnie ze sobą i zaryzykuj śmierć z rąk kogoś, kto zdażył zabić cztery inne Róże. Tak, teraz rozumiem. Ale w tej chwili to ostatnia rzecz, o jakiej jestem w stanie myśleć. Odebrał mi możliwość wyboru.

W dodatku w jego argumentacji kryje się jedna wada.

- A ryzykowanie życia Olive było w porządku? - pytam.

Olive wytrzymuje moje spojrzenie.

- Nie zgadzam się z tym, co zrobił, ale nikt nie ryzykował moim życiem. Poszłam za nim dlatego, że musieliśmy coś zrobić. - Oblizuje usta, wzdycha. - Za nim zdażyłam odkryć plany Noaha, było już za późno, żeby go powstrzymać.

- Udało wam się znaleźć zbiega? - zwracam się do Noaha.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz potem je zamyka. Kręci powoli głową.

- Nie miałeś żadnego prawa - mówię, znów czując się bardziej pusta niż wściekła. Próby zrozumienia tego wszystkiego zaczynają mnie męczyć. - Dlaczego w takim razie zostawiłeś mnie w centrum miasta, skoro chciałeś mojego bezpieczeństwa? - Nie jestem nawet w stanie ogarnąć umysłem zdrady doktora Tycasta. Jeśli rzeczywiście coś knuje, nie mogę wierzyć w nic, co powiedział mi zeszłej nocy.

- Olive i ja siadamy w nogach łóżka. Peter opiera się o ścianę z założonymi rękoma i wygląda przez okno, trzymając przy czole upstrzony czerwienią ręcznik. Noah chodzi w kółko, od czasu do czasu wyciągając dłonie i splatając je za głową. Nie zostawiłem cif w centrum. Pojechaliliśmy do Columbus.

- Obudziłam się w Cleveland. W takim razie musiałam jechać dalej, tracąc wspomnienia gdzieś po drodze. Zmierałam do domu, nawet jeśli nie pamiętałam, to podświadomie wiedziałam, gdzie jest. Mimo to w dalszym ciągu dzieli mnie od niego kawał drogi, a ja nic nie pamiętam.

Noah kręci głową. Nie przestaje chodzić w tę i z powrotem.

- Jesteś dupkiem - mówię.

Zatrzymuje się.

- Wiem, Mirando. Zrobiłem to dlatego, że...

- Przestań! Nie mów tego. Nie chcę tego słuchać.

- Muszę to powiedzieć.

- Nie, nie musisz.

Jeśli usłyszę, jak mówi słowo „miłość”, to nie wiem, co zrobię. Nadal mam pistolet w dłoni. Może pewnego dnia będę w stanie mu wybaczyć, ale jedyna

szansa na to zostanie utracona bezpowrotnie, jeśli ogłosi, że zrobił to z miłości. Jeśli kogoś kochasz, cały zamysł polega na tym, że szanujesz tę osobę na tyle, by jej zaufać. Nie odbierasz jej wolności. Ani życia.

Skoro Noah tak twierdzi, to otwierają się przed nami całkiem nowe pytania. Na przykład dlaczego siedzi w tym pokoju hotelowym z inną dziewczyną zamiast mnie? Skoro naprawdę kochasz mnie, to dlaczego zabrałeś ją?

Noah kręci głową, unikając mojego spojrzenia.

- Pomyliłem się. Wiem. Pomyliłem się. Nie wiem, co powiedzieć. Mogłbym powtarzać, że jest mi przykro jeszcze milion razy. A więc pomyliłeś się - mówię. - Dlaczego nie pozwoliłeś mi pomóc sobie? Myślisz, że jestem idiotką?

- Nie, oczywiście, że nie! Po prostu nie mogłem ryzykować twojego bezpieczeństwa. Wiem, że to kiepsko brzmi, ale o to właśnie chodziło. Po tym, jak dowiedzieliśmy się więcej, jak odkryliśmy komu możemy ufać, miałem zamiar... Miałem zamiar po ciebie wrócić.

- Więc byłem czymś w rodzaju problemu, który musiałeś ukryć do momentu, w którym będziesz miał czas, żeby się nim zająć.

Noah milczy, bo nie ma nic do powiedzenia.

- Mogłeś zrobić coś innego. Wszystko, byle tylko nie odbierać mi wspomnień. - Czuję, jak krew szumi mocniej w uszach, wprawiając mnie w drżenie. Gorąco wrze pod skórą.

W pokoju zapada cisza. Słyszę powietrze wirujące w wentylatorach i statyczny szum, jaki emituje telewizor mimo tego, że jest wyłączony.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz mnie teraz. I wiem, że „przepraszam” tutaj nie wystarcza.

Obca pamięć

- Ale dlaczego Peter? - pytam. - Dlaczego zostawiłeś go za sobą?

Noah przestaje chodzić w kółko i odwraca się do Petera, który marszczy brwi, jakby chciał spytać: „No i?”.

- Nie miałem pewności - mówi Noah. - Od zawsze był pupilkiem Tycasta, nie wspominając już o tym, że był przywódcą. Gdyby o wszystkim wiedział lub był w to zamieszany, zdradziłbym się, gdybym go zapytał.

- Nie dziwię ci się - dodaje Peter. - Byłem w to zamieszany przez cały czas. - Na ułamek sekundy pokój usuwa mi się spod nóg.

Zrozumienie wszystkiego zajmuje Noahowi chwilę dłużej. Powoli potrząsa głową.

- Kiepski dowcip - mówię, wiedząc, że Peter nie miał zamiaru nas zdenerwować. Cała irytacja, jaką czuję, została zepchnięta na drugi plan przez Noaha i jego czyny.

Peter śmieje się, widząc groźne spojrzenie drugiego chłopaka.

- Żartowałem, palancie. Ale rozumiem. Nie potrafię tylko wybaczyć tego, co zrobiłeś Mirandzie. - Napotykam jego spojrzenie. Po raz pierwszy od wydarzeń, jakie rozegrały się w galerii, wiem, że nie jestem sama.

Znów czuję na sobie spojrzenia pozostałych, którzy prawdopodobnie oczekują ode mnie jakiejś reakcji. Niestety, zawiodą się. W środku może i jestem w kompletnej rozsypce, ale na zewnątrz udaje mi się zachować spokój. Nie daję Noahowi niczego, bo tylko na to zasługuje.

- Wybacz - mówi Noah do Petera. - Powinienem był ci zaufać. Po prostu nie wiedziałem, co odkryję. Co zrobi Rhys, kiedy go znajdę. Nie myślałem wtedy jasno. Ja...

Peter unosi rękę.

- Nie martw się tym. - Wskazuje na Olive. - Ale po tobie spodziewałem się czegoś więcej. - Wybuchają śmiechem, a Olive robi to samo. Noah ryzykuje ostrożny uśmiech, wpatrując się w podłogę. Mam wrażenie, jakbyśmy na nowo scalali się w jedną grupę, ale nie mam pojęcia, czy do niej pasuję. Nagle Olive odwraca się i oplata mnie ramionami, ściskając mocno. Początkowo jestem zszokowana, ale zaraz odwzajemniam uścisk. Przez głowę przemyka mi myśl: *ściskam obcą osobę.*

- Nie chciałam, żeby to robił - mówi dziewczyna.
- Nie wiedziałam, co zamierza, dopóki nie było po wszystkim.

Noah od żywa się zza moich pleców:

- Och, błagam, Olive. Nie potrzebuję, żeby nie nawidziła mnie jeszcze bardziej.

Olive odsuwa się, a ja widzę jej mokrą od łez twarz.

- To prawda. Poszłam za tobą tylko dlatego, że...

- Dlaczego? - pyta Noah.

Olive kręci głową i odwraca się. Nie potrafię patrzeć na Noaha bez złowrogiego wyrazu twarzy. To fizycznie niemożliwe.

My... razem? Zakochani? Może w innym życiu.

Zanim udaje mi się wykrztusić z siebie cokolwiek, ktoś wali do drzwi.

Policja! Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiadam automatycznie. Kiedy Noah opowiadał nam tę historię, wcisnęłam zepsute drzwi z powrotem w futrynę. Wystarczy, że policjant popchnie je mocniej, a otworzą się. Od zewnątrz muszą jednak sprawiać wrażenie całych.

Głos policjanta dochodzący zza drzwi jest stłumiony.

Obca pamięć

- Panienko? Proszę otworzyć drzwi.
- Nie jestem ubrana. Da mi pan chwilę?
- Nie będziemy go atakować - szepcze Peter.
- Mogę go poczęstować małym wybuchem - mówi Olive.

Noah podchodzi do okna. Jest za wysoko, by skakać, i nie ma balkonu, z którego moglibyśmy spuścić się piętro niżej.

To idealna okazja, by sprawdzić, jak to jest celowo wywołać w kimś strach. Jeśli strach nie znajduje się jeszcze pod moją całkowitą kontrolą, musi to wreszcie nastąpić. Nie mogę pozwolić, żeby znów mnie zaskoczył.

Mam tylko nadzieję, że policjant woli atak paniki niż uduszenie.

- Ja to zrobię - mówię. Pomysł sprawia, że oblewa mnie zimny pot, ale to najlepszy sposób. A przynajmniej na to liczę.

Noah kręci głową.

- Zaczekaj.

Nie czekam. W grę wchodzi strach pochodzący od jednego z nas lub ryzyko fizycznego zranienia policjanta. Wyglądam przez wizjer i widzę zniekształconą sylwetkę - niebieski mundur, odznakę, pistolet i pałkę. Jego wsparcie może kryć się po prawej i lewej stro nie.

Olive kiwa do mnie krótko. Zamykam oczy i staję twarzą do drzwi.

Natychmiast czuję w głowie gorąco. Ciśnienie narasta, strumień temperatury zawyża się, po czym zostaje uwolniony. Nie wiem właściwie, jak to zrobiłam. Wrażenie jest podobne do zatkania kciukiem węża ogrodowego i wypuszczenia niewielkiego strumienia wody. Po zaczerpnięciu uspokajającego wdechu ciśnienie zdaje się zmniejszać, ale nie całkowicie.

Przez drzwi słyszę zdławiony krzyk policjanta. Pozostali tężeją za moimi plecami, czuję to. Dzięki energii wypełniającej moją głowę mam bardzo wyostrome zmysły. Mogę przysiąc, że słyszę, jak dywan ugina się pod ciężarem idącego w moją stronę Noaha. A może to po prostu wymysł mojej wyobraźni, a znajomy ból głowy płata mi figle?

Stłumione przez drzwi, chaotyczne kroki oddalają się od nas, kierują na lewo. Policjant chyba jest sam.

- Jak duża była fala? - pyta zaniepokojony Noah.

Żuję wewnętrzną stronę policzka, zdenerwowana tym, że moja akcja mogła mieć wpływ na pozostałych gości hotelu.

- Niezbyt - mówię.

Czy to dlatego chciał mnie zostawić? Bo byłam lekkomyślna? Jestem lekkomyślna?

Kręci głową i próbuje mnie minąć, ale pierwsza otwieram drzwi. Policjant zniknął. Jego krótkofalówka została na podłodze.

Peter sprawdza resztę korytarza - jesteśmy sami.

- Czas się zbierać - mówi Olive, przerzucając włosy przez ramię.

Przemierzamy korytarz, wsiadamy do windy.

- Dokąd idziemy? - pyta Noah, który jakimś cudem drepcze w kółko w windzie, choć nie ma w niej prawie miejsca. - Nadal możemy znaleźć tego Rhysa. Powinniśmy go teraz szukać.

On może znać prawdę. Może nam pomóc.

Peter wzdycha, gdy drzwi windy się zamykają.

- Wracamy do bazy. Jestem niemal pewien, że Ty-cast zamierza cię wychłostać. Gdy już będziemy na miejscu, porozmawiamy o tym, co usłyszałeś. Jeśli nie spodoba nam się to, co powie, odejdziemy wszyscy razem. - Peter patrzy na każdego z nas. - Razem.

- Wychłostać? - pyta Noah.

- Tak. Zupełnie oszalał.

Olive parska i zakrywa usta. Uśmiecham się mimowolnie, a ona wybucha głośniejszym śmiechem. Jest śliczna. Ala oczy w kształcie migdałów i opaloną skórę. Peter dołącza do nas, a Noah zostaje sam, próbując marszczyć groźnie brwi. Zanim winda dociera na dół, śmiejemy się już do rozpuku. Może i nie pamiętam swoich przyjaciół, ale w tej chwili do strzegłam fragment przeszłości...

Winda znika mi sprzed oczu. Jestem w białym pokoju z wentylatorami w suficie. Obracają się w nich ogromne wiatraki, mieląc powietrze. Olive, Noah i Peter są w pokoju razem ze mną. Wyglądają na młodszych, mają po czternaście, piętnaście lat.

Doktor Tycast opowiada nam, jak kontrolować strach. Stoi z boku z założoną opaską i obserwuje.

- Gdy spoglądacie do wewnątrz, co widzicie?

Noah unosi dłoń.

- Nie wiem, co ma pan na myśli.

Olive robi zeza.

- Widzę swój mózg.

Tycast unosi brwi. To wystarcza, byśmy zamilkli.

- Wyobraźcie sobie płomień w samym środku waszego mózgu. Jak w kuchence gazowej możecie pokrętelem zmniejszać i zwiększać jego intensywność. Kontrolujecie go.

Spędzamy kilka chwil na próbie skupienia się na płomieniu. Pokój wypełnia się intensywnym zapachem róż.

- Zapach kwiatów - mówi Tycast - jest w waszych głowach. Zignorujcie go. - Poci się. Nie przestaje poprawiać opaski. - Zignorujcie też ból. Przypomina parcie ciśnienia, ale chronią was zastrzyki. Dobrze, wystarczy.

Obca pamięć

Pozwalam, by ciśnienie za moimi oczami zmałało. Odprężam się, gdy ze mnie odpływa.

Tycast marszczy brwi, spoglądając na nas.

- Pamiętajcie o kontroli. Wasza moc jest niebezpieczna. Wy nie tylko wzbudzacie strach czy panikę. Przy odpowiednio długiej ekspozycji dana osoba może popaść w obłąd.

Gniew wysuwa się naprzód. Szaleństwo. Dlatego nie można z nim igrać, rozumiecie? To coś więcej niż naładowana broń.

Unoszę rękę.

Tycast kiwa w moją stronę.

- Tak, Mirando?

- Dlaczego jesteśmy w stanie to robić?

Tycast oblizuje wargi.

- Po prostu to umiecie. A na razie to wystarczy, prawda?

Peter kiwa głową.

- Tak, proszę pana. Zespół Alfa, uformować szyk. - Stajemy w szeregu.

Utworzenie formacji sprawia mi przyjemność, Nasza czwórka stanowi całość. Jedność. Razem jesteśmy nie do zatrzymania. Oczywiście dorośli mają niejasne pojęcie o naszych zaletach, ale właśnie one sprawiają, że czujemy się wyjątkowi. Ważni. I nikt nas nie rozdzieli. Jednak słowa doktora Tycasta odbijają się echem w mojej głowie...

Wasza moc jest niebezpieczna.

Gniew wysuwa się naprzód.

To coś więcej niż naładowana broń.



Biały pokój na powrót staje się windą.

- Doktor wpadnie w szal, gdy stawimy mu czoła - mówi Noah. - To Tycast powinien przyjść do nas. Nie pozwoli nam opuścić bazy. Nie po tym, kiedy powiemy mu, że wiemy o próbnym teście i jego zamiarze sprzedania nas.

Mój dobry nastrój ulatnia się przez podeszwy moich butów. Wspomnienia, które go poprawiały, sprawiając, że wybuchaliśmy śmiechem, to napięcie w okamgnieniu zmieniające się w coś lekkiego i zabawnego... Już nigdy ich nie odzyskam. Nowe ślady w pamięci nigdy nie będą takie, jak te zaginione. Jestem nowa w zespole, jakkolwiek by na to nie patrzeć. Co się stało, już się nie odstanie.

Płomień w mojej głowie bierze się teraz z gniewu, nie z energii. Nie potrafię zdecydować, co jest gorsze.

Zanim to do mnie dociera, uderzam Noaha pięścią w usta, a Peter i Olive odciągają mnie. Zaczynam kopać. Mimo zaskoczenia i bólu Noah nie jest bezbrony. Zaciska dłoń, jakby chciał mnie uderzyć, ale powstrzymuje się.

- Zrób to! - krzyczę. - Przywal mi!

- Co cię napadło? - pyta Noah. Peter w dalszym ciągu trzyma mnie za rękę, a Olive blokuje moje nogi swoimi.

- NIE WIEM, KIM JESTEM! - wrzeszczę i czuję się wspaniale. Nadal odczuwam napięcie w klatce piersiowej, ale w końcu powiedziałam to na głos.

Drzwi windy otwierają się. Za nimi stoi policjant. Przy ustach trzyma krótkofalówkę. Widzi mnie dyszącą, z czerwoną twarzą, i pozostałych przytrzymujących mnie za ramiona. Opuszcza radio.

- Co tu się dzieje? - pyta.

„To tylko mała rodzinna scysja” - mam ochotę odpowiedzieć. Kiedy poprzednim razem powiedziałam

policjantowi, że nie pamiętam, kim jestem, przypadkowo wzbudziłam masową panikę i skrzywdziłam wielu ludzi. Zabiłam ich.

Zastanawiam się nad tym, co zrobić, kiedy Peter wybiega z windy i łapie glinę za ramię. Mężczyzna próbuje się wyrwać, ale zastyga w miejscu, gdy pojawia się zapach róż.

- No dalej, to nie potrwa długo - mówi chłopak.

Noah w dalszym ciągu jest naburmuszony. Olive wygląda na zmęczoną. Peter prowadzi nas do motorów.

Noah bierze swój jako pierwszy i wyprowadza go kawałek dalej. Silnik z szumem budzi się do życia.

- Tęsknię za wami, naprawdę - mówi Noah. - 1 przepraszam. Możliwe, że macie rację co do wszystkiego. - Lewą nogą wrzuca bieg. - Ale ja nie zamierzam jeszcze wracać. Zrobię to dopiero, gdy odzyskam zbiega. - Dodaje gazu, popuszcza sprzęgło i rusza w stronę miasta. Przednie koło unosi się nieco nad ziemią.

- Sukinsyn... - warczy Peter, gdy uruchamiam swój motor.

Wrzucam bieg. Robi mi się czerwono przed oczami. Jeśli

Noah myśli, że to, co zrobił, ujdzie mu na sucho i dalej będzie uciekał, to grubo się myli. Pruję za nim. Wiatr świszcze mi w uszach i szarpie za włosy. Wypadam na ulicę i schylam się ostro na prawo, prawie dotykając kolanem nawierzchni. Samochód trąbi na mnie, ale ledwie go słyszę. Noah pędzi przodem. Widzi mnie ponad swoim ramieniem i skręca w lewo w zaułek, przejeżdżając tuż przed maskami aut jadących w przeciwną stronę.

Samochody jadą dalej. Rozlega się jeszcze więcej klaksonów. Skręcam w zaułek, wciskając pedał gazu tak mocno, że silnik ryczy pode mną, odbijając się

ogłuszającym echem od wąskich ścian uliczki. Domyślałam się, że powinnam być zaskoczona tym, jak naturalnie i bez cienia strachu zachowuję się na motorze, ale tak właśnie jest - naturalnie. Opony miażdżą rozmokłe kartony i gazety. Okrażam śmietnik, udaje mi się dogonić Noaha, który musiał zwolnić przed następną ulicą.

Ostatni raz wciskam gaz i pruję naprzód, uderzając przednim kołem w jego tylną oponę. Jego motor kołysze się. Koła piszcza, próbując odzyskać przyczepność, ale pojazd uderza w ścianę po lewej i upada. Motor ślizga się jeszcze dobre dziesięć stóp, wyrzucając w górę snop pomarańczowych iskier.

Moje tylne koło unosi się, gdy hamuję, przechylając mnie do przodu. Czarny, kamienisty grunt ucieka mi spod nóg. Opona opada z plaśnięciem. Wrzucam podpórkę, zeskakuję z motoru i biegnę w stronę Noaha, który zaczyna się podnosić. Jedną nogę nadal ma pod sobą, a ja posyłam go z powrotem na glebę uderzeniem pięści w twarz. Znów osuwa się na ścianę zaułka, trzymając się za policzek i spoglądając na mnie z wyrzutem. Na drugim końcu ulicy słyszę pomruk motorów doganiających nas Petera i Olive.

- Jezu Chryste, Mirando...

Łapię go za koszulę i unoszę w górę, świdrując spojrzeniem.

- To wszystko twoja wina - mówię syczącym szeptem. - A teraz za wszystko zapłacisz. Wracasz z nami, koniec kropka. Może masz rację co do odnalezienia zbiega, może masz rację co do całej reszty, ale wiem, że to Tycast ma odpowiedzi i wiemy, gdzie ich szukać. Więc nie marnujmy czasu i zdobądźmy je.

- Tycast nie pozwoli nam odejść, gdy wrócimy - mówi poważnym tonem Noah.

- Jakby istniało na świecie cokolwiek, co byłoby w stanie nas zatrzymać - odpowiadam z większą energią, niż czuję. Sama nie miałabym tej pewności, ale założę się, że w przypadku naszej czwórki będzie inaczej. Jeśli zechcemy odejść, znajdziemy sposób, żeby to zrobić. Muszę w to wierzyć, bo w przeciwnym razie Noah będzie miał rację i wyjdziemy na głupków.

Peter i Olive zatrzymują się w miejscu, w którym zostawiłam motor. Może pomogą mi przekonać Noaha, by zaczął współpracować albo przynajmniej nie próbował już uciekać.

Uśmiecha się, podczas gdy krwihak na jego policzku się powiększa.

- Cóż, skoro tak to ujmujesz - mówi. A potem robi ostatnią rzecz, jakiej bym się spodziewała. Wstaje i przyciska swoje usta do moich. Nieruchomieję na całą sekundę, a potem wyrywam się i walę go w twarz. Znow osuwa się na ścianę, ale przez ból, jaki musi odczuwać, przebija się uśmiech.

Szukam w myślach jakiejś ciętej riposty, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Przetacza się przeze mnie fala wstrętu, jakbym nie wiedziała, co właściwie powinnam teraz odczuwać. Złość? Niezupełnie. Irytację? Zdecydowanie. Ale w dotyku jego ust było coś znajomego, coś właściwego, bardzo na miejscu...

Coś, co znika sekundę po tym, jak przypominam sobie, co Noah zrobił. Upewniam się, że na mojej twarzy nie widać wahania. Nic, co by mówiło, że znow może do mnie dotrzeć. Dzięki Bogu chłopak niczego nie zauważa.

Peter i Olive stoją teraz obok nas, wpatrując się w niego, a on dla odmiany mierzy wzrokiem nasze twarze. Jak dziecko szukające rodzica, który okaże mu większą pobłażliwość.

- No co? - pyta.

Peter wraca do swojego motoru, wyrzucając ręce w geście odrazy.

Olive wzdycha.

- Wracaj z nami. Szukanie zbiega było całkiem dobrym pomysłem, ale nie możemy go znaleźć. Wracajmy do domu i uzyskajmy odpowiedzi, które powinniśmy znać od samego początku. Znow bądźmy jedną drużyną.

Muszę przyznać, że wyszło jej to zdecydowanie lepiej niż mnie.

Olive i ja wyciągamy ręce w tym samym momencie. Noah chwyta nasze dłonie, a my podciągamy go do góry.



Podczas pierwszego postoju na stacji paliw Noah znowu chce przedyskutować wszystkie za i przeciw. Siedzimy okrakiem na motorach przy jednym dystrybutorze.

- Czuję się trochę przymuszony - mówi Noah, kończąc napełniać swój odrapany bak. -Równie dobrze możemy teraz właśnie marnować najlepszą szansę.

- Nie chcesz poznać prawdy? - pyta Peter.

-- Oczywiście, że chcemy - wtrąca Olive. - Noah próbuje przez to powiedzieć, że martwi go powrót do domu, tak jakbyśmy nigdy go nie opuszczali.

- A kto mówi, że to zrobimy? - mówi Peter. - Wrócimy tam, zachowując ostrożność, a potem wyciągniemy z Tycasta całą prawdę. Tak jak powinniśmy byli zrobić to już dawno temu.

Noah dotyka sińca na policzku, a potem szybko opuszcza rękę. Nagle wydaje się strasznie zaaferowany tablicą przyrządów widoczną ponad kierownicą.

- A co, jeśli popełniamy błąd?

- W porządku - mówię. - To jasne, że Tycast był zdenerwowany obrotem sytuacji. Możliwe, że pomoże nam, gdy zda sobie sprawę, że znamy prawdę. Tak czy inaczej, jak mieliście zamiar znaleźć tego zbiega?

Olive strąca kilka ostatnich kropli paliwa do baku i podaje dozownik Peterowi.

- Właśnie do tego przechodziliśmy - odpowiada.

- Sprawdzaliśmy miejsca, które sami wybralibyśmy na kryjówki. Skoro jest Róża, powinien myśleć tak jak my.

- Brzmi obiecująco - mówię. - Chodźmy szukać chłopaka, który zabija Różę, na wszelki wypadek gdyby chciał nam pomóc. - Jednocześnie nie mogę przestać się martwić, że Noah ma rację. Może Peter zbyt mocno ufa Tycastowi?

Peter wyciąga dłonie.

- Oto, co zrobimy. Wrócimy i wyjaśnimy, że nigdy nie mieliście zamiaru uciekać. Powiemy Tycastowi o tym, co usłyszałeś, a on nie będzie miał innego wyboru, jak tylko się do wszystkiego przyznać. Nie musimy nawet wchodzić na teren bazy. W ten sposób nikt nie zmusi nas, żebyśmy tam zostali, jeśli nie otrzymamy odpowiedzi. A pierwszą rzeczą, o jaką zapytamy Tycasta, jest próbny test i czemu on ma służyć. Pasuje?

Noah uruchamia motor. My odpalamy swoje. Połączony warkot silników odbija się echem od dachu ponad naszymi głowami.

- Jeśli Tycast będzie chciał nas wykiwać, znikam. Jeśli to będzie konieczne, znajdę zbiega na własną rękę.

Obca pamięć

Peter kiwa głową.

- Jeśli Tycast rzeczywiście będzie chciał nas wykiwać, pójdziemy z tobą. - Robi pauzę, a potem prawie się uśmiecha. - Ile dokładnie zastrzyków wspomagających pamięć ze sobą wzięliście?

Policzki Noaha pokrywają się szkarłatem. Nawet gdyby wzięli tonę, wąpnię, by ich zapas był samoodnawialny.

Kącik ust Olive unosi się ku górze.

- Nasz zapas... się kończy. Wkrótce i tak musimy wrócić po więcej.

Peter wybucha śmiechem.

- W takim razie postanowione.

Noah kiwa głową.

- Na razie zgoda.

Wyjeżdżam na ulicę. Pozostali podążają za mną przy zgodnym akompaniamencie ryku silników.

Przez całą drogę powrotną zamieniamy ze sobą zaledwie kilka słów.

Myślę, że boimy się tego, co możemy zastać w domu.

Dom nie jest taki, jakim go zostawiliśmy. W powietrzu już na milę czuć dym. Ale nie taki zwyczajny. Dookoła rozchodzi się chemiczny odór. Peter daje nam sygnał. Skrećamy z drogi, daleko od wjazdu do lasu.

- Czy to jest to, o czym myślę? - mówi Noah.

Peter węszy w powietrzu.

- Pachnie jak H9. Całe mnóstwo H9.

- H9? - pytam. Przed oczami migają mi obrazy - biała cegła topiąca się na moich oczach, bulgocząca i skwiercząca, płonąca pomarańczem. Pochłaniający wszystko ogień.

Peter zaciąga się ponownie.

- Pamiętasz?

Obca pamięć

- Tak. Jak materiał wybuchowy, który... - Znow przywołuję w pamięci ten obraz. Widzę kolejny roz-
błysk pomarańcza. - Pali wszystko, co staje mu na
drodze.

Peter kiwa głową. Sprawia wrażenie szczęśliwego,
że coś pamiętam, nawet jeśli jest to równie okropne
jak IT9.

Noah zsiada z motoru i splata palce na karku.

- Nie podoba mi się to.

Olive potrząsa głową.

- Myślisz, że nam się podoba?

Noah kopie kamyk w stronę drzew, nie mówiąc
ani słowa.

Peter uruchamia motor, dodaje kilka razy gazu.
Krew zaczyna mi szybciej płynąć. Strach zagnieździł
się w moim brzuchu, gdy po raz pierwszy wyczułam
dym. Teraz czuję się otumaniona. Za chwilę moje życie
znow wywróci się do góry nogami.

- Nadal potrzebujemy więcej zastrzyków - mówi
Olive. - Bez względu na wszystko musimy wrócić do
domu.

- To zdecydowanie H9 - dodaje Peter. - Szybka
akcja, wchodzimy i wychodzimy. Jeśli znajdziemy po
drodze Tycasta, to świetnie. Zgoda?

- Zgoda - mówimy jednocześnie Olive i ja.

- W końcu jakiś przyzwoity plan - mruczy pod
nosem Noah, przerzucając nogę przez motor.

Peter odjeżdża, a my ruszamy za nim. Noah przy-
śpiesza, żeby nas dogonić.

Skrećamy w znajomą wąską zieloną drogę. Zapach
gęstnieje. Widzę napięcie Petera. Jest przerażony, więc
i ja się boję. Zatrzymujemy się tuż za polaną, zsiada-
my z motorów i przypadamy na czworaka do ziemi.

Ogień płonie w miejscu dawnego garażu. Różnica
polega jednak na tym, że wydobywa się spod ziemi.

Płomienie buchają na kilka stóp w górę. Zupełnie jakby garaż zniknął z powierzchni ziemi. Podchodzimy bliżej i widzimy dziurę pełną stopionego metalu i cementu.

- Błagam, powiedz mi, że jest stąd jakieś inne wyjście... - mówię.

Peter oddycha ciężko.

- Nie ma. - Przyciska dłoń do czoła. Noah wpada na polanę razem z Olive. Peter i ja zbliżamy się do olbrzymiego, zawalonego prostokąta. Ogień parzy mnie w twarz, aż w końcu jestem zmuszona się odsunąć.

Noah przykłada złożone dłonie do ust.

- T y c a s t! - krzyczy.

Peter rzuca się na mego, ale Noahowi udaje się jeszcze raz krzyknąć: „DOKTORZE TYCAST!”. Odpycha Petera, którego stopy ślizgają się po ziemi.

Olive łapie Petera za ramię i przytrzymuje.

- Niech sobie krzyczy. I tak nikt nie przeżył. - Jej oczy lśnią od łez.

- Co cię to obchodzi? - mówi z wyrzutem Peter.

- Nie możemy się teraz wzajemnie obwiniać - odzywam się. - Wszystko uległo zmianie.

Peter kręci głową.

- Nie mówiłem poważnie.

- Wiem - odpowiada Olive.

Noah znów zaczyna nawoływać, tym razem Phila. Bierze głęboki wdech i wrzeszczy:

- *Sifu, P h i !!* Phillip!

Olive milczy ze spuszczoną głową. Nie potrafię stwierdzić, czy płacze. Sama nie wiem, czy nie powinnam teraz płakać.

Po rodzinnym momencie w windzie nie ma śladu. Bez względu na to, jaki rodzaj treningu przeszłam, nie zawiera on dobrego sposobu na poradzenie sobie z tą

sytuacją. Niebezpieczeństwo nadal może czaić się gdzieś w pobliżu.

Nie mogę oderwać wzroku od płomieni. Dziura wygląda tak, jakby prowadziła prosto do piekła.

- Nie wydaje się wam, że to dziwny zbieg okoliczności?

Noah odwraca się w moją stronę.

- Co masz na myśli?

Z trudem przełykam ślinę i wycieram palcami policzek, ścierając z niego samotną łzę. Jednak płacząc. Odczuwanie czegoś innego poza pustką i gniewem jest mile widziane.

- Że do wybuchu doszło, kiedy nas tu nie było. Wiem, że jestem nowa w grupie, ale żadnemu z was nie wydaje się to dziwne? Przecież mogliśmy być w środku.

Peter patrzy na Olive.

- Mamy jakąś broń?

Olive kiwa głową i odchodzi w stronę lasu.

Próbuję wyobrazić sobie powód, dla którego ktoś miałby zrobić coś takiego, i dostrzegam tylko jeden.

- Nie rozumiecie? - pytam, a Peter przygląda mi się w skupieniu. - Co, jeśli doktor Tycast zdecydował się nie postępować zgodnie z zaleceniami głosu z nagrania? Sprawiał wrażenie przygnębionego, prawda?

- Płakał - potwierdza Noah.

- Czy pracujący tu ludzie byli lojalni względem Tycasta? - pytam ich obu.

- Wszyscy bez wyjątku.

Peter lustruje drzewa za moimi plecami.

- Nie wiemy, czy wszyscy rzeczywiście nie żyją. Może ten, kto to zrobił, spalił garaż i uciekł.

Kręcę głową.

- Rozmawialiśmy z Tycastem tego ranka. Po co mieliby to robić?

- Upewnijmy się, że wiemy, jakich „ich” mamy na myśli - odzywa się Noah.

- Tych, z którymi rozmawiał Tycast - mówię. - Oczywiście jest, że ta kobieta nie była sama.

- Nic nie jest oczywiste - rzuca Noah. - Równie dobrze mógł zrobić to sam albo im pomóc.

Chcę zrewanżować się jakąś wyjątkowo zjadliwą ripostą, ale Noah ma rację. Niczego nie możemy być pewni.

Ogień zaczyna przygasać. Teraz jest już tylko pomarańczowym blaskiem odbijającym się od usypanych z ziemi ścian. Grunt pod moimi nogami jest ciepły. Kucam i przyciskam dłoń do trawy.

Gdy unoszę wzrok, Peter stoi tuż obok mnie.

- Zdejmij but - mówi. Oczy ma zamglone od łez, ale możliwe, że to z powodu kłębiącego się dymu.

- Po co?

Kłęka. Chwyta za moje sznurówki i ciągnie.

- O co chodzi?

- Masz rację odnośnie tego, co tutaj zaszło - mówi. - Nie jesteśmy bezpieczni. I nie będziemy, bo ktoś może nas namierzyć.

Noah staje obok niego.

- Co ty wyprawiasz?

- Usuwam nadajnik.

- Jaki nadajnik?

Peter zdejmuje mi skarpetkę i kciukiem odnajduje szew w mojej zbroi. Rozdziela go wzdłuż stopy i podwija do połowy łydki, trzymając moją nogę w swojej suchej dłoni. Paznokcie mam pomalowane na czerwony kolor spalenizny, podobny do moich włosów. Nie pamiętam, żebym je malowała. Nie wygląda mi to na coś, czym zawracałabym sobie głowę. Bosa stopa w dłoni Petera sprawia, że czuję się nieco obnażona, i nie mam pojęcia dlaczego.

Wtedy Peter wyciąga nóż.

Dostrzegam coś w jego oczach. Ból. Ale nie z powodu naszego spalonego domu. Może dlatego, że za chwilę zrobi mi krzywdę?

Przygryzam dolną wargę.

- To nie będzie przyjemne - mówi.

Noah wyciąga rękę i chwyta Petera za nadgarstek, ale Peter dźga go łokciem w pierś.

- Zabieraj łapy - warczy. - Ratuje nam życie. - Odwraca się do mnie i mówi: - To tutaj umieściłem nadajnik. Myślałem, że jestem jedyną osobą, która będzie w stanie go używać, ale nie mogę mieć pewności, czy w dalszym ciągu tak jest.

Kiwam głową. Nóż w bija się tuż powyżej mojej kostki. Przygryzam mocniej wargę, żeby powstrzymać się od krzyku. Peter przekreśla ostrze, a na zewnątrz wysuwa się niewielka czerwona pigułka i spada na trawę. Czuję w ustach posmak krwi i mrugam kilka razy, by odzyskać jasność widzenia.

- Powinnaś móc wstać.

Olive wraca z czterema długimi kijami w dłoniach. Smukłe kije do walki. Czuję zapach maty tatami w sali gimnastycznej, słyszę trzask kija uderzającego w obnażoną skórę. Kolejne złudne wspomnienie, tym razem bez obrazów. Potrząsam głową, by pozbyć się tego wraże nia.

- Żadnej broni? - pyta Noah. Peter pozbył się dwóch waltherów, zostawiając je w studziencie odpływowej, zanim wyjechaliśmy z Indiany. Nie chciał ryzykować, że zostaniemy z nimi nakryci. Po chwili narzekania Noah i Olive rozbierają się.

Olive kręci głową. Ma ubrudzone ziemią policzki i skroń. Z ciemnymi włosami i w czarnym kombinezonie stapia się idealnie z pograżonymi w cieniu pniami

drzew. Z kolei ja ze swoimi rudymi włosami i bladą skórą czuję się jak trójkąt ostrzegawczy na drodze.

Peter wyciera ostrze noża o koszulę, rozsmarowując moją krew.

- Kto następny? - Zsuwa nogawkę kombinezonu w dół i z powrotem łączy szew w jedno. Ból zmniejsza się, gdy zbroja zaczyna działać jak bandaż wokół rany.

Wkładam skarpetkę i but, podczas gdy Peter usuwa nadajniki Olive i Noaha. Noah wyzywa go od dupków za to, że szpiegował ich bez ich wiedzy, ale Olive wzrusza ramionami, jakby to wszystko miało sens. Rozumiem, dlaczego to zrobił - gdyby nie to, nie byłibyśmy teraz razem - ale nie jestem pewna, czy podoba mi się, że nie zapytał nas o zdanie. Mimo to, z tego, co zdażyłam się o nim dowiedzieć, wydaje mi się, że działał z dobrych pobudek. Nasza obecna sytuacja tylko to udowadnia.

Ćwiczę chodzenie. Moja kostka nadal jest wrażliwa, ale czuję, jakby już zaczęła się goić, o ile to w ogóle możliwe w takim tempie. Ogień z H9 przygasł jeszcze bardziej. Teraz to tylko dymiąca dziura w samym środku polany. Żadne z nas na nią nie patrzy. Wiemy, że nie powinniśmy dłużej zwlekać, ale wydaje mi się, że boimy się zostawić dziurę za sobą. To nasz dom. Nie, rozpamiętywanie tego niczego nie zmienia.

Olive podaje mi kij. Robię kilka próbnych zamachów. Śmiga w mojej dłoni tak, jakbym robiła to przez całe życie.

Gdy dziewczyna się odwraca, klepię ją kijem po ramieniu.

- Jak dobra byłam w walce?

- Niemal tak dobra jak ja.

Oczy ma zaczerwienione i mokre, zupełnie jak Noah i Peter. Próbuje przywołać w myślach wspomnienie domu, cokolwiek, ale kompletnie mi się to nie

udaje. Nie pamiętam niczego, co zapomniałam w trakcie podróży. To prawie wystarcza, żeby łzy same popłynęły. Znów wbijam mordercze spojrzenie w Noaha, a on to zauważa.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie słyszymy warkot helikoptera.

Zamieramy w bezruchu, ale tylko na ułamek sekundy. Jednocześnie zrywamy się i pędzimy w stronę drzew z naszymi kijami. Peter wysuwa się na czoło. Za nim biegnie Olive, potem Noah, na końcu ja. Co kilka sekund oglądam się przez ramię na wąski słup dymu wijący się ponad koronami drzew. Liście szeleszczą, gdy helikopter przelatuje nad naszymi głowami. Nie zatrzymujemy się. Ściana drzew gęstnieje, aż w końcu napotykamy wąską ścieżkę wydeptaną w wilgotnej ziemi, gęsto porośniętą korzeniami.

Zatrzymuję się gwałtownie. Pozostali biegną bezgłośnie, ich postacie robią się coraz mniejsze. Noah jako pierwszy uświadamia sobie, że odłączyłam się od grupy, i krzyczy:

- Zatrzymajcie się!

Peter i Olive przystają kawałek dalej. Wracają do mnie, ale ja na nich nie patrzę.

Patrzę na doktora Tycasta, który siedzi wsparty o pień drzewa.

Przód białego kitla ma zakrwawiony i podarty. Szklą w jego okularach popękały. Usta i nos są umazane zaschniętą krwią.

- Mirando... - mówi. Kucam obok niego i delikatnie dotykam jego twarzy, bojąc się, że sprawię mu jeszcze większy ból.

Udaje mu się przywołać na usta wąty, roztrzęsiony uśmiech. Widzę krew na jego zębach.

- Co się stało? - pytam.

- Musicie uciekać. Zespół Beta, oni nadal tu są. Oni... to nie są wasi przyjaciele. - Głos ma bardzo cichy i niewyraźny. Słyszę, jak pozostali gromadzą się za moimi plecami. Peter przykłęka i dla zachowania równowagi podpira się na moim ramieniu.

- Musimy go przenieść. Doktorze, czy komuś jeszcze udało się uciec?

Tycast kręci głową.

- Byłem w garażu, gdy zrzucili H9. Zawalił się. Ledwo udało mi się stamtąd wydostać. -Spogląda na Noaha stojącego obok mnie i Petera. - Miałeś rację, że uciekłeś. Miałeś rację. -Jego twarz marszczy się, a on sam zanosi się kaszlem przez kilka sekund. - Skąd wiedziałeś?

- Byłem w pańskim gabinecie - wyjaśnia Noah łagodnym głosem. - Dostał pan telefon od pewnej kobiety. Mówiła coś o kupcach i teście.

- Domyślam się, że uciekłeś... nieco zagubiony.

- Tak, proszę pana - przyznaje Noah.

- Kim ona jest? - pytam.

- Jedną z osób, które stoją za tym wszystkim. Pomysłodawczynią tego projektu.

Tycast wodzi po nas wzrokiem i znów się uśmiecha, tym razem cieplej. Brakuje fragment w moim wnętrzu odnajduje się, może tylko tymczasowo, ale wystarcza, żeby zaczęły mnie boleć oczy.

Kolejny helikopter - a może to wciąż ten sam? - przelatuje po niebie. Gałęzie uginają się, a zielone liście opadają na ziemię.

Tycast bierze głęboki wdech.

- Teraz należycie do siebie wzajemnie. Ale będą was ścigać. Musicie być... gotowi. Musicie... trzymać się razem. Wychowali was w konkretnym celu. Was wszystkich.

Tycast zaczyna osuwać się na ziemię.

Peter podtrzymuje go w miejscu.

- W jakim celu? - pyta.

- Wszyscy jesteście świadomi swoich mocy - wyjaśnia Tycast. - Są na tym świecie ludzie... którzy zrobiliby wszystko, żeby was zdobyć. Kontrolować. Ludzie, którzy stworzyli was takimi, jakimi jesteście, chcą...

- Czego? - pyta Noah.

- Sprawdzić was. W mieście. Chcą przeprowadzić próbny test, żeby udowodnić waszą wartość. Użyją was, by wzbudzić w mieście taki terror, że przestanie ono funkcjonować. Ludzie zaczną uciekać i nie zostanie nic prócz pustych budynków i ulic.

- I tych, którzy umrą, próbując wydostać się z miasta - dodaje.

Tycast kiwa twierdząco głową.

- Przykro mi. Naprawdę. Myślałem, że uda mi się zmienić ich tok myślenia. Nawet jeśli unikniecie pojmania, w dalszym ciągu istnieją inne Róże, które będą mogli wykorzystać.

- Od samego początku wiedział pan, że zostaniemy sprzedani... - mówi Peter. - Wiedział pan!

Szczęki ma zaciśnięte. Wygląda tak, jakby starał się zwalczyć chęć poczucia się zdradzonym. Wszyscy to robimy. Jednak na twarzy Tycasta widać miłość, nawet jeśli wcale jej nie pamiętam.

- Tak, wiedziałem. Ale me chciałem im was oddać. A teraz to wszystko dzieje się beze mnie...

- Właśnie to usłyszałem - mówi Noah. - Dlatego uciekłem.

- Powinienem był was odesłać. Wcześniej. Byłem tchórzem. Nie udało mi się tego powstrzymać - ciągnie doktor Tycast.

- Aż do teraz - odzywa się Olive zza moich pleców.

- Już za późno, kochanie - mówi Tycast. - Powiedziałem, że nie będę brał w tym udziału, więc zniszczyli całą moją pracę... nasz dom. Musieli wiedzieć, że wasza czwórka opuściła ośrodek. W dalszym ciągu chcą się wami posłużyć. Jesteście tak cenni...

Peter kręci głową.

- Nawet jeśli nas złapia, me zmuszą do współpracy. Nie zdołają nas złamać. Białe brwi Tycasta wędrują w górę.

- Jedyne, co muszą zrobić, to odciąć wam dostęp do zastrzyków. Wtedy nie będziecie wiedzieć, po której stronie walczyć. Są też inne sposoby.

Lodowaty strach ściska moje wnętrze. Oliwę wstrzymuje oddech. Domyślam się, że pomysł z zastrzykami żadnemu z nas nie przyszedł do głowy, nie tylko mnie.

Noah klęczy teraz obok mnie i Petera.

- Gdzie możemy zdobyć więcej zastrzyków, doktorze?

- Jest pewne miejsce. Zebrałem tajny zapas na wypadek zagrożenia. Zatopiłem go w jeziorze. Trzeci pomost. Czerwona farba. Wybaczcie, zawiodłem was. Na jakiś czas powinno wystarczyć. Zdobądźcie zastrzyki i ukryjcie się. Nie walczyć z nimi. Nie...

Opada z sił. Ściskam go za ramię, próbując przyciągnąć jego uwagę, Może wytrzyma jeszcze trochę? Ale nawet gdy ta myśl przechodzi mi przez głowę, wiem, że to jego ostatnie chwile.

- Zespół Beta - mówię. - Kim oni są?

Na twarzy Tycasta pojawia się grymas, lecz nie bólu. Bardziej wstępu albo wstydu.

- Są tacy sami jak wy.

Tacy jak my...

Noah zadaje mu kolejne pytanie:

- Rhys, ten zbieg. Kim jest? Pomoże nam?

Pyta również o coś jeszcze, ale nie słucham. Jestem zbyt zajęta patrzeniem, jak blask znika z oczu doktora Tycasta. Są na wpół przymknięte, jakby pozwoli budzić się z drzemki i przystosowywał je do światła.

Przez jakiś czas nie mówimy ani słowa i stoimy w bezruchu. Nie czytam w myślach pozostałych, ale czuję, że zastanawiamy się nad jednym zasadniczym pytaniem - czy Tycast nas zdradził? Wiedział, do czego ma dojść. Nie znaczy to jednak, że nie mógł tego powstrzymać. Chcę wierzyć, że mówił prawdę - że nie zostawiłby nas ani nie pozwolił wykorzystać. Wiem, że reszta również pragnie w to wierzyć. Ale jak zwykle, nie mam pojęcia, co myśleć.

W końcu Peter wstaje i odchodzi od grupy, trzymając się za czoło. Obserwujemy go, czekając na jakieś rozkazy. Powinniśmy się stąd zabierać. Sterczenie tutaj sprawna, że swędzą mnie podeszwy stóp. A może to od krwi ciekącej jeszcze z mojej kostki i zbierającej się pod materiałem zbroi?

Noah opiera dłonie na biodrach. Pot błyszczą w jego krótkich, brązowych włosach.

- Musimy zdobyć ten zapas zastrzyków - mówi do Petera.

Peter w dalszym ciągu stoi tyłem do nas.

- Myślisz, że o tym me wiem?

- W takim razie dlaczego jeszcze tu jesteśmy? - pyta Olive. Jest taka cicha, lecz jej obecność przynosi ukojenie. Może dlatego, że w głównej mierze zachowuje milczenie. Jest całkowitym przeciwieństwem Noaha. Zwłaszcza teraz, z twarzą ubrudzoną ziemią. Zdaje się trzymać kilka kroków z dala od reszty, bardziej nas obserwując, niż biorąc udział w tym, co się dzieje. Jest w niej coś niepokojąco dzikiego. Dziwne światło w oczach, które zdaje się inne niż ludzkie.

Chcę ją poznać. I zastanawiam się, co takiego zapomniałam.

Peter w końcu się do nas odwraca. Wiewiórka za jego plecami przemyka po leśnej ścieżce i wspina się na drzewo. W oddali nadal słychać warkot helikopterów.

- Musimy zapobiec temu testowi - mówi Peter. - Jeśli to, co powiedział doktor, jest prawdą...

Wszyscy wiemy, że tak jest. Obracam kij i przyciskam go do pleców.

- W tej chwili to nie jest nasz priorytet - mówi Noah. - Głównym celem jest zadbanie, byśmy nie stracili wspomnień.

- Tak jak w moim przypadku? - mamroczę.

Moje słowa wiszą w powietrzu. Idiotyczne przypomnienie tego, że jestem jedną wielką niewiadomą.

- Mirando... - zaczyna Noah.

Kręcę gwałtownie głową.

- Ten test to również sprawa nadrzędnej wagi. Wiecie, co potrafimy, więc wyobraźcie to sobie w skali całego miasta. Nie było was ze mną w centrum handlowym, gdy ludzie nie mogli uciec stamtąd wystarczająco szybko. - Z trudem przełykam ślinę, żałując, że ta scena nie jest częścią moich utraconych wspomnień. - Zdobędziemy te zastrzyki, ale musimy ich powstrzymać.

Ich. Szkoda, że nie wiem, kim dokładnie jest nasz wróg. Trudno jest walczyć z czymś, czego się nie zna.

Znów przygryzam wewnętrzną stronę policzka, czując na języku poszarpany nabłonek. Z drzew sypie się jeszcze więcej liści, gdy ponad naszymi głowami przelatuje kolejny helikopter. Skupiam się na smaku krwi. Głównie po to, żeby móc się czymś zająć.

Peter rozmasowuje guza na czole.

Obca pamięć

- Tycast powiedział mi kiedyś, że możemy tworzyć fale strachu jedynie wtedy, gdy jesteśmy nastolatkami. Po jakimś czasie gęstość tkanki naszych mózgów zmniejszy się, aż w końcu zacznie przypominać tę u zwykłych ludzi. To dlatego trenowaliśmy od czasu, kiedy byliśmy dziećmi.

- Mnie również tak powiedział - wtrąca Olive. - W takim razie muszą wykorzystać nas teraz albo wcale.

Peter kiwa twierdząco głową.

- Właśnie.

- Czy w dalszym ciągu będziemy potrzebować zastrzyków na pamięć? - pytam. - Po tym, jak moc osłabnie?

Peter wzrusza ramionami.

- Nie sądzę, ale nie jestem pewny. Tycast nie był skory do dzielenia się ze mną informacjami.

Noah podnosi rękę i staje pomiędzy mną a Peterem.

- Planowanie przyszłości jest w porządku, ale w tej chwili musimy zmierzyć się z teraźniejszością. Znajdźmy ten sekretny zapas, zanim będzie za późno.

Noah ma zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale nagle patrzy na Petera w dziwny sposób. Chwilę później i ja to dostrzegam - coś wystaje Peterowi z szyi. Wyciąga dłoń, by tego dotknąć, a sekundę później oczy uciekają mu w głąb czaszki i osuwa się na plecy. Jego głowa uderza głucho o ziemię.

- Kryć się! - woła Noah.

Reaguję natychmiast, wycofując się na palcach i wtulając w drzewo. Przypadam nisko do ziemi, trzymając kij u boku. Noah i Olive znikają. Oddycham powoli przez nos i pozwalam, by mój wzrok przeczesał las w poszukiwaniu zagrożeń. Cały czas wracam spoj-

rzeniem do ciała doktora Tycasta wspartego o pień kilka stóp dalej.

A Peter... Dobry Boże. Początkowy odruch zniknął i teraz widzę go, jak leży ze strzałką wystającą z szyi. Może być zatruta. Peter może już nie żyć. Walczę o utrzymanie równego oddechu. Nie mogę pozwolić, żeby ogarnęła mnie panika. Nie teraz, kiedy wszyscy jesteśmy pod ostrzałem. Przeczesanie wzrokiem drzew ujawniło jedynie liście i jeszcze więcej liści.

Noah chrząka głośno. Wtedy też słyszę wyraźny trzask drewna uderzającego w drewno. Wybiegam ze swojej kryjówki i staję na ścieżce, trzymając kij w pogotowiu. Noah stoi dziesięć stóp ode mnie. Przed nim, a właściwie przed nami, stoi ktoś ubrany w identyczną czarną zbroję co my. Głowę intruza skrywa szal. Po kształcie ciała jestem w stanie powiedzieć, że to dziewczyna.

Za plecami Noaha znajduje się klon pierwszego czarnego kombinezonu. To mężczyzna. Stoi twarzą do mnie, więc widzę jego łuskowatą twarz pozbawioną jakichkolwiek cech charakterystycznych, poza dwoma przydymionymi szklami. Oboje trzymają kije takie jak Noah, tyle że ich są zakończone nożami. Dlaczego nasze modele są mniej rozbudowane?

Noah paruje frontalny atak dziewczyny, a potem przyjmuje na siebie niemożliwy do zablokowania cios w plecy od chłopaka. Jęczy, potykając się. Olive wyskakuje zza linii drzew. Kij wiruje w jej dłoni, rozmażując się w ruchu. Rzucam się na dziewczynę w kombinezonie, która cały czas stoi do mnie plecami. Mój kij opada na jej głowę, a zza maski słychać krzyk.

Najwidoczniej ten tani wybieg wcale jej nie spowolnił, bo odwraca się w moją stronę, robiąc zamach nisko nad ziemią i celując w moje nogi. Skaczę do góry, gdy broń przechodzi pode mną, a skoro jestem już

w powietrzu, częstując ją całkiem solidnym kopniakiem w klatkę piersiową. Zatacza się do tyłu, zderzając z Noahem, który razem z Olive wziął sobie na cel drugi kombinezon. Nieustający trzask uderzającego o siebie drewna przypomina dudnienie bębnow. Dziewczyna potyka się o nogę Noaha i upada, robiąc po drodze dziwaczne salto.

Skoro to zespół Beta, to dlaczego jest ich tylko dwoje? Patrząc, jak Olive wbija koniec kija w pierś chłopaka, który wali się na ziemię z gwałtownym chrząknięciem. Podniesienie się zajmuje dziewczynie całą sekundę. Nie ma szans w starciu z naszą trójką.

Chcę wybuchnąć śmiechem, ale coś jest zdecydowanie nie tak. To nie powinno być takie proste. Zerkałam przez ramię na Petera i widzę, że w istocie tak nie jest.

Kolejne dwa czarne kombinezony stoją nad nim, chłopak i dziewczyna. Dostrzegam w przelocie oczy chłopaka, zanim jego szkła ciemnieją. Pamiętam je. Są w jasnym odcieniu błękitu, zbyt niebieskie - niemal sztuczne. Zanim udaje mi się przypomnieć sobie coś jeszcze, oboje rzucają się na mnie. Przerzucam kij z ręki do ręki, odpychając ich ciosy, ale są równie szybcy jak ja. Jedno z nich wyciąga rękę, trzymając w niej strzałkę podobną do tej w szyi Petera. Wykręcam głowę, zanim udaje jej się mnie ukłuć, ale ten ruch sprawia, że tracę równowagę. Ostrze noża rozcina mi dżinsy i przejeżdża po kolanie.

Padam.

Noah łapie mnie w locie. Nie trzyma mnie zbyt długo, tylko tyle, żeby nie dopuścić do upadku. Potem rozdaje kolejne ciosy, odganiając napastników. Olive przemyka chyłkiem za ich plecami i podnosi Petera. Przerzuca go sobie przez ramię i znika w lesie. Za mną

pierwsze dwa kombinezony wstają chwiejnie, oszołomione. Dziewczyna trzyma się za głowę.

- Noah, za mną! - Nie czekam ani sekundy dłużej, tylko wpadam pomiędzy drzewa i biegnę jak szalona. Za sobą słyszę głuchy tupot stóp Noaha. Zgubienie ich to nasza je dyna szansa. Zatruta strzałka wbija się w pień drzewa pięć stóp przede mną. Omijam go, nie tracąc prędkości. Las to rozmazana plama zieleni, a jedynym słyszalnym dźwiękiem jest odgłos naszych stóp opadających lekko na martwe liście i ziemię. Kłuczę między drzewami. Noah dotrzymuje mi tempa. Zdaję sobie sprawę, że musimy uciec razem. Wydaje mi się, że zaczynamy ich gubić. Jeszcze kilka zakrętów. To, czym jestem i co mam w przyszłości zrobić, nie skończy' się na tym lesie. Nie może.

Przed nami wylania się rzeka. Udaje mi się wycisnąć jeszcze więcej sity z mięśni. Nawet nie dostałam zadyszki. Część mnie czuje się obco, bo nie wiem, do czego jestem zdolna. Moje ciało zdaje się mieć własną pamięć, która pozostała nienaruszona.

Pędzę przez płataninę gałęzi w kierunku otwartej przestrzeni, która kończy się na szarobrazowej rzece płynącej tuż po lewej. Wraz z kolejnym krokiem przeskakuję ponad brzegiem i lecę nad powierzchnią. Prostuję całe ciało, wysuwając przed siebie dłonie na wypadek, gdyby mroczna toń okazała się płytka. Rozcinam powierzchnię wody i zanurzam się. Mam szczęście - nie uderzyłam w dno. Prąd próbuje wypchnąć mnie na powierzchnię, ale młóczę rękami i nogami, walcząc, by pozostać pod wodą. Jest zimna, kłuje mnie w oczy i nos. Nie widzę niczego prócz brązowej brei.

Czyjaś dłoń zaciska się na moim nadgarstku. Próbuje się wyrwać, a potem w ciemnej wodzie widzę czyjaś koszulkę.

Noah.

Wypuszczam powietrze, żeby tylko się nie wynurzyć i nie zdradzić naszego położenia napastnikom w kombinezonach. Noah z całej siły zaciska rękę na moim nadgarstku. Wokół mnie unoszą się bańki powietrza. Czuję napięcie w klatce piersiowej. O wiele trudniej jest wstrzymać oddech, kiedy nie ma się w płucach powietrza.

Noah unosi się nade mną. Oboje ocieramy się o dno. Otwieram oczy i widzę go przez mętną wodę.

Muszę popłynąć ku powierzchni.

Muszę wydostać się z wody i nabrać powietrza.

Nie wiem jednak, na jaką odległość udało nam się uciec. Może wcale nie tak daleko. Jeśli wynurzymy się teraz, być może okaże się, że wcale nie jesteśmy blisko drugiego brzegu. Powinnam była biec dalej.

Szarpię się w uścisku ramion Noaha. Tnę, wiem o tym. Nie mogę już dłużej wstrzymać oddechu. Wyrywam się, robiąc wszystko, żeby mnie puścił. Muszę wydostać się na powierzchnię. Jednak jego dłonie trzymają mnie mocno. Przez jeden okropny moment wydaje mi się, że próbuje mnie zabić. Kamień na dnie ociera się boleśnie o moją szyję. Gdy otwieram usta, by wciągnąć odruchowo wodę, Noah przyciska swoje wargi do moich. Wtłacza podmuch gorącego powietrza do moich ust. W samą porę. Płuca w dalszym ciągu mnie palą, ale nie tak strasznie. Tutaj, leżąc na dnie rzeki z ustami na ustach swojego byłego chłopaka, który oddaje mi swój tlen, uświadamiam sobie, że nie utonę. Jeszcze nie teraz. Nasze wargi pozostają złączone. Chwilę później czuję, że usta Noaha nie są już nieruchome. Całuje mnie. A ja odwzajemniam pocałunek. Kompletnie zapominamy o oddychaniu.

Ogarnia mnie kolejne wspomnienie.

Rozsznurowuję but na swoim łóżku. Właśnie skończyliśmy trening. Bieg połączony z trzydziestominutowym sparingiem. Warstwa zimnego potu pokrywa moje ciało. Noah rozciąga się na podłodze bez koszuli. Mięśnie ma gładkie i wyrzeźbione, bardziej zwarte niż Peter. Twarde mięśnie jego brzucha rzucają ostre cienie.

Szarpię za sznurówkę, gdy Noah łapie mnie za nogę i ściąga z łóżka. Podpieram się rękami, zanim uderzam pośladkami w podłogę. Wciąga mnie na siebie.

- Jesteś spocony - mówię.

Na policzku ma siniak w miejscu, w które niechcący go uderzyłam. Peter i Olive niedługo wrócą. Trzymamy nasz związek w tajemnicy. Ukrywamy go przed nimi, bo nasza czwórka wszystko robi wspólnie. Nie jesteśmy jeszcze gotowi, by zmieniać ten stan rzeczy. Noah jest cierpliwy. Ogarnia nas napięcie, bo Olive i Peter mogą wejść w każdej chwili. Noah przyciąga mnie bliżej do pocałunku. Czuję smak jego potu na górnej wardze.

- Chciałem ci coś powiedzieć - mówi.

- Serio? Co takiego?

- Zakochałem się w tobie. Kocham cię.

Wpatruję się przez chwilę w tego chłopca, który dorastał przy mnie jak brat. Patrzyliśmy, jak oboje stajemy się bronią.

Czymś tak idealnym, że boimy się tego, co może dokonać nasze ciało. Każda chwila warta zapamiętania to chwila spędzona z nim.

A teraz mówi, że mnie kocha, a ja wiem, że kocham jego. I mówię to. - Ja ciebie też.



Wspomnienie znika szybciej, niż się pojawiło, a my w dalszym ciągu jesteśmy pod wodą. I choć czuję, że za chwilę ogarnie mnie panika, mam czas na odczucie tej straty. Miłość, którą czułam we wspomnieniu, pozostaje wraz ze mną. Jest prawdziwa. A mimo to...

Odebrał ją. Odrzucił.

Dlaczego więc nie mogę pozbyć się tego uczucia?

To pierwsze wspomnienie, co do którego czuję, że mogę je uznać za swoje. Zaakceptowałam pozostałe jako prawdziwe, ale to jest inne. Trudniejsze.

Powietrze nam się skończyło. Trzymamy się kurczowo, o krok od utonięcia. Bezmyślna panika przejmuje kontrolę. Muszę się uwolnić. Uwalniam się - tym razem mi na to pozwala - i płynę na powierzchnię. Zimne powietrze owiewa moje policzki. Noah wynurza się obok. Obracam się, dysząc. Płyniemy w dół rzeki. Przełykam potężne hausty powietrza, które smakuje wspaniale. Brzegi wydają się bezpieczne. W zasięgu wzroku nie widać żadnych czarnych kombinezonów. Nie ma też Olive i Petera.

Zanurzam się głębiej. Czuję w ustach brudną wodę, oddech Noaha i smak pocałunku. Boję się na niego spojrzeć.

Dryfujemy po powierzchni rzeki. Żadne z nas się nie odzywa.

Udaję przed sobą, że to na wypadek, gdyby wrogowie byli w pobliżu.

Nie rozmawiamy nawet po wyjściu z wody, a przynajmniej nie od razu. Stoim y na brzegu, schowani w czymś w rodzaju jaskini z wyjściem na niebo. Zdejmuję koszulkę z długim rękawem i wyżymam ją, drżąc i czekając, aż słońce zacznie mnie grzać przez kombine-

zon. Krople wody pokrywają jego łuski, przypominając lśniące perły.

Noah stoi na krawędzi skalnej półki, udając, że obserwuje brzegi rzeki.

Zanim udaje mi się powstrzymać, mówię:

- Wiesz, gdybyś nie odebrał mi wszystkiego, co mam, nadal byłibyśmy razem.

Noah sztywnieje, ale milczy. Widzę, jak mięśnie napinają się w jego szczęce. Nie jestem pewna, dlaczego to powiedziałam. Przecież nie muszę go karać. Jednocześnie czuję się dobrze, widząc jego skruchę. Zwątpienie. Nie może odczytać tego, co już się stało. Czym więc są czyjeś zranione uczucia wobec moich utraconych wspomnień?

- Nadal jesteś sobą - mówi, spoglądając w przeciwnym kierunku. - Ta sama stara Miranda. Twoje wspomnienia nie stanowią o tym, kim jesteś.

Próbuję znaleźć drogę powrotną, ale kończy się tym, że siadam z kolanami przyciśniętymi do piersi. Wykręcam wodę z włosów. Są szorstkie od żwiru i śliskie od rzecznej mułu.

Wracam do myśli o tym, jak znajome były usta Noaha i że do razu rozpoznałam jego pocałunek. Nie mogę przestać się zastanawiać, jak bardzo byliśmy sobie bliscy. Nie pamiętam, jak to było spotykać się z nim przez cały czas ani co razem robiliśmy. Pocałunek nie wzbudza we mnie żadnych wspomnień. Według pozostałych jeszcze tydzień temu byliśmy parą. Dla niego to pewnie było normalne. Ogarnia mnie zazdrość. Ma nade mną przewagę. Wie wszystko o naszej przeszłości, a ja widzę jedynie marne przebłyski.

Pytam go więc, zanim zdążę stchórzyć:

- Uprawialiśmy seks?

Sekundy mijają, a ja oblewam się rumieńcem.

Noah uśmiecha się ironicznie. To nie jest coś, co chciałabym widzieć w tym momencie.

- Nie. Phil powiedział, że to zabronione.

Niespodziewanie przypominam sobie mgliste wspomnienie Noaha w moim łóżku. Odmawiam mu, ale nie pamiętam dlaczego.

Przez ułamek sekundy na twarzy Noaha maluje się ból, zupełnie jak u Petera, zanim wyciął nożem mój nadajnik. Peter. Tkwimy tutaj, wymieniając się złośliwościami, zamiast szukać Petera i Olive.

Noah kuca, wbijając wzrok w ścianę drzew powyżej rzeki. Głos ma cichy.

- Phil nauczył nas walki wręcz i paru sztuczek z bronią białą. Powiedział, że nasza moc pochodzi z wewnątrz, że seks tylko ją zmniejsza i niszczy wszelkie relacje, jakie łączyły nas jako zespół. Mnisi w Shaolin odkryli tę sprawę z mocą już dawno temu. Prawdopodobnie mówił to tylko po to, żeby trzymać nas wszystkich w ryzach, ale zbyt mocno ze sobą rywalizujemy, aby ryzykować. - Milknie. Obraca się na pięcie, stając do mnie bokiem. - Nie żebyś nie chciała.

Czuje, jak pot występuje mi na szyję. Odwracam wzrok.

- Nie wiem.

- Przypomniałaś sobie - mówi. - Gdy pocałowałam cię pod wodą, przypomniałaś sobie, jak to jest być ze mną. Czułem to w dotyku twoich warg.

- Cokolwiek wtedy czułam, to nie ma żadnego znaczenia.

- Owszem, ma.

- Nie, bo skasowałaś wszystko, co między nami było. Nie znam cię. - Wstaję, starając się mówić cicho. - Dlaczego to zrobiłaś, Noah? Czemu ubzdurałaś sobie, że masz do tego prawo? Dorostaliśmy razem. Wiedziałaś, że potrafię zadbać o siebie. Wiedziałaś, że będę

chciała stanąć po waszej stronie i wspólnie rozwiązać ten problem. - Mogę tylko zakładać, że ta ostatnia część wypowiedzi jest prawdziwa. Jeśli teraz tak się czuję, to wtedy musiało być tak samo. Chciałabym mieć ten wybór, by móc walczyć u ich boku.

Noah wpatruje się w kamień u naszych stóp. Oczywiście zamglone, jakby próbował podjąć jakąś decyzję. Podnosi się z kucek i podchodzi do mnie.

- O co chodzi? - pytam w końcu.

- A co, gdybym powiedział ci... co, jeśli dałaś mi pozwolenie? Co, jeśli cię spytałem, a ty się zgodziłaś?

- Miałabym się zgodzić na wymazanie wszystkich wspomnień? - Nie. Nie ma mowy. Kłamie.

Ujmuje mnie za rękę i pociera kciukiem moje kłykcie. Chcę zabrać dłoń, ale tego nie robię. Stoi teraz bardzo blisko mnie. Tylko centymetry dzielą od siebie nasze twarze.

- Pamiętasz? - pyta. - Musisz. Spróbuj sobie przypomnieć. Byliśmy w pociągu. Pamiętasz pociąg?

Wyobrażam sobie pociąg, taki, którym jechaliśmy nocą. Nic nie przychodzi mi do głowy. Chcę, żeby miał rację, ale nic na to nie wskazuje.

- Zadałem ci pytanie, czy zaufałaśby mi, gdybym musiał zrobić coś, co by ci się nie spodobało, z czym byś się nie zgodziła, ale co według mnie zapewniłoby bezpieczeństwo zarówno tobie, jak i mnie, żebyśmy mogli pozostać razem.

W końcu wspomnienie, o którym mówi, pojawia się.

Jesteśmy na peronie. Stoimy na dachu starego zarzewiałego wagonu zdjętego z torów. Znów udało nam się wymknąć. Po mojej prawej hamuje pociąg, szorując kołami po szynach. Metal wibruje pod nami. Noah obejmuje mnie ramieniem. Leżymy na plecach i wpa-

trujemy się w gwiazdy. Jest dzisiaj jakiś odległy, nieobecny.

Odwracam się bardziej w jego stronę, kładąc dłoń na jego piersi. Głaska mnie po włosach, kreśląc wzór wokół mojego ucha.

- Coś się stało? - pytam w końcu.

- Nic takiego.

- Noah.

Po chwili wzdycha.

- Jest coś, co muszę zrobić.

- Co takiego? - Moje prawe ucho znajduje się tuż nad jego sercem. Słyszę, jak przyśpiesza nieco rytm.

- To coś okropnego, niesprawiedliwego i samolubnego. Ale wydaje mi się, że to właściwy sposób. Dla nas.

- W porządku, w takim razie powiedz, o co chodzi.

- Nie mogę.

Podpieram się na łokciu i patrzę na niego z góry. Przechyla głowę w moją stronę. Pochylam się i składam na jego ustach trzy powolne pocałunki.

- Możesz powiedzieć mi wszystko - odpowiadam.

- Nie mogę - powtarza. - Ale musisz mi zaufać.

Muszę wiedzieć, czy jesteś w stanie mi

zaufać na tyle, żebym mógł podjąć pewną decyzję.

Bardzo trudną decyzję. Całuję go jeszcze raz. Pociąg odjeżdża. Łoskot oddala się wraz z nim. - Ufam ci - mówię.

Wracam do rzeczywistości. Po policzkach spływają mi łzy.

- Gdybym wiedziała... - mówię. Wspomnienie urwało się gwałtownie. Nie mam pojęcia, co zaszło później. Czy tylko się zgodziłam, czy próbowałam wydobyć z niego więcej informacji...

I czy mu zaufałam, dokładnie tak, jak powiedziałam.

- Zaufałaś mi - stwierdza Noah. Jestem pewna, że chce ode mnie jakiejś oznaki wybaczenia lub zrozumienia. Część mnie chce mu to dać. Nie sądzę jednak, bym była w stanie to zrobić i co to będzie oznaczać, kiedy w końcu tak się stanie.

Ścieram Izy grzbietem dłoni. Nie możemy roztrząsać teraz przeszłości. Nasi przyjaciele są Bóg wie gdzie i potrzebują naszej pomocy. Odzyskiwanie wspomnień nie sprawi, że nasze problemy znikną.

- Dokonałeś swojego wyboru - mówię z całą stanowczością, na jaką mnie stać. Bez względu na zaufanie nigdy nie zgodziłabym się na odarcie z tożsamości. Trudniej jednak jest mi się na niego wściekać, kiedy przypomniałam sobie, co zaszło.

Noah znów spogląda w górę rzeki. Brzegi nadal są puste, a ja mam już dość siedzenia tu i czekania, aż ktoś nas znajdzie. Biegnę do krawędzi skały i zeskażuję na brzeg, przerzucając przez ramię brudną koszulkę. Dżinsy zostają, na wypadek gdybyśmy wrócili do cywilizacji.

Kamyki przesuwają się i klekoczą pod moimi stopami zdecydowanie zbyt głośno. Wybieram drogę wzdłuż brzegu z nadzieją, że znajdę przyjaciół, zanim zajdzie słońce.

- Tak postępują ludzie, kiedy są zakochani - woła Noah. - Podejmują szalone decyzje. Robią to, co uważają za najlepsze, a czasami okazuje się, że to był błąd. Mirando.

Zatrzymuję się. I odwracam. Noah stoi na skale nade mną.

- Po prostu powiedz, że nie będziesz mnie za to nienawidzić do końca życia. Powiedz, że nie wszystko między nami skończone.

Chcę to powiedzieć. Nawet tak myślę. To koniec. No bo jak może nie być? Jednak jedyne, co udaje mi się wykrztusić, to:

- Sama nie wiem. - Podejmuje przerwana wędrówkę wzdłuż brzegu. W środku czuję smutek i jedyne, co jestem w stanie robić, to iść. Dla osłony wchodzi między drzewa. W końcu Noah dogania mnie i idziemy ramię w ramię pogrążeni w milczeniu.

Znajduje inny temat do rozmów. Coś oczywistego. Coś, co ratuje nas od gadania o jakichkolwiek wspomnieniach i deklaracjach zaufania.

- Bez zastrzyków nie pozostało nam zbyt wiele czasu.

- Tak słyszałam - mówię. - Nie wykradłeś jakichś? Bo bardzo by nam się teraz przydały.

- Wykradłem...

Robimy kolejnych dziesięć kroków. Noah milczy. Schylam się pod nisko wiszącą gałęzią.

- Ale? - dodaję.

- Ale straciłem je w trakcie naszej ucieczki. Musieliśmy walczyć z jednym z ochroniarzy Tycasta. Moja torba... ona, no cóż... wszystko się rozlało i...

Otwieram usta ze zdziwienia.

- Więc gdyby Peter was nie znalazł, wy również stracilibyście pamięć.

Dłoń Noaha ociera się o moją przy wymachu, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy to było celowe.

- Wtedy wrócilibyśmy po więcej. Zastrzyki, które zabraliśmy, dały nam trochę czasu.

- I nie zaprosiliście Petera, bo...

- Powiedziałem już dlaczego.

- Ale teraz mu ufasz, prawda?

Mam wrażenie, jakbyśmy błądzili w kółko, ale tak nie jest. Idziemy okrężną drogą, tą, którą przyszliśmy. Biorąc pod uwagę to, jak dużo czasu spędziliśmy w

wodzie, wiemy, że Peter i Olive również muszą zmierzać w tym kierunku. Czekam, aż Noah odpowie, jednocześnie obserwując uważnie drzewa. Martwe liście zaścielają ziemię, szeleszcząc pod stopami.

- Noah - poganiam go.

- Pewnie. Ufam mu.

Patrzę na niego. Zatrzymuje się. Ja również staję w miejscu. Kącik jego ust unosi się w wymuszonym, pełnym skrepowania uśmiechu. Chwilę później mruży oczy i ja również to czuję.

Fala strachu. Jest słaba, ale podszyta znanym mi już zapachem róż. Wygląda na to, że wiem, z której strony napływa.

- Są blisko - mówię, przyśpieszając kroku.

- Skąd możemy mieć pewność, że to nie drugi zespół?

- Nie możemy.

- Możliwe, że będą próbować zwabić nas w pułapkę.

- W takim razie będziemy ostrożni.

Zrywam się z miejsca i biegnę, starając się nie miażdżyć liści pod stopami. Zapach nabiera intensywności, więc zapewne zbliżamy się do celu. Gałęzie chłoszczą mnie po odsłoniętej twarzy, drapią kombinizon i szarpią za włosy. Wiem, idę do Peter i Olive. Czuję to.

- Zwolnij! - syczy Noah za moimi plecami. Gałązka z trzaskiem pęka pod jego stopą. Przed sobą widzę przerwę między drzewami. Stoi tam ktoś z długimi czarnymi włosami związanymi w kucyk. Rzucam się w tamtą stronę i zatrzymuję, unosząc ręce.

Olive trzyma kij, celując w moją twarz.

Noah zatrzymuje się gwałtownie zaraz za mną.

- Olive, co ty wyprawiasz? - pyta. U jej stóp leży Peter, który w dalszym ciągu jest nieprzytomny. Olive

oddycha ciężko przez zaciśnięte zęby. Nie spuszcza ze mnie wzroku, poza momentem kiedy zerka badawczo na Noaha. Kawałek drewna unoszący się przy mojej twarzy sprawia, że dostaję zeza.

- Udowodnij, że to ty - mówi Olive.

Jestem tak zdezorientowana, że robię krok naprzód. Olive uderza mnie mocno w pierś. Kombinezon absorbuje część siły jej ciosu, ale i tak wytrąca mnie z równowagi. Noah mnie podtrzymuje.

- Powiedziałam: udowodnij, że to ty.

- Popatrz na ubranie - mówię. - Inni takich nie mieli.

- Równie dobrze mogłaś im je zabrać - odpowiada Olive, ale słyszę cień wątpliwości w jej głosie. Czerwone zadrapanie przepoławia zaschnięte błoto na jej prawym policzku.

- Olive, to my - odzywa się Noah. - Co ty znowu wygadujesz?

Patrzę, jak Olive przygląda mu się, gdy to mówi. Powoli odsuwa kij od mojej twarzy.

- Co się stało? - pytam.

Olive przenosi spojrzenie na Petera, który trzęsie się wiśnie. Malutka ranka na jego szyi jest jaskrawo-czerwona.

- Jednej z nich udało się do nas podkraść. Była sama, a ja... pokonałam ją. Zostawiłam Petera, walczyłam z nim i wygrałam. Straciła przytomność. Uderzyła w drzewo i osunęła się na ziemię. Już miałam zabrać Petera i uciec, ale uznałam, że muszę wiedzieć, kim była. W końcu wszyscy mieli takie same kombinezony jak my. Identyczne. Myślałam o tym, co powiedział doktor Tycast...

Przelykam ślinę, czując na języku posmak wody z rzeki.

- O zespole Beta, który jest taki jak nasz. - Nasze spojrzenia się zwierają. Jej oczy rozszerzają się nieco. - Oni są nami - mówi. - Dziewczyna pod maską wyglądała identycznie jak ja. Jak moja siostra bliźniaczka, klon czy Bóg wie co jeszcze. To my.

- Niemożliwe - mówi Noah. Stoi obok mnie. Prawie stykamy się ramionami.

- Czyżby? - pyta Olive. Je; głos załamuje się. Ze wszystkich sił stara się zachować spokój. Ja również. - Wiem, co widziałam. Podciągnęłam nawet jej powieki i okazało się, że ma te same oczy co ja. Te same zęby, Noah. Rany boskie. Było ich czworo, prawda? Dwa zespoły.

Znów myślę o centrum handlowym. O chaosie, jaki tam spowodowałam. Dodajcie do tego siedmioro takich jak ja i powtórzcie tę sytuację w większym mieście.

Nie możemy zostać złapani.

Podchodzę do Petera powoli, na wypadek gdyby Olive znów chciała się zamachnąć kijem. Kucam przy nim i czuję pod palcami mocne bicie jego serca. Ma rozpaloną skórę. Wiatr przemyka między drzewami, podrzucając liście. Zamieramy w bezruchu, nasłuchując. Tym razem nie słyhać ludnych helikopterów.

Olive upuszcza kij na ziemię.

- A potem uwolniłaś falę, żebyśmy mogli was znaleźć - mówię.

Kiwa twierdząco głową, próbując się uśmiechnąć.

- To ryzyko, które musiałam podjąć. Musimy trzymać się razem, tak jak powiedział doktor. I Peter.

Noah zatacza koło, oglądając uważnie drzewa.

- W takim razie musimy się zbierać. Skoro nam udało się was namierzyć, to co może przed tym powstrzymać pozostałych?

Olive kręci głową.

- Odległość. Niosłam go przez pół mili, a zespół Beta przeczesywał las w innym kierunku.

Słyszałam, jak odchodzą.

- Założymy się? - pyta Noah.

Fala rzeczywistości była bardzo subtelna. Możliwe, że o dość krótkim zasięgu. Mimo to nie powinniśmy zwlekać.

Wstaję i kładę niepewnie dłoń na ramieniu Olive, tak jak zrobiłabym to w przypadku przerażonego zwierzęcia. Odpręża się pod wpływem mojego dotyku. Powoli przyciągam ją do siebie i obejmuję, a ona otacza mnie ramionami. Czuję się dziwnie, bo tak naprawdę wcale nie znam tej dziewczyny. Po prostu muszę zaufać przeszłości i wierzyć, że kiedyś byliśmy sobie bliskie. Kiedy zobaczyła mnie w hotelu, wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca, ale to nie znaczy, że dorastałyśmy jako przyjaciółki. Koleżanki z zespołu - jak najbardziej, ale to znaczna różnica.

Szkoda, że cię nie znam - myślę. Chciałabym, żeby było jak dawniej, kiedy stanowiliśmy jedną rodzinę, nie mieliśmy żadnych problemów z zewnątrz i nie musieliśmy uciekać przed sobą samymi. Dosłownie. Przed drugą Mirandą, drugim Peterem i Noahem. Ciekawe, czy noszą te same imiona. Czy są tacy jak my, naszym przeciwieństwem, czy czymś pomiędzy.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Olive odsuwa się z wyrazem skrępowania na twarzy, jakby była zaskoczona moim uściskiem. Przyznaję, że taka wylewność nie leży w moim charakterze. Kiwam głową i nie mówię już ani słowa.

Znów kucam i zarzucam sobie na ramię bezwładną rękę Petera.

- Pomożecie mi go podnieść? - pytam, uśmiechając się do nich. Mam powód, żeby to robić. W końcu nadal żyjemy.

Olive odwzajemnia uśmiech, wycierając nos. Po chwili Noah robi to samo, ale jego uśmiech nie obejmuje oczu. Łapiemy Petera za nogi i ręce i niesiemy w stronę lasu.

Idziemy kilka mil na południe, zanim zmieniamy osłonę lasu na szosę. Co jakiś czas mijają nas samochody i ciężarówki, ale potrzebujemy czegoś, co da radę przewieźć nas wszystkich i uchronić przed wścibskimi spojrzeniami.

Zajmuje nam to godzinę.

Zza zakrętu wyjeżdża biała furgonetka. Wychodzę spomiędzy drzew i macham rękoma, cały czas przeczesując wzrokiem okolice w poszukiwaniu zespołu Beta, choć to mało prawdopodobne, by zaszli za nami tak daleko. Znów mam na sobie czarną koszulkę z długim rękawem. Jest wilgotna, ale mniej podejrzana od pokrytej łuskami zbroi. Furgonetka zwalnia, a ja przywołuję promienny uśmiech. Z początku, ponieważ Peter w dalszym ciągu był nieprzytomny, bałam się zaufać komukolwiek, kto się dla nas zatrzymywał. Ale potem doszłam do wniosku, że przecież jesteśmy we trójkę, więc z pewnością damy sobie radę.

Furgonetka zjeżdża nieco z szosy, miażdżąc kołami kruszący się asfalt. Na boku pojazdu jest napisane „Mortons Painting”. Kierowca opuszcza szybę od strony pasażera. Kładę dłonie na krawędzi szyby i uśmiecham się.

- Hej!

- Hej - mówi, odwzajemniając uśmiech. - Stało się coś?

Odstawiam szopkę z oglądaniem się przez ramię, a potem znów patrzę na niego.

- Ja i moi przyjaciele wybraliśmy się na pieszą wędrowkę i jeden z nich upadł. Nic mu nie jest, nie

krwawi ani nic takiego, ale zemdłał. Potrzebujemy, żeby ktoś nas podwiózł. Mógłby nam pan pomóc?

Czy to możliwe, że znowu słyszę helikopter, czy to po prostu szum wiatru? Odsuwam się od drzwiczek i sprawdzam pas nieba powyżej drogi. Nadciąga zmierzch. Niebo jest fioletowe po prawej i czerwono-pomarańczowe po lewej. Burczy mi w żołądku. Uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie czułam takiego głodu. Ta cała walka, ucieczka i pływanie mocno dały mi w kość.

- Wszystko w porządku? - pyta mężczyzna z furgonetki. Naszywka na jego poplamionej farbą koszuli mówi, że ma na imię Michael.

- Tak. Podrzuci nas pan? Możemy panu zapłacić. - Tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, czym moglibyśmy mu zapłacić.

Po mojej lewej materializuje się Noah. Nawet nie słyszałam, jak podszedł.

- Hej! - mówi radosnym głosem. - Jest nas tylko czwórka. A ten czwarty śpi. Wypił o jedno piwo za dużo.

Z początku jestem wkurzona. Noah musi być idiotą, żeby zmieniać moją wersję historii, ale potem uświadamiam sobie, że właśnie o to chodzi. Wygląda to tak, jakbym próbowała zatuszować utratę przytomności Petera, a Noah nie bał się przyznać, że naszemu koledze urwał się film z powodu wypitego alkoholu. Przez to sprawiamy wrażenie włóczących się po okolicy nieszkodliwych dzieciaków. Oba wyjaśnienia są lepsze niż: „Naszemu koledze wbito w szyję zatruta strzałkę”.

Michael marszczy brwi, przyglądając się nam, ale chyba uznaje, że podoba mu się to, co widzi. Upija łyk z butelki pełnej malinowej herbaty.

- Mam nadzieję, że nie będą wam przeszkadzać puszki farby - mówi.

Wsiadamy do furgonetki. Dźwigamy Petera i kładziemy go na podłodze. Noah podaje Michaelowi adres, którego nie rozpoznaję. Nie budzi to jednak mojego zdziwienia. Nie wiem, czy odnosi się do miejsca, w którym już byłam. Michael zadaje nam pytania, od czasu do czasu zerkając we wsteczne lustro na naszą czwórkę, rozciągniętą na drabinkach i reszcie malarskiego sprzętu. Odpowiadam najlepiej jak potrafię. Zachowuję przyjacielski ton, ale moje odpowiedzi są dość ogólnikowe.

Słońce niemal znika z horyzontu, gdy furgonetka zatrzymuje się przed domem. Noah wręcza kierowcy pieniądze, ale Michael zbywa go machnięciem ręki, aż w końcu Noah wciska mu je w dłoń.

- Uratował nam pan skórę - mówi Noah. Uśmiecham się do Michaela.

Furgonetka odjeżdża w ślimaczym tempie. Dom jest dwupiętrowy, z szarej cegły. Na podjeździe stoi mercedes. Sąsiedztwo zamieszkuje zamożna klasa wyższa, co widać po mnóstwie przestrzeni między domami, ogromnych i rozległych trawnikach i gęstwinie drzew, w której moglibyśmy się ukryć, w razie gdyby nadleciały helikoptery.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - pytam, gdy niesiemy Petera wzdłuż podjazdu. Jego ramię otacza moją. szyję. Głowa opada mu w stronę moją. Krzywię się. Lepiej, żeby to wszystko niedługo się skończyło.

- Ja zajmę się mówieniem. Doktor Tycast kazał nam nawiązać kilka kontaktów w mieście. Znaleźć parę miejsc, w których moglibyśmy się ukryć. Być może wiedział, że któregoś dnia będziemy ich potrzebować. Ten dom należy do dziewczyny, której rodzice są zaw-

sze poza miastem i nie będą zadawać zbyt wielu pytań.

- Dziewczyny? - pytam, ignorując sposób, w jaki podskoczył mój żołądek.

Noah ogląda się przez ramię. Lewą rękę ma owiniętą wokół nóg Petera.

- Tak.

Nie zadaję już żadnych pytań. Dochodzimy do frontowych drzwi. Noah wciska dzwonek. Liczę do dziesięciu, a potem drzwi się otwierają i staje w nich wystrzałowa dziewczyna o blond włosach. A raczej nie dziewczyna - wygląda na starszą od nas, ma prawdopodobnie dwadzieścia parę lat. Jest ubrana w biały tank top i brzoskwiniowe spodenki, które ledwo zakrywają długie, opalone uda.

Czuję ukłucie za mostkiem. To zazdrość. Szczęka mi opada. Nie wiem nawet, o co j jestem zazdrosna. To tylko jakaś dziewczyna, którą zna Noah - wielka mi rzecz.

- Noah East. Co tu robisz?

Noah East? Uderza mnie fakt, że nie znam ich nazwisk. Petera ani Olive. Odkładałam to na mniej krępujący moment.

- Hej, Elena. Miło cię widzieć.

- Co tu robisz? - pyta ponownie blondynka.

- Potrzebuję twojej pomocy. - Odwraca się w naszą stronę. - My potrzebujemy twojej pomocy. Jak wiadać.

Dziewczyna nie otworzyła do końca drzwi. Przenosi wzrok z Petera na Noaha, a potem na Olive, która ma ten swój śmiertelnie poważny wyraz twarzy. Staram się postawić w jej sytuacji, walczącą z drugą wersją mnie samej, ale nie potrafię.

- Wszystko z nim w porządku? - pyta Elena, wskazując podbródkiem Petera.

- Zaraz będzie. Wpuść nas do środka, zanim ktoś nas zauważy.

Elena odsuwa się na bok. Wnosimy Petera do domu. Sprawia wrażenie sztucznego, jakby nikt tu nie mieszkał, a jego jedynym celem był idealny wygląd jak z katalogu meblowego.

Noah wskazuje na schody.

- Na górze jest wolna sypialnia. Połóżcie go tam. Muszę porozmawiać z Elena. - Próbuje nawiązać kontakt wzrokowy, ale odwracam się i pomagam Olive wciągnąć Petera po schodach.

- Uważajcie na błoto - mówi Elena. Peter jest nim umazany od stóp do głów. Ignoruję ją.

Sypialnia jest jak reszta domu - zakonserwowana. Kładziemy Petera na kołdrze. Zdejmuję mu koszulkę przez głowę.

- Nic ci nie jest? - pytam Olive, rzucając brudną koszulkę do przylegającej obok łazienki. Olive mocuje się z jego džinsami. Razem udaje się nam rozebrać go do zbroi. Dotykam grzbietu jego odsłoniętej dłoni i czuję na palcach gorąco.

- Nie - odpowiada.

Nie przykrywam go kocem. Spocony kosmyk przydługich, czarnych włosów Petera przykleił mu się do policzka. Odgarniam go kciukiem. Jego twarz płonie. Wyobrażam sobie przyszłość, w której wcale mu się nie poprawia. Prawdopodobnie uda nam się zdobyć zastrzyki, ale i tak potrzebujemy Petera do powstrzymania próbnego testu. Z pewnością będzie miał jakiś plan. Nie wiem, gdzie w tym wszystkim miejsce Olive, ale Peter wie, że to nasz obowiązek. Noah mówi, że chce znaleźć zbiega lub przynajmniej jako pierwszy zdobyć zapas zastrzyków, ale wątpię, by był skłonny do bezpośredniego ataku. Jeśli zostaniemy złapani, to koniec. Zanim pozbawią nas wspomnień, będziemy

żałować, że me uciekliśmy i nie pozostaliśmy w ukryciu.

Nie mam pojęcia, która droga jest właściwa. Nie możemy jednak siedzieć bezczynnie z założonymi rękami. Znów przypominam sobie centrum handlowe, ślepa panikę, test na mniejszą skalę. Ludzi chcących tylko uciec, nie myślących o tym, kto może ucierpieć po drodze. Jeśli nie zrobimy niczego, umrze jeszcze więcej ludzi.

Olive odsuwa się ode mnie kawałek, zaplata ręce i zaciska palce na bicepsach. Siedzę na łóżku przy Peterze i obserwuję ją. Jest wstrząśnięta. Usta ma ściągnięte w wąską kreskę, choć teoretycznie powinniśmy być tutaj bezpieczni.

Brud odpada płatami z jej twarzy. Zadrapanie na policzku zaczęło pokrywać się strupem.

- Nic ci nie jest? - pytam ponownie, zanim i mnie ogarnie jej niepokój.

- Nie mam pojęcia, kim właściwie jesteście - mówi. - Kiedy byliśmy dziećmi, żadnemu z nas nie przeszła przez głowę myśl, by o to zapytać. Zaakceptowaliśmy nasze życie takim, jakim było, bo to coś, co znaleźliśmy. Dorastaliśmy razem, wszyscy, wraz z naszymi rodzicami...

- Rodzicami? - pytam.

- Tak. Wydaje mi się, że to pamiętam. Twoja mama tu była, ojciec Petera również.

Podnoszę się z łóżka.

- Była gdzie, Olive? Gdzie wtedy byliśmy?

Przez moment ma pusty wyraz twarzy, a potem kręci głową.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- Więc możliwe, że źle zapamiętałaś naszych rodziców. Skąd możesz mieć pewność?

- Nie mogę. - Znów kręci głową i przyciska palce do czoła. - Muszę się położyć.

Wygląda, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale urywa.

- O co chodzi?

- Po prostu dobrze cię widzieć, Mir. To, co Noah... co my zrobiliśmy, było złe. Nie miałam pojęcia.

- Dlaczego nie zaufaliście Peterowi?

- Olive zastanawia się przez chwilę, po czym wzrusza ramionami. Sama nie wiem. Noah przekonał mnie, że nie możemy ryzykować. Przez cały czas chcieliśmy nawiązać kontakt z Peterem, po tym jak udało nam się bezpiecznie uciec, bo gdyby okazało się, że nie stoi po naszej stronie, nie działalibyśmy zbyt wiele. A przynajmniej tak nam się wydawało.

Wygina kostkę u nogi, w którą wszczepiono jej nadajnik.

- Kiedy tu przyszliśmy, ta dziewczyna powiedziała „Noah East”. To jego nazwisko?

Olive powoli przytakuje głową.

- Jak brzmi twoje?

- Olive South.

Nie rozumiem. Przecież to nie są nasze prawdziwe nazwiska. Muszą zdawać sobie z tego sprawę.

- A Peter nazywa się... - ciągnie Olive.

- Peter West - kończę za nią.

Kolejne kiwnięcie głową.

- Żadne z was nie sądzi, że to dziwne?

- Chyba tak. Tak naprawdę nigdy o tym nie myśleliśmy. Dla nas to kolejna zwyczajna rzecz.

Odwraca się do wyjścia.

- Zaczekaj - mówię.

Zastyga w drzwiach, jakby została na czymś przyłapaną. Nie jestem tylko pewna, na czym.

- Może to dlatego, że nie kupuję historyjki o wpływie, jaki wywarł na nią Noah względem Petera. A może chodzi o coś innego, o jakieś stare wspomnienie lub przeczucie. Zadaje jej pytanie, które zaskakuje nawet mnie. Czy było coś między tobą a Noahem? To dlatego uciekłaś razem z nim?

Wpatruje się w podłogę przez kilka długich chwil.

- Noah od zawsze należał do ciebie. Ani ja, ani Peter nigdy nie stawaliśmy wam na drodze.

Gdy podnosi głowę, jej oczy są pełne bólu.

- Uciekłaś z Noahem, bo tego chciałaś.

Znów wbija wzrok w podłogę. Mijają sekundy.

- Kochasz go? - pytam.

W końcu spogląda mi prosto w oczy.

- Tak.

Czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie młotkiem w klatkę piersiową. Otwieram usta, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk.

Olive wzdycha.

- Nie obwiniam cię ani nie nienawidzę, Mir. Nie potrafię. Jesteś moją siostrą. Ale kiedy Noah przyszedł do mnie i opowiedział o wszystkim, czego się dowiedział, musiałam iść razem z nim.

- Ukradł mi wspomnienia - mówię, jakby już o tym nie wiedziała. Nie wspominam sceny z pociągiem, kiedy powiedziałam mu, że ułam mu na tyle, by zrobił to, co uważa za słuszne.

Światło odbija się w pojedynczej łzie wiszącej u jej rzes. Wyciera ją dłonią.

- Wiem, to było samolubne z jego strony. Z mojej również, bo z nim poszłam. Ulałam mu jednak i nadal ufam. - Spogląda na leżącego na łóżku Petera. - Peter jest naszym przywódcą od czasów, kiedy byliśmy dziećmi. To zawsze sprawiało, że między mm a nami narastały pewne różnice. Z tobą włącznie. - Przenosi

wzrok na mnie. - Peter nie potrafiłby zachować się w stosunku do ciebie tak, jak to zrobił Noah. Tycast i Phil nie pozwoliliby mu na to. Wiem, że od zawsze wpajali mu do głowy, że zespół liczy się bardziej niż jednostki. Nie zrozum mnie źle, Peter z pewnością jest jednym z nas, ale... Dla mnie na pierwszym miejscu zawsze będzie Noah. I ty.

- Rozumiem.

Olive wykręca sobie dłonie.

- Wybaczysz mi?

Kiwam głową, niezdolna wykrztusić ani słowa.

- Nie powiesz mu nic, prawda?

Kręcę głową, choć część mnie chciałaby zaprotestować. Nie czuję gniewu. To coś innego. Olive jest zdenerwowana tym, co zrobił Noah, i zaniepokojona całą sytuacją, ale w dalszym ciągu pamięta, kim jest. W takim razie to zazdrość. Jestem zazdrosna o to, że posiada własną tożsamość, podczas gdy ja składam się tylko z posklejanych fragmentów dawnej siebie.

- Wiem, o czym myślisz - mówi. To by dopiero była udana sztuczka, bo nawet ja sama tego nie wiem.

- Sądziś, że cieszę się z tego, że Noah cię zdradził.

Próbuję się roześmiać, ale wychodzi mi tylko zdławiony skrzek.

- To prawda?

Olive wytrzymuje moje spojrzenie.

- Nie. Ponieważ nawet po tym, co zrobił, wiedziałam, że jego serce już zawsze będzie należeć do ciebie. Myślałam, że właśnie tak należy postąpić, nawet jeśli potem będzie tego żałował do końca życia.

- Żałuję, że go nie powstrzymałaś - mówię, czując nagle potworne zmęczenie.

- Ja również - odpowiada, a ja jej wierzę.

Wychodzi z sypialni, zanim udaje mi się powiedzieć coś jeszcze. Siadam na łóżku obok Petera.

Ciemne włosy wiją mu się na karku. Wyciągam rękę, by ich dotknąć z nadzieją, że go to obudzi, ale także dlatego, że zwyczajnie chcę dotknąć jego włosów. Od-dycha powoli i równo, a skórę ma chłodniejszą niż po-przednio. Smugi błota plamią mu twarz i szyję. Obserwuję go przez długi czas, próbując przetrwać wszystkie wiadomości. Olive i Noah. Ciekawe, czy Noah o tym wie i czuje to samo.

Zastanawiam się, czy mnie to w ogóle obchodzi.

Przyciskam dłoń do policzka Petera. Ma lekko roz-chylone usta. Pamiętam dotyk ust Noah, połączony ze smakiem wody w rzece i bólem w piersi, kiedy walczy-łam o powietrze w ciągu kilku ostatnich sekund pod wodą. Gdy patrzę na Petera, wszystko wydaje mi się odległe i przytłumione. Przesuwam kciukiem po białej bliźnie na jego podbródku.

Otwiera nagle oczy, wyrywa się do przodu, zwi-ając dłoń w pięść. Unoszę ramię, żeby zablokować cios. Próbuje ponownie, ale chwytam go za nadgarstki i przyciskam do łóżka. Mruga, aż wreszcie udaje mu się skupić wzrok na mojej twarzy.

Miranda - mówi. Na jego twarzy malują się jedno-cześnie ulga i przerażenie. - Jesteś cała. Nie chcia-łem...

- To nic takiego. - Rozluźniam uchwyt, żeby nie posiniaczyć mu nadgarstków, ale nadal przytrzymuję go w miejscu. Nasze twarze są tuż przy sobie, a klatki piersiowe przyciśnięte jedna do drugiej.

- Noah i Olive.

- Nic im nie jest. - Włosy ześlizgują mi się z kar-ku i muskają jego policzek. Peter wykręca lewy nad-garstek i niespodziewanie uwalnia się z uścisku. Jego ciepłe palce otaczają mój kark i wsuwają się we włosy, sprawiając, że oddech więźnie mi w gardle. Zrobienie tego zajęło mu jakieś pół sekundy.

Przysuwam się bliżej. Nie przyciąga mnie do siebie, tylko prowadzi. Na chwilę przed zamknięciem oczu widzę, jak jego się rozszerzają. Odsuwam się.

- Stało się coś? - pytam.

- Niedobrze mi. - Puszczą moją szyję, a ciepły ślad, jaki wycisnęły na mojej skórze jego palce, znika. Dreszcz przebiega mi po ramionach. Kompletnie nie rozumiem, co chciał przez to powiedzieć, bo w dalszym ciągu rozmyślam o kształcie jego ust i zastanawiam się, czy przyglądałam im się, gdy byłam jeszcze sobą. Wtedy Peter stacza się z łóżka i pędzi do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. A więc o to chodziło.

Siadam na skraju łóżka i o mało co nie wybucham śmiechem. Jestem prawie pewna, że chciałam go pocałować. I to jak. Możliwe, że uchronił nas przed tym. Pocieram twarz szorstkimi dłońmi.

- Weź się w garść, Mirando - mówię.

Zwłaszcza że jeszcze parę godzin temu całowałam się z Noahem. Oczywiście nie zrobiłam tego celowo. Po prostu tak się stało. I jestem prawie pewna, że byłam o krok od pocałowania Petera z własnej nieprzymuszonej woli. Mimo to... Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, jest wprowadzenie w zakłopotanie ich obu. Sama jestem wystarczająco dezorientowana za nas troje. Ale to nie moja wina - to Peter chwycił mnie za kark. Ja tylko przytrzymałam go w miejscu, nie planując żadnego bliższego kontaktu. To jego wina.

Nie tłumaczy to jednak, dlaczego z całych sił staram się nie uśmiechać.

Peter otwiera drzwi, zakłócając bieg moich myśli. Wygląda, jakby zobaczył ducha. Ślania się w przejściu.

- Nigdy nie pozwól, żeby ktoś wbił ci... Po prostu nie daj sobie wbić zatrutej strzałki, okej?

- Tak jest, sir. - Salutuję mu niezdarnie.

- Nie nazywaj mnie tak - mówi. Wpełza z powrotem do łóżka i nakrywa się kołdrą, pojękując. - Czuje się, jakbym miał kaca.

Przed oczami przelatuje mi wspomnienie...

Siedzimy we czwórkę przy stole w naszym pokoju. Stoi na nim prawie pusta butelka czegoś o nazwie Jameson. Pali nas w gardle, ale jesteśmy zbyt pijani, żeby się tym przejmować. Gramy w monopol, ale tylko dlatego, że nie chce nam się znowu wymykać. Olive ma całe mnóstwo hoteli. Noah jest kompletnie spłukany. Śmiejemy się i śmiejemy, aż w końcu zrywam się z miejsca i biegnę do łazienki. Podnoszę klapę muszli akurat w momencie, w którym puszcza pawia. Chwiejnym krokiem wracam do pokoju i opieram się o futrynę.

- Powinnaś trzymać się samych soków - mówi Olive, uśmiechając się.

Peter wybucha śmiechem.

- Lub niskoprocentowego piwa.

Pokazuję im środkowy palec i potykając się, idę do swojego łóżka. Padam na nie jak długa.

Przebłysk następnego poranka...

- Tak - mówię, wracając do rzeczywistości. - Kaca.

W łazience spryskuję twarz zimną wodą. Po długim pobycie w rzece zażyłam jej już wystarczająco dużo. Wanna wygląda jednak zachęcająco. Wszelkie możliwe rodzaje drogich olejków i mydeł stoją na półeczce ponad nią. Kim są ci ludzie? W moim umyśle pojawia się ulotne wspomnienie metalowych kabin prysznicowych, z których korzystaliśmy w bazie. Możliwe, że nigdy wcześniej me brałam kąpieli.

Biore myjkę z wanny, zwilżam ją pod kranem i wyżydam. Wpatrując się w siebie w lustrze, przecieram nią szyję. Usta mam spierzchnięte, jeszcze chwila

i popękają. Skóra pod prawym okiem jest fioletowa. Nabieram wody w dłonie i mokrymi rękami próbuję wygładzić strąki we włosach, a potem wiążę je w kucyk. Cały czas cuchnę rzeką. Moje oczy w lustrze mają jaśniejszy kolor. Przedtem były... Nie wiem, jakie były wcześniej, ale teraz są... różowe? Przysuwam się bliżej. Białka są idealnie białe, ale źrenice mają lekko czerwonoróżowy odcień. Przekrzywiam głowę, a efekt się zmienia, ujawniając nutę zieleni. To na pewno przez światło.

Odwracam wzrok, w dalszym ciągu nie rozpoznając swojej twarzy ani kasztanowych włosów w strąkach. Zwilżam kolejną myjkę dla Petera i zanoszę ją do sypialni. Oczy ma zamknięte, ale otwiera je, gdy siadam na łóżku.

- Jak udało nam się uciec? - pyta.

- Olive cię niosła. To dzięki niej.

Kiwa głową.

- Co się stało?

Opowiadam mu prawie o wszystkim. O spotkaniu Olive z jej kopią. Peter nie wie, co powiedzieć. Opuszczam część o sobie i Noahu oddychających tym samym powietrzem pod wodą. Słucha, podczas gdy ja przecieram mu myjką twarz i szyję, zmywając brud. W którymś momencie chwytą mnie za rękę i splata palce z moimi. Patrzymy na nie oboje.

- Peter... - zaczynam, choć nie mam pojęcia, co właściwie chcę powiedzieć.

Po swojej lewej widzę jakiś ruch. Zdaję sobie sprawę, że w tym domu nie jestem do końca bezpieczna. W drzwiach stoi Noah. Pochyliła się nieco, trzymając ręce po obu stronach futryny. Nie patrzy na nas. Patrzy na moją dłoń splecioną w uścisku z dłonią Petera.

- Hej - mówi.

- Hej - odpowiada Peter.

Noah wchodzi do pokoju i trzyma się za nadgarstek, poklepując go, jakby nosił zegarek.

- Jesteście gotowi odzyskać te zastrzyki? Nie chciałbym nikogo poganiać, ale czas płynie.

Kuchenny stół jest pokryty mnóstwem torebek z Taco Bell. Siedzimy i pochłaniamy jedzenie, które zamówiła dla nas Elena. Noah i ja wsuwamy to coś, ale Peter zjada tylko jedno, a Olive wygląda na oszołomioną. Jestem ciekawa, co myśli o tajemniczej blondwłosej przyjaciółce Noaha.

Odkąd Peter jest osłabiony, Noah przejmuje obowiązki przywódcy. Zastanawiam się, czy zawsze tak było - Peter i Noah wydają rozkazy, podczas gdy Olive i ja usuwamy się w cień. To wydaje się całkiem normalne.

Noah podchodzi do stołu z taco w ręce. Eleny nie ma nigdzie w zasięgu wzroku, co znaczy, że Noah prawdopodobnie kazał jej sobie pójść. To, na ile dobrze się znają, nadal pozostaje tajemnicą.

- To powinno być całkiem proste - mówi Noah. - Tycast nie powiedział, że drugi zespół wie o tajnym zapasie zastrzyków. Najpierw sprawdzimy pomost. Jeśli potwierdzimy, że nie jest obserwowany, odzyskamy ładunek.

- Co się stanie, jeśli będziemy potrzebować ich więcej? - pytam.

Noah drapie się po głowie.

- Zaczniemy się tym martwić, jeśli uda nam się przetrwać kilka następnych dni. Na razie powinno wystarczyć. Co by przyszło Tycastowi z tego, że zostawiłby nam trefny zapas?

- Gdy nasza moc osłabnie wraz z biegiem lat, tendencja do utraty pamięci powinna zniknąć wraz z nią - wtrąca Olive.

Pamiętam, jak mówili o tym wcześniej, ale tym razem przywołuję to wspomnienie. Sposób, w jaki moje wizje zmieniają się w coś nowego, jest mi już znajomy.

Dziwne. Jak na dziewczynę, która już nigdy nie ma odzyskać swoich wspomnień, bardzo dużo sobie ostatnimi czasy przypominam.

Gdybym tylko mogła wybrać to, co chciałabym, żeby wróciło.

Serce bije mi w oczekiwaniu na nowe wspomnienia, ale widzę jedynie zimny biały pokój i doktora Tycasta u mojego boku. Trzyma strzykawkę wypełnioną płynem w kolorze lemoniady.

- Jak długo jeszcze muszę to brać? - pytam.

Nie lubię zastrzyków. Nie dlatego, że boją, ale z powodu częstotliwości, z jaką muszę je przyjmować. Sprawiają, że jątrzą się wewnętrzne strony moich przedramion przy łokciach.

Tycast podnosi strzykawkę ku światłu i trąca ją palcem.

- Niezbyt długo. - Uśmiecha się do mnie i ujmuje delikatnie moją rękę w swoją ciepłą, suchą dłoń. - Gdy osiągniesz pełną dojrzałość, twój mózg skurczy się do normalnych rozmiarów. Może skurczy to złe słowo. Twój mózg ulegnie zmniejszeniu. A kiedy już się tak stanie, odkształcenie twojego mózgu zniknie, a potem zacznie się goić. Praktycznie rzecz biorąc, staniesz się zwyczajną kobietą.

- A kiedy to się stanie? - pytam. Wcale nie chcę, żeby mój mózg zmałał.

Doktor przygląda się mojemu ramieniu, szukając kciukiem odpowiedniej żyły. Obserwuję go, ale on nigdy nie odpowiada.

Mrugam szybko.

- Nic ci nie jest? - pyta Peter. Odzyskał część kolorów na twarzy.

Mrugam jeszcze parę razy, kręcąc przy tym głową, żeby oczyścić myśli.

- Wszystko w porządku. - Nie wygląda na przekonanego, więc przywołuję na usta swój najlepszy uśmiech. Mam wrażenie, że moje wargi wykrzywia grymas.

Olive pożera kolejne taco.

- Jak dużo czasu nam pozostało? Zanim utrata pamięci zagnieździ się na stałe?

Noah odwraca się do mnie i otwiera usta, a potem je zamyka.

- No dalej - mówię, wracając do rzeczywistości. - Mów.

Pociera nos.

- Hmm, opierając się na przypadku Mirandy, pozostało nam około ośmiu godzin, zanim zaczniemy odczuwać negatywne skutki. A przynajmniej ty i ja, Olive. Nie wiem, kiedy Peter i Mir wzięli swoje zastrzyki.

Peter bierze do ręki ostatnie taco.

- Lepiej ruszajmy w drogę.

Robimy obchód domu, na wypadek gdyby coś nam się przydało. Olive znajduje lornetkę. Gdy Elena wraca stamtąd, skąd przyszła, Noah nakłania ją, by pożyczyła nam swój samochód.

Gdy przeszukujemy dom, zadaję przypadkowe pytanie:

- Dlaczego nie chcą nas przetestować w kontrolowanym środowisku? Pojedynczo albo po dwojce na raz? Dlaczego chcą ujawnić światu nas wszystkich?

Olive przestaje przetrząsać górne półki w szafce.

- Pamiętasz, co powiedziała kobieta w gabinecie Tycasta? O tym kupcu? Założę się, że chcą przekonać się na własne oczy o naszych możliwościach. To jak

strzelanie z broni na strzelnicy, a potem na polu bitwy.

Noah stoi w drzwiach garażu, po tym jak sprawdził mercedesy.

- Celną uwagę. Jeśli rozmawiamy o takich pieniądzach, o jakich myślę, kupcy będą chcieli gwarancji, że nasze zdolności są bez zarzutu.

- Oni nie mogą wygrać - mówi Olive.

Noah uśmiecha się z większą pewnością, niż ja czuję.

- Nie pozwolimy im na to.

Coś iskrzy między nimi, ale nie wiem co. Coś intymnego, co sprawia, że policzki zaczynają mi płonąć. Ale nie mogę czuć się zazdrosna, skoro pół godziny wcześniej prawie pocałowałam Petera, o ile w ogóle chciałam to zrobić. Noah unika spojrzenia Olive, chowając się z powrotem do garażu.

Odwracam się, zanim Olive zorientuje się, że wszystko widziałam. I dostrzegam dwie wypolerowane katany spoczywające na półce nad kominkiem. Śledzę wzrokiem krzywiznę ostrza i czuję w środku drgnięcie czegoś prymitywnego. Chcę poczuć w dłoni rękojeść. Wołam Elenę i wskazuję palcem na miecze.

- Są prawdziwe?

Elena gapi się na mnie.

- Tak. Mój ojciec uwielbia kolekcjonować japońskie przedmioty. A co?

- Masz coś przeciwko, żebym je pożyczyła?

- Eee...

- Super. Obiecuję, że oddam. - Podchodzę do półki nad kominkiem i podnoszę oba miecze. Słyszę, jak Elena wzdycha i odchodzi. Gdy się odwracam, Noah stoi tuż przede mną.

- Przestraszyłeś mnie - mówię.

- Wcale nie.

Wręczam mu miecz.

- Wiesz, jak się tym posługiwać?
- Nie tak dobrze jak ty.

Na próbę unoszę miecz nad ramieniem i opuszczam go czubkiem w dół. Przylega do mojej zbroi przez koszulkę. Łuski na kombinezonie są z magnesu.

- Niezły trik, co? - mówi Noah. Próbuje być miły czy coś w tym rodzaju. - A jeśli chodzi o Elenę...

- Mam to gdzieś, Noah. - Moja odpowiedź jest automatyczna i może odrobinę nieprawdziwa.

- Co?

Odrywam miecz od pleców, testuję jego ciężkość szybkim obrotem nadgarstka, a potem znów przykładam do pleców.

- Nie obchodzi mnie, jak ją poznałeś.
- Owszem, obchodzi. Jest przyjaciółką. Nawiązałem z nią kontakt, zanim ty i ja zaczęliśmy się spotykać.

- Powiedziałam, że nic mnie to nie obchodzi. Była całkiem pomocna. Noah pokazuje kluczyki do mercedesa.

- O tak.



Wjeżdżamy do centrum miasta dwie godziny przed północą. Cały czas rozmyślamy o groźbie utraty pamięci. I tak nie mam zbyt wiele do stracenia. Dwa dni wspomnień? Mimo wszystko, gdy tylko ta myśl przechodzi mi przez głowę, uświadamiam sobie, że jestem w błędzie.

Mogę stracić dosłownie wszystko.

Znów jestem z przyjaciółmi, z moją rodziną, i mamy przed sobą jasno postawiony cel. Z każdą sekundą jestem coraz bliżej odkrycia tego, kim jestem.

Jednak pozostali będą musieli przejść przez rozpacz i dezorientację, jakich i ja doświadczyłam. Z początku to nie wydaje się takie złe, dopóki nie uświadomisz sobie, co tak naprawdę tracisz. Im więcej się dowiadujesz, z tym większą częścią twojego życia przyjdzie ci się pożegnać. A najgorsze jest to, że jeśli stracimy to wszyscy naraz, nie będzie nikogo, kto wytłumaczy nam, co się właściwie stało.

Noah prowadzi, a my w samochodzie przygotowujemy plan działania. Peter i ja będziemy obserwować pomost. Gdy dojdziemy do wniosku, że okolica jest bezpieczna, Noah z Olive wkroczą do akcji i zaczną przeszukiwać jezioro. Całkiem proste.

Wjeżdżamy do centrum Cleveland. Opieram się o okno i przyglądam ludziom, światłom i samochodom. Wyobrażam ich sobie w epicentrum niewidzialnego chaosu, uciekających od wszystkich możliwych okropności, jakie są w stanie stworzyć ich umysły. Wyobrażam sobie poprzewracane auta, uwięzionych w środku ludzi, szalejący ogień. Słyszę wycie syreny. Wydaje mi się, że rozlega się w mojej głowie, ale za chwilę mija nas jadący w drugą stronę ambulans.

Noah zatrzymuje się przy budynku z kruszącej się cegły, z powybijanymi oknami. W oddali widzę czarną toń jeziora. Zmuszam się do otrząśnięcia z obrazów pełnych zniszczenia. Jesteśmy na miejscu, ale bez zastrzyków nikomu nie zdołamy pomóc.

Noah podaje mi niewielką krótkofalówkę, którą musiał zabrać z domu Eleny. Chcę ją wziąć, lecz trzyma ją w garści do chwili, kiedy krzyżujemy spojrzenia.

- Pozostaniemy w ukryciu - mówi. - Gdy okolica wyda się wam bezpieczna, daj znać przez radio. Kanał drugi.

Biorę urządzenie, a Noah chwyta mnie za nadgarstek. Peter zdażył już wyjść z samochodu. Światła budynku sprawiają, że twarz Noaha wygląda na trupio błądą.

- Bądź ostrożna. I uważaj na Rhysa. On może być wszędzie.

Imię zbiega przyprawia mnie o dreszcz. Bardzo by nam się przydał, gdyby stanął po naszej stronie. Zanim jednak dowiemy się o nim czegoś więcej, definitywnie kwalifikuje się do miana niebezpiecznego.

- Noah, nic jej nie będzie - odzywa się z tyłu Olive.
- Nam wszystkim na pewno nic się nie stanie.

Noah puszcza mój nadgarstek.

- Wybacz, nie chciałem złapać cię za rękę.

- Nie przejmuj się.

Nadal czuję dotyk jego palców przez materiał zbroi. To nie był do końca przyjemny kontakt. Wolalabym, żeby w ogóle mnie nie dotykał. Nie potrzebuje mieć jeszcze większego mętliku w głowie odnośnie tego, co było między nami i co łączy nas obecnie.

Noah unosi klapę bagażnika. Upewniam się, że jesteśmy sami, zanim wyciągnę miecz. Wiatr niesie ze sobą zapach śniętej ryby z jeziora. Na końcu ulicy widać wpadający do wody pomost. Okolice w pobliżu brzegu jest spokojna, mroczna i cicha. Noah odjeżdża autem, żeby ukryć je, zanim przekradniemy się na pomost.

Peter kładzie dłoń na moim ramieniu. Podrywam się z miejsca.

- Spokojnie.

- Jestem spokojna.

Uśmiecha się do mnie w ciemnościach i przekrzywia głowę, obejmując spojrzeniem cały budynek.

- Myślisz, że winda nadal działa?

Wspinamy się po schodach dawnego magazynu, całe siedem pięter. Podeszwami miażdżymy żwir i odpadki, jakie zostały tu po ostatniej osobie, która nazywała to miejsce domem. Panują niemal egipskie ciemności - marne światło sączy się przez zabite deskami okna. Na górze przykładam ramię do pordzewiałych drzwi, otwierają się ze skrzypnięciem. Niebo ponad jeziorem jest czarne. Mam stąd idealny widok na pomost. Trzeci, ten, o którym wspominał Tycast, znajduje się najbliżej. Jest pomazany czerwoną farbą, dokładnie tak, jak powiedział. Przycumowano do niego niewielką łódkę.

Peter kładzie się na brzuchu na krawędzi dachu, a ja zajmuję miejsce obok niego. Nieco bliżej, niż zamierzałam. Przez lornetkę widzę każdy sęk w każdej desce, z której zbudowano pomost.

Peter uruchamia radio.

- Na razie czysto. Jak długo chcecie czekać?

Głos Noaha trzeszczy w niewielkim odbiorniku.

- Niedługo. Jedno z dwojga: nasi wrogowie albo doskonale wiedzą o tym miejscu, albo nie mają o nim zielonego pojęcia.

Zapada osobliwa, pełna napięcia cisza. Świdrujemy wzrokiem pomost, ale nie potrafię zignorować dotykającego mnie ramienia Petera. Byłoby niezręcznie, gdybym się teraz odsunęła, ale brak jakiegokolwiek reakcji z mojej strony również o czymś świadczy. To tak jakby mój umysł został podzielony na dwie części, podczas gdy tak naprawdę potrzebuję, żeby działał jako całość.

Peter chrząka dyskretnie.

- Ty i Noah znów poczuliście do siebie miętę?

- Nie mam pojęcia, co chcesz przez to powiedzieć.

- No wiesz - mówi, wyjmując mi z ręki lornetkę - czy znowu jesteście razem?

- Nie.

- Nie?

- Nie, a czemu pytasz? - Wychyliam brodę za krawędź dachu i spoglądam w dół. Pamiętam bieganie po dachach z Peterem i skakanie w przestrzeń bez poczucia strachu. Puls przyśpiesza mi na samą myśl o tym. Odwracam się na bok, by spojrzeć na niego. Nikły blask miejskich świateł odbija się w jego niebieskich oczach, sprawiając, że wyglądają jak rozjarzone od środka. Odwzajemnia moje spojrzenie, odsuwając lornetkę od twarzy. - Czemu pytasz? - powtarzam.

Krótkofalówka w mojej dłoni wydaje trzask.

- Uwaga, idzie - odzywa się Olive.

Noah rozgląda się na pomoście z dłońmi wspartymi na biodrach. Po drugiej stronie drogi Olive trzyma radio i miecz. Przechodzi i zatrzymuje się tuż przed chłopakiem. Klóca się, ale dźwięk ich głosów nie dociera aż tutaj.

- Idiota - mruczy Peter.

- Popisuje się - mówię. Okolica wygląda na bezpieczną, a ja jestem gotowa doprowadzić plan do końca, żeby móc się wreszcie wyspać.

Noah odwraca się plecami do Olive i idzie na koniec pomostu. Olive obserwuje ulicę z mieczem schowanym za plecami. Unosi krótkofalówkę do ust, a my słyszymy:

- Ależ z niego idiota.

Noah zsuwa się z pomostu i znika pod wodą, prawie nie marszcząc jej powierzchni.

Peter kładzie dłoń na mojej dłoni i ściska urządzenie moimi palcami, a potem przysuwa się bliżej.

Obca pamięć

- Możliwe, że będziesz musiała mu pomóc, jeśli okaże się, że ładunek jest dla niego za ciężki.

- Mam nadzieję, że jest - odpowiada Olive.

Mija trochę czasu. Olive idzie przez pomost.

Nagle okreca się na pięcie, obserwując łódkę.

- Co się stało? - pytam przez radio.

Po kilku sekundach podnosi swoje do ust i mówi:

- Wydawało mi się, że coś słyszałam.

Wyjmuję lornetkę z dłoni Petera i obserwuję uważnie powierzchnię wody.

- Noah powinien już wypłynąć.

- Jako dzieciaki urządzaliśmy sobie zawody - mówi Peter.

- Tak?

- Tak. Sprawdzaliśmy, kto jest w stanie najdłużej wstrzymać oddech. Noah zawsze wygrywał. Któregoś razu zemdlałem, próbując go pokonać. Na pewno nic mu nie jest.

Odnoszę zupełnie inne wrażenie. Olive nie spuszcza wzroku z łódki. Jeśli Noah rzeczywiście przesukuje dno, nie znaczy to, że może od czasu do czasu wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć tchu. No chyba że chce nam zaimponować. Oczy zaczynają mnie boleć. Wstrzymuję oddech.

Olive unosi miecz. Ze swojego miejsca słyszę, jak krzyczy w stronę łódki:

- Wyłaż natychmiast! Pokaż się!

Na powierzchni wody ukazuje się bańka powietrza.

Cholera.

Peter i ja zrywamy się z miejsc w tym samym momencie. Odwracamy się, by popędzić w stronę drzwi.

Drzwi, które są teraz zamknięte. Przed nimi stoi dwójka ludzi w czarnych, łuskowanych kombinezonach.

Drugi Peter i druga Miranda.

Oboje trzymają migoczące srebrne kije. Migoczące dlatego, że małe wiązki prądu elektrycznego pełzają po całej ich długości. Nagle zaczynam tęsknić za poprzednią wersją tej broni, zakończoną nożem. Widok elektryczności sprawia, że mój mózg wrzeszczy: „NIEBEZPIECZEŃSTWO!”. Dzięki temu udaje mi się skupić i wyprzeć oszołomienie związane z gapieniem się na drugą wersję samej siebie. To coś, czego w tej chwili zdecydowanie potrzebuję.

Druga Miranda opiera się na swoim kiju z uśmiechem. To uśmiech osoby cieszącej się na czyjś widok, prawdopodobnie kogoś, kogo nie widziało się szmat czasu. Nawet ich włosy są identyczne z naszymi.

- Nazywam się Grace. - Kładzie dłoń na ramieniu drugiego Petera. - A to mój kolega z drużyny, Tobias.

Grace i Tobias. Myślałam, że będą mieli te same imiona, co my - ale to nie miałyby sensu. Prawie uśmiecham się na tę myśl. Milczę jednak jak zaklęta, bo kompletnie mnie zatkało. To jak tamto wejście do łazienki w galerii handlowej i zobaczenie swojej twarzy po raz pierwszy. Pewnie robimy ten sam wyraz twarzy. Mój głos musi brzmieć identycznie jak jej.

- Co w tym takiego zabawnego? - pyta Grace. Robi krok w lewo, a Tobias w prawo. Dystans między nimi zwiększa się, ale nie ma opcji, żeby udało nam się uciec. Potem robią kolejny krok. Otaczam palcami rękojęść wystającą ponad moim prawym ramieniem. Katana z łatwością odrywa się od pleców. Robię pojedynczy zamach, a potem wyciągam broń przed siebie.

Obca pamięć

- Daj mi miecz, Mirando - mówi stojący obok mnie Peter. Ani na sekundę me odrywam wzroku od naszych klonów.

- Nie musisz mnie ochraniać.

- Nie robię tego. Po prostu pozwól, że ja spróbuję pierwszy.

- Jesteś ode mnie lepszy w posługiwaniu się mieczem?

- No cóż, nie, ale...

- Więc ja go będę trzymać. - Podnoszę nieco głos, by Tobias i Grace mogli mnie usłyszeć. - Nie wyglądacie na zaskoczonych naszym widokiem. Ale my dopiero co dowiedzieliśmy się o waszym istnieniu.

Wymieniają spojrzenia. Tobias, którego otacza aura niebezpieczeństwa, ma dziwną broń przytroczoną do biodra. Jest połączona ze zwojem kabla.

- Wicie, do czego chcą nas zmusić? - pytam.

Peter przestępuje z nogi na nogę. Tobias i Grace zatrzymali się, dając nam odrobinę wolnej przestrzeni do ucieczki. Nie mam wątpliwości, że czekają z nadzieją, aż z niej skorzystamy. Jeśli tego nie zrobimy, tak czy inaczej potraktują nas tymi elektrycznymi kijami, podczas gdy my mamy ze sobą wyłącznie miecz. Drzwi za ich plecami są zamknięte. Wiem, ile trzeba włożyć wysiłku, by otworzyć je od tamtej strony, więc domyślałam się, że i z tej nie będzie to łatwe. Strasznie mnie kusi, żeby rzucić się do ucieczki, ale nie mogę mieć pewności, że Peter zrobi to samo.

- Umrze wielu ludzi - ciągnę. - Jesteście tego świadomi?

Grace kręci głową, nieco zdezorientowana.

- Nie zadajemy żadnych pytań.

Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że coś między mmi jest nie tak. Wskazuję katana w stronę miasta.

- Spójrzcie na tych wszystkich ludzi, którzy tam mieszkają. Spójrzcie na wypełnione mmi budynki. Wyobraźcie sobie, jak uciekają w przyływie masowej paniki i chaos, jaki to spowoduje. A wszystko tylko po to, by udowodnić naszą wartość. Żebyśmy mogli zostać sprzedani temu, kto da najwięcej.

Powieki Grace drgają. Oczy ma w kolorze jaskrawej zieleni, zupełnie niepodobne do moich czerwona-wobrazowych.

- To bez znaczenia - mówi.

Jej odpowiedź sprawia wrażenie automatycznej. Jakby nie do końca rozumiała, co mówię. Jakby jej jedynym celem było schwytanie nas bez względu na wszystko.

Tobias wskazuje podbródkiem w stronę Petera, kucając powoli i trzymając swój elektryczny kij jak laskę.

- Jak tam twoja szyja? - pyta.

- W porządku - odpowiada Peter. - Dzięki za troskę. - Kątem oka widzę, jak obraca głowę w moją stronę. - Nie mam przy sobie żadnej broni, Mir.

- Zdaję sobie z tego sprawę - szepczę. - Po prostu uciekaj. Upewnij się, że Olive i Noahowi nic nie jest.

- Ani myślę - syczy. „To bez znaczenia” - powiedziała Grace. Ta dwójka nie wierzy w ani jedno moje słowo. Gdyby mieli w sobie choć cząstkę nas, nie zastosowaliby się do ustalonego planu. To prawie tak, jakby byli robotami... Jakby ktoś ich zaprogramował. Skoro faktycznie stanowimy dwie części tego samego zespołu - Alfa i Beta - to jakim cudem tak bardzo się od siebie różnimy? Wtedy przypominam sobie nasz cel i nasuwa się oczywiste pytanie - w jaki sposób ktoś może nas kupić i całkowicie kontrolować? Musi istnieć jakiś rodzaj mechanizmu lub prania mózgu czy coś

innego, co pozwala podporządkować sobie wszystkie Róże. Coś, co sprawi, że będziemy wykonywać rozkazy. W przeciwnym razie jesteśmy tylko chodzącymi armatami.

- Jesteśmy bliźniakami? - pytam Grace.

Wzrusza ramionami. Z kimkolwiek mam do czynienia, na pewno nie jest mną. Już się nie boję. Żałuję jedynie, że nie mogę zaryzykować zerknięcia na pomost za moimi plecami i sprawdzenia, czy Noah i Olive są cali i zdrowi.

Grace rusza do ataku.

Dwa końce jej kija kontra ostrze mojego miecza. Paruję cios tak szybko, jak tylko potrafię, wymachując nim w prawo i w lewo, gdy Grace próbuje trafić mnie jednym, a potem drugim końcem. Nie mam takich rękawiczek jak ona. Szok spowodowany uderzeniem jej kija wędruje wzdłuż mojego miecza i wspina się po ramieniu. Z każdym kolejnym ciosem prawie tracę kontrolę nad bronią. Grace robi wymach między moimi nogami, a ja odbijam kij w dół i łapię go, jęcząc z bólu eksplodującego w ramieniu. Ostrze krzesze iskry na kiju. Grace odwraca się i próbuje zaatakować z góry. Odskakuję w bok, a skwierczący kij uderza w żwir, sypiąc deszczem białych iskier. Nie mam czasu na skontrolowanie ciosu. Peter jest obok mnie. Klęczy po potężnym uderzeniu, jakie otrzymał w pierś. Próbował zablokować je nieskutecznie przedramionami.

- Uciekaj! - woła.

Może to przez mój brak snu albo szok? Bez względu na powód Grace jest szybsza ode mnie. Uderza mnie trzy razy w żebra. Tak szybko, że jej kij przypomina białą, trzeszczącą, rozmazaną smugę. Zataczam się do tyłu. Jeden krok, potem drugi. Trzeci. Jestem zbyt blisko krawędzi dachu. Tracę równowagę i przez

chwile młóćę rękoma powietrze, dzięki czemu udaje mi się pozostać w miejscu przez jedną dodatkową sekundę. Grace stoi tuż przede mną, wyciągając rękę, by chwycić mnie za szyję. Chce mnie zatrzymać czy zadać ostateczny cios? Łapię ją za ramię, ale nie zapała się dobrze stopami o dach. Ślizga się po żwirze, a ja patrzę na nocne niebo. Przedziwny koniec - upadek z siedmiu pięter z własnym sobowtórem. Przez głowę przelatują mi obrazy i kilka wspomnień. Zbyt szybko, bym mogła je rozszyfrować. Widzę głównie twarze - Noaha, Petera, Olive, Tycasta. I kogoś jeszcze. Kogoś, kto wygląda jak ja, tylko znacznie starszej. Możliwe, że to moja matka.

Ostateczny przeblysk...

Jestem dzieckiem, nie sięgam matce do pasa. Ona klęczy i spogląda mi prosto w oczy.

Mamy te same kasztanowate włosy, takie same nosy i usta.

- Muszę już iść, kochanie - mówi. Za jej plecami stoi mężczyzna. Ma rudą bródkę i życzliwe oczy. - To jest Phillip. Pomoże ci w nauce, dobrze?

- Dokąd się wybierasz? - pytam.

Nigdy nie otrzymałam odpowiedzi na to pytanie. Mrugam, a twarz kobiety zastępuje oblicze czepiającej się mnie kurczowo Grace. Mijamy kolejne piętra. Próbuję je policzyć, ale spadamy zbyt szybko. Moje ciało napina się, wijąc w konwulsjach, gdy staram się wykręcić. Gdybym tylko mogła nabrać rozeznania, ułożyć nogi w odpowiedniej pozycji. Przyływ nadziei gaśnie. Bez względu na to, w jakiej pozycji wyląduję, żadna nie będzie dobra.

Wiatr ryczy w moich uszach. Zaciskam oczy i przygotowuję się na koniec.

Nagle podmuch ustaje.

Szarpię się tak gwałtownie, że - przez jedną potworną sekundę - wydaje mi się, że zaraz skrećę kark. Coś ściska mnie za brzuch tak mocno, że nie mogę oddychać. Wiszę do góry nogami, dyndając dziesięć stóp nad chodnikiem obok budynku. Kołyszę się. Zerkam w górę i widzę długi, czarny kabel podpięty do nogi Grace. Dziewczyna ściska mnie ramionami tuż powyżej bioder. To dlatego nie mogę oddychać.

Jestem dziwnie spokojna. Kabel podejżdża w górę o stopę. Grace uśmiecha się do mnie triumfująco.

- Było blisko - mówi.

- Tak - odpowiadam, a potem uderzam ją w twarz. Wydaje z siebie głuchy odgłos. Jej uścisk rozluźnia się na sekundę.

Wypadam z jej ramion. Łąduję na czworaka na chodniku pod nią.

Grace podciąga się do góry, robiąc pionowy przyśiad. Tobias me stoi nad krawędzią, nie widzi jej.

- Opuść mnie w dół! - krzyczy Grace.

Zerkam w stronę pomostu - Olive i Noaha nie ma w zasięgu wzroku, a Peter jest teraz sam. Biegnę do wejścia, przed oczami mi ciemnieje, w miarę jak krew odpływa z głowy, ale pędzę przed siebie, przeskakując po dwa stopnie naraz. Docieram na górę i wywalam zamknięte drzwi.

Zatrzymuję się gwałtownie, pozostawiając ślad na zużlu.

Peter klęczy. Krew z rany na czole skapuje mu po nosie. Nad nim stoi Tobias z kijem w jednej dłoni i kataną w drugiej. Czubek miecza spoczywa w zagłębieniu pod podbródkiem Petera.

- Powinnaś była uciec - mówi Peter. Ramiona ma opuszczone, garbi się.

- Do przeprowadzenia testu potrzebujemy jedynie trójki z was - mówi Tobias. - Mogę go załatwić, co wchodzi w zakres wydanych mi rozkazów.

To dlatego Grace trzymała mnie tak kurczowo - na wypadek gdyby Tobias zdażył zabić Petera.

Słyszę, jak sobowtór wchodzi za mną, ale nie odwracam się. Kopie mnie w kolano, a ja potykam się i upadam, rozcinając skórę dłoni o zmiążdżone kamyki. Klękam i zakładam ręce za głowę. Peter świdruje mnie wzrokiem, jakby był wściekły, że nie próbowałam się ratować. W odpowiedzi wzruszam tylko ramionami.

To fałszywa brawura, pozór jedynie. W środku cała się trzęsę i dygoczę. Ponieśliśmy porażkę. Nie mam pojęcia, co się z nami stanie i czy Olive i Noahowi udało się uciec.

I skoro nie ma szansy na współpracę, odmówią nam podania zastrzyków na pamięć, wymazując wszelkie nowe wspomnienia, jakie udało mi się zebrać. To jedyne wyjście.

Peter uśmiecha się do mnie, kręcąc głową. Pomimo uśmiechu widzę, że boi się tak samo jak ja. Krew cieknie mu z ust.

- Nigdy nie słuchałaś moich poleceń - mówi.

Odwzajemniam uśmiech.

- Nie cieszysz się, że będziesz miał towarzystwo?

Zakuwają nas w kajdanki. Mocno. Zanim docieramy na pierwsze piętro, nie czuję już palców. To wszystko wydaje się nierealne. Nie po to przebyliśmy taki kawał drogi, żeby dać się złapać przez ulepszone wersje nas samych. Na dole czeka furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Ocieram się ramieniem o ramię Petera, gdy prowadzą nas do auta.

- Zrobią z nas to samo, co z nich, Mirando - mówi Peter.

Nie patrzy w moją stronę. W środku widzę związanych

Olive i Noaha i znów mogę oddychać. Jestem rozdarta między poczuciem ulgi, że są bezpieczni, a strachem, że schwytali nas wszystkich.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam.

Wiem, co miał na myśli. To, co zrobiono Grace i Tobiasowi. Myśl o byciu zmienioną jeszcze bardziej, niż jestem, sprawia, że ściska mnie w gardle. Zamykam oczy i staram wyobrazić sobie sposób, w jaki mogą to zrobić. Narkotyki? Pranie mózgu?

- To, że zrobią coś, aby zmusić nas do współpracy. Nie możemy myśleć o sobie, bo nie będziemy sobą.

Spogląda mi w oczy.

- Jeśli do tego dojdzie, chcę...

- Czego?

Wchodzimy na tyły furgonetki. Peter kręci głową. Siadam na ławce obok Olive. Uśmiecha się do mnie słabo. Peter siada obok Noaha, naprzeciwko nas. Noah jest zupełnie mokry. We włosach ma jeszcze krople wody. Grace zatrzaskuje drzwi. Jedynym źródłem światła jest teraz mała żarówka w suficie.

- Hej - zwraca się do mnie Noah. - To ty. - Wygląda równie kiepsko co Peter. Wie, że przegraliśmy. Ze nie ma już niczego, co mogłoby ochronić miasto. Albo nas.

- Zauważyłam - mówię.

Między nami a przodem furgonetki znajduje się przepierzenie. Słyszę odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Silnik budzi się do życia. Kołyszymy się na swoich siedzeniach, gdy wóz odjeżdża spod budynku.

- Co tam się stało? - pyta Noah ze wzrokiem utkwionym w suficie. Mówi dość niewyraźnie, jakby

miał spuchnięty język. Możliwe, że otrzymał cios w usta.

- Mieli lepszą broń - odpowiada beznamiętnym głosem Peter.

Noah kiwa głową.

- W porządku, rozumiem, ale pytam poważnie.

- Poważnie co, Noah?

Pochyliła się.

- Serio, Mir. Jak. Do. Tego. Doszło?

Olive kopie go w kolano.

- Wskoczyłeś do wody, zanim uznaliśmy, że okolica jest bezpieczna.

- Tak - mówię. - To twoja wina.

Noah wybucha śmiechem.

- Czekali na mnie na dnie jeziora. Znalazłem zapas zastrzyków, więc Tycast nie kłamał.

W przytłumionym świetle widzę, jak przesuwają coś w ustach.

- Oczywiście, że nie kłamał - odzywa się Peter.

- Co będzie, jeśli nie podadzą nam zastrzyków? - pyta Olive.

- W takim razie miło było was poznać - mówi Noah.

Nie wygląda na zmartwionego. Moja twarz płonie. Cieszę się z tego, bo wolę czuć się wściekła niż bezradna...

Wtedy uświadamiam sobie, że Noah wymawia bezgłośnie słowo „cisza”. Otwiera usta. W ich wnętrzu, pod językiem, widzę cztery maleńkie fiołki wypełnione płynem w kolorze lemoniady.

Podczas gdy rozmawiamy ze sobą bez słów, skupiam się na tym, dokąd jedziemy. Liczę zakręty i postoje, próbując wyobrazić sobie krajobraz wokół nas. W końcu tracę orientację, tak jak i pozostali. Wygląda na to, że przez bardzo długi czas jedziemy autostradą.

Potem widać więcej świateł sygnalizacji. Skracamy, a furgonetka przechyla się mocno przodem w dół, zupełnie jakbyśmy wjeżdżali na teren podziemnego parkingu. Wymieniamy spojrzenia, przygotowując się na to, co ma za chwilę nastąpić.

Samochód staje. Przednie drzwi otwierają się i zamykają. Zaraz potem Grace otwiera skrzydło z tyłu, a ja mrugam, oślepiona ostrym światłem. Rzeczywiście znajdujemy się w podziemnym garażu. Pustym, ale dobrze oświetlonym.

- Wychodźcie - mówi Grace.

- Kim ty właściwie jesteś? - pyta Noah, uśmiechając się do niej jak idiota. - Mirandą numer dwa? Nowszą wersją programu?

Grace uderza go w brzuch, a on zgina się wpół i jęczy z bólu. Nie może się złapać za brzuch, bo ręce ma związane za plecami, więc upada na jedno ramię i przetacza się na bok.

- Masz na pewno to samo poczucie humoru - mówi Noah, gdy udaje mu się odzyskać oddech.

Zakładają nam na głowy worki, co jest kompletnie bezcelowe, bo i tak znaleźlibyśmy drogę powrotną. Pojazd w ruchu to jedno, ale pieszo jestem bardziej pewna siebie. Worek jest szorstki i sprawia, że powietrze robi się gorące i wilgotne.

- Zespół Alfa ma o wiele lepsze worki - odzywa się Noah. Słyszę, jak Grace - lub ktoś inny - uderza go jeszcze raz.

Nasza czwórka siedzi na gołym betonie w celi pozabawionej drzwi. Jedna ściana składa się z przydymanego szkła, pozostałe są białe. Nie zdjęli nam worków, dopóki nie znaleźliśmy się w środku. Jechaliśmy windą przez wiele pięter, przeszliśmy kilka krótkich korytarzy. Poza tym, nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy.

Pierwszą rzeczą, jaką robimy, jest podkuczenie nóg pod siebie i przełożenie kajdanek ponad nimi, żeby znów mieć ręce przed sobą.

Przynajmniej jesteście razem - mówi Olive, drapiąc paznokciem o podłogę. Siedzi naprzeciwko mnie, obok No- aha. Nie ma tu za wiele miejsca, więc jej noga spoczywa na mojej.

Noah wyciąga ramiona ponad głowę.

- Może. Ciekawe, na jak długo. - Poukładał fiołki we wszystkich możliwych zakamarkach swoich ust, bo prawie nie zauważam, że ma zmieniony głos.

- Zawsze jesteś taki negatywny - mówi Peter.

- Odezwał się przywódca. Jak jesteś taki mądry, to wyprowadź nas stąd.

- Noah - upominam go.

Noah unosi skute dłonie w obronnym geście.

- Masz rację, przepraszam. - Unosi palec do ust, a potem udaje, że drapie się po nosie. Boi się, że jesteście obserwowani, i prawdopodobnie tak właśnie jest. Otwiera usta, jakby ziewał, a Peter widzi fiołki. Olive musi o tym wiedzieć, bo rzuca mi przebiegły uśmiech.

Ściana z ciemnego szkła przesuwana się na bok. Czterech ludzi w czarnych skafandrach celuje do nas z karabinów. Noszą te same cienkie, metalowe hełmy co żołnierze w naszej bazie. Wszystkie mają przyprawiające o dreszcze maski z wąskimi szczelinami wizjerów. Dwójka z nich podchodzi i podnosi mnie z podłogi. Nie walczę z nimi. Peter próbuje wstać, ale żołnierz kopie go w pierś.

- Jestem przywódcą. Weźcie mnie - mówi. Ignorują go.

- W porządku - mówię. - Niedługo się zobaczymy.

Chcę, żeby to była prawda, choć czuję, że klamka zapadła.

Mój zespół wpatruje się we mnie z pustymi twarzami. Ściana zamyka się za mną.

Żołnierze prowadzą mnie korytarzem. Przez chwilę zastanawiam się nad wyemitowaniem fali strachu, ale nie przyniesie mi to niczego poza bólem głowy. I sprawieniem, że stanę się całkiem bezużyteczna, skoro kończą się nam zastrzyki. Jeśli jest już po północy, to ostatni wzięłam poprzedniego ranka. Nie jestem w stanie określić, jak długo jeszcze będzie działał.

Za pierwszymi drzwiami po prawej widać niewielki gabinet z biurkiem i półkami pełnymi książek. Za biurkiem siedzi Grace. Widok jej twarzy znów mnie zaskakuje.

Wskazuje ręką krzesło po przeciwnej stronie, a żołnierze sadzają mnie siłą. Przynajmniej jest mi wygodnie. Kiwa do nich głową, a oni wychodzą.

Wpatrujemy się w siebie.

- Te kajdanki są trochę za ciasne - mówię. To tylko kiepska próba służąca zamaskowaniu strachu ściskającego mi gardło. Możemy gadać, co nam ślina na język przyniesie, ale nie spodziewam się, że opuścimy to miejsce w taki sposób, w jaki tu trafiliśmy. Na razie muszę udawać, że jest inaczej, nawet jeśli ledwo jestem w stanie trzymać prosto głowę. Muszę pokazać Grace, że się nie boję.

- Wiesz, że ucieczka stąd jest niemożliwa - mówi Grace. - Jest tu zbyt wiele drzwi i zbyt wielu uzbrojonych ludzi, których musielibyście ominąć po drodze.

- Mój dom trochę przypomina to miejsce.

Grace podchodzi do mnie i odpina kajdanki. Rzuca je na biurko i wraca na swoje miejsce.

- Kto stoi za tą operacją? - pytam.

- Ja.

- Chciałam zapytać, kto jest waszym doktorem Tycastem.

Grace uśmiecha się.

- Doktor Conlin. Janet Conlin.

Rozmasowuję czerwone nadgarstki.

- Więc dlaczego rozmawiam z tobą?

- Dlatego że Conlin uznała, iż uda mi się do ciebie dotrzeć, skoro łączy nas to samo DNA. Unoszę wzrok znad swoich nadgarstków.

- A propos tego. Jesteś moim... klonem?

- A kto mówi, że ty nie jesteś moim?

- Nikt.

- Żadna odpowiedź nie jest właściwa.

Przelykam ślinę, zastanawiając się, czy powinnam wierzyć w to, co mówi. Czy powinnam pozwolić, by jej słowa stały się faktami, czy też odeprzeć je od siebie.

- W takim razie jaka jest?

- Wiem, że z początku trudno to zaakceptować - mówi Grace. Na jej twarzy maluje się jakiś dziwny wyraz. Wygląda na współczucie i zrozumienie. - Z początku byłam taka jak ty. Nie chciałam pogodzić się z prawdą. I nie zrobiłam tego. Ale oni mi w tym pomogli.

- W jaki sposób?

Marszczy brwi. Wpatruje się w jakiś punkt ponad moim ramieniem.

- Nie pamiętam.

- Owszem, pamiętasz. Co oni ci zrobili?

Grace kręci głową.

- W jaki sposób cię kontrolują? - pytam.

- To bez znaczenia - mówi Grace i przez szaloną sekundę wydaje mi się, że wybuchnie płaczem. - Po prostu to robią.

- Kim jest Rhys? - pytam. Jeśli została wytrącona z równowagi, to mogę dalej zasypywać ją pytaniami. Sprowokować ją do tego stopnia, że zdradzi mi coś użytecznego.

- Nie znam tego imienia.

- Lubisz być kontrolowana?

Obserwuję, jak na jej twarzy znów pojawia się zimny, wyrachowany wyraz. Zupełnie jak u robota. Właśnie to mi robią. Sprawia, że nie będę mogła samodzielnie czuć ani myśleć. Będą musieli, jeśli chcą przetestować nasze możliwości w terenie.

Wyobrażam sobie fiołki w ustach Noaha. Nadal jest nadzieja, bez względu na to, jak nikła.

Grace kładzie dłonie na biurku.

- Nie przeszkadza mi to. I znacznie ułatwia moją pracę. Twoją również ułatwi. W mojej skórze jest komputer, Mirando. Za każdym razem, kiedy w mojej głowie pojawia się zabroniona myśl lub pragnienie, tatuaż usuwa je. Po jakimś czasie przestaniesz z tym walczyć.

Tatuaż... Przypominam sobie, jak Noah wymawiał to słowo w trakcie przytaczania rozmowy, którą podsłuchał w gabinecie Tycasta. Zanim udaje mi się zapytać, co ma na myśli, Grace ujmuje włosy i odsuwa je na bok. Odwraca się tak, że widzę mechanizm wszczepiony w skórę u podstawy jej czaszki. Wygląda jak wytłaczana płytka układu scalonego widoczna tuż pod powierzchnią skóry.

A więc dlatego zespół Beta tak bardzo różni się od nas. I dlatego wkrótce staniemy się tacy jak oni.

W gardle zaschło mi tak bardzo, że nie mam jak przełknąć śliny.

- Chcecie nam zrobić to samo?

Grace kiwa twierdząco głową.

- Conlin osobiście zajęła się pracą nad tatuażami. Byliśmy pierwszymi Różami, które je otrzymały. Nie wstydzę się przyznać do tego, że zespół Beta dostał je jako pierwszy, żeby pozostali mogli upewnić się, że nie zabiją was.

- Czyli mnie.

- Zespołu Alfa. Pupilków Projektu Róża. Wszyscy wiedzą, że wasza grupa od zawsze była ulubioną formacją naszych twórców.

Pochyliam się do przodu, a Grace ogarnia napięcie.

- Twórców? Jest ich więcej niż jeden? - Domyślałam się, wiedziałam już o tym wcześniej. Głos w gabinecie Tycasta powiedział przecież: „Przyśpieszamy próbny test”. Liczba mnoga.

Nie przysuwam się bliżej, a jej ramiona rozluźniają się.

- No cóż, ktoś musiał nas stworzyć, prawda? I tak, jest ich więcej.

Stworzyć. Wpatruję się w nią tępo.

- Zostaliśmy wyhodowani, Mirando.

- Wyhodowani...

- Tak. Dobry Boże, nie wierzę, że jesteśmy naturalnie spokrewnione. Jesteśmy klonami, Mirando. Klonami. Jednej osoby. Kopiami. Nie mamy matki ani ojca. Rozumiesz, co mówię?

Rozumiem. Chyba wiedziałam od samego początku, głęboko w duszy, w jakimś ukrytym i mrocznym miejscu, że w naszym przypadku chodzi o coś więcej niż terapię genową. Może to stąd bierze się pustka, którą odczuwam - nie z powodu utraty pamięci, ale dlatego, że byłam pusta od samego początku. Nie jestem prawdziwą osobą. Jednocześnie wiem, że to nieprawda, bo me można wywodzić się z niczego. Moi przyjaciele są prawdziwi. Są dla mnie ważni.

Jednak to, co mówi, to, w co wierzę... oznacza, że nigdy się nie urodziliśmy. Nigdy nie mieliśmy rodziców, którzy by nas oddali na potrzeby eksperymentu. Nigdy nie zostawiliśmy za sobą poprzedniego życia. Zawsze było tak jak teraz, od pierwszego uderzenia naszych serc.

To nie jest odpowiedni moment do rozkładania swoich uczuć na czynniki pierwsze. Muszę pozostać skupiona na wypadek nikłej szansy, że Noahowi uda się oddać nam fiolki.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - pytam. Odrętwienie ogarnia moje ręce i nogi, sięgając palców. Znam odpowiedź.

- Dlatego że za kilka godzin nie będziesz niczego pamiętać. Chyba że zgodzisz się na współpracę. Doktor Conlin otrzymała rozkaz natychmiastowego przeprowadzenia testu. Jeśli będzie nas wystarczająco dużo, zapewnimy światu demonstrację, której nigdy nie zapomni. Osiem Róż pasowałoby idealnie, ale zadowolimy się też siedmioma.

- Jesteś gotowa zostać sprzedana jako czyjaś broń?

- Akceptuję to, ponieważ muszę. Tatuaze dla zespołu Alfa nie zostały ukończone i nie będą działały jeszcze przez jakiś czas. Więc albo odbierzemy wam wasze wspomnienia, albo zgodzicie się wziąć udział w teście bez tatuazy. Zmuszenie was do zapomnienia wszystkiego to coś, czego Conlin wolałaby uniknąć, skoro wiąże się to dla was z utratą większości doświadczeń. To tylko umniejsza waszą wartość.

- Nie dojdzie do tego - mówię. - Nigdy wam nie pomożemy.

Grace kiwa głową.

- Na taką ewentualność dostałam odpowiednie instrukcje, w jaki sposób ci to wyperswadować.

Drzwi do gabinetu otwierają się. Do środka wmaszerowuje dwójka żołnierzy, trzymając na muszce Petera i Noaha. Napierając z całej siły na ramiona, zmuszają ich do klęknienia. Noah garbi się nieco ze zwieszoną głową. Na policzku ma nowego siniaka.

Gdy się odwracam, Grace uśmiecha się.

- Choć wydaje ci się, że bardzo się od siebie różnimy, jestem całkiem pewna, że coś nas ze sobą łączy. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy nie chodziło zawsze o tych dwóch?

Urywa, chłonąc oczami wyraz malujący się na mojej twarzy.

A teraz będziesz musiała wybrać.

Wybrać.

Pokój zdaje się chwiać, ale trzymam się mocno krzesła.

Jeśli chodzi o techniki perswazji, te są naprawdę okropne. Stawiam sprawę jasno, że i tak im nie pomożemy, bez względu na to, co zrobią. Jeśli chcą naszej współpracy, będą musieli wymazać nam wspomnienia albo wszczepić tatuaże. Gdybym nie wierzyła w to, że Grace naprawdę by ich zabiła, serce nie waliłoby mi tak mocno. Nie zaschłoby mi w ustach i nie miałabym wrażenia, że to mnie przyłożono pistolet do głowy.

Grace powiedziała, że potrzebują jedynie siódemki. Nie oznacza to jednak, że zniszczyliby coś tak cennego jak Różę. Muszę w to wierzyć.

Wstaje i pochyla się, opierając o biurko koniuszkami palców.

- Zgódź się na współpracę. Samo twoje słowo nam nie wystarczy - przydzielimy ci opiekunów. Zgódź się, a oszczędzę ich obu.

- Nie zgadzaj się na nic - mówi Peter.

Grace ignoruje go.

- Wstań, Mirando. Spójrz na nich.

Wytrzymuję nieco dłużej jej spojrzenie, tak długo, jak tylko mam odwagę, a potem odpycham się od krzesła i odwracam. Peter i Noah klęczą z lufami karabinów wycelowanymi w tył głowy. Udaje im się przywołać uśmiechy. Napętnia mnie to siłą i czymś

jeszcze... czymś ciepłym. Dzięki temu udaje mi się zachować zimną krew.

- Powinnaś wybrać mnie - mówi Noah. - Peter musi nas prowadzić. - Głos ma płaski i bezbarwny, jakbym wybierała coś do picia zamiast osoby, którą należy zabić.

- Och, błagam - odzywa się Peter, przybierając ten sam beztroski ton.

Noah prychnął pod nosem.

- Chyba żartujesz? Widziałem, jak trzymacie się za ręce.

Widziałem to całe mizdrzenie. Ona nienawidzi mnie za to, co jej zrobiłem.

- Nie nienawidzę cię - mówię. Nie jestem pewna, co czuję, ale to nie jest nienawiść. Dwóch żołnierzy w hełmach stoi za nimi jak posągi. - Zapamiętam was, mimo że nigdy nie widziałam waszych twarzy - mówię do nich. Jeden z nich przekrzywia głowę na bok jak pies.

- Masz pięć sekund - odzywa się Grace. Odwracam się.

- Jestem pewna, że mam więcej. Nie zabijecie nas.

Peter i Noah maskują swój strach, więc muszę zrobić to samo. Mogę stłumić go zdrowym rozsądkiem. Ci, którzy nas Stworzyli, nie zyskają niczego na naszej śmierci. Zamiast tego dostaną czwórkę osób pozbawionych wspomnień. Logiczne. Nie pozbywasz się tak cennej broni, by pozyskać czyjąś współpracę. Są inne sposoby.

A mimo to...

W oczach Grace widać błysk szaleństwa. Pomyliłam się. Zrobi to.

Nie obchodzi ich, kto przeżyje, a kto umrze, o ile dalej będą mieli swoje siedem Róż, potrzebnych do przeprowadzenia testu.

Wyraz twarzy Petera i Noaha nie ulega zmianie, ale tym razem nie czują pocieszenia.

Dajcie mi jakiś znak - myślę. Dajcie mi znać, że postępuję właściwie. Że wszystko będzie w porządku. Nie każcie mi wybierać.

- Dobrze, w takim razie ja wybiorę - odzywa się Grace zza moich pleców. - Zabijcie Petera.

Peter zamyka oczy. Noah znów zwiesza głowę. Odwracam się, gotowa przeskoczyć biurko Grace, ale celuje mi w twarz.

Stojący za mną żołnierz oddaje strzał.

Huk jest niesamowicie głośny w tak niewielkim pomieszczeniu. Wszystko w moim wnętrzu umiera i gnije. Powinnam była sama wybrać.

Tylko kogo?

- Chciałabym, żebyś zapamiętała ten moment - mówi Grace. Kiwa w stronę chłopców. Odwracam się, a Peter nadal klęczy z zamkniętymi oczami. Dym unosi się wokół jego głowy. W podłodze, obok jego kolana, widać dymiącą dziurę.

Nie zabili go. Zalewa mnie fala ulgi, sprawiając, że jest mi trudniej niż kiedykolwiek utrzymać się na nogach. Wyciągam rękę i opieram się o krzesło.

Peter otwiera oczy. Są suche i zacięte. Ukazuje się w nich cień jego prawdziwego ja. Czysta, zwierzęca siła. Nigdy nie czuł strachu, który musiałby ukryć.

- Zabierzcie ich z powrotem do celi - instruuje żołnierzy Grace. Szarpnięciem podrywają Petera i Noaha na równe nogi, a potem popychają w stronę korytarza.

Grace wzdycha i opada na swoje krzesło.

- A teraz czekamy.

Żołnierze wyciągają mnie z pomieszczenia kilka sekund później, ale nasze spojrzenia się krzyżują. Grace garbi się na krześle, uśmiechając się do mnie szeroko. Oblęd w jej oczach wcale nie zniknął. Nie spuszcza z niej wzroku, dopóki nie zamykają się drzwi.

Z tatuażem czy bez, obiecuję sobie w duchu, że zabiję ją, nim to wszystko dobiegnie końca.

Wrzucają nas z powrotem do celi. Staję w rogu z dala od wszystkich. Słucham, jak mój puls powoli zwalnia. Odgłos wystrzału ciągle rozbrzmiewa w mojej głowie. Uszy mnie bołą. Mam wrażenie, jakby były pełne betonu.

Noah podchodzi do mnie od tyłu. Chwyta mnie za ramię i obraca w swoją stronę. Unosi palcem mój podbródek. Otwieram oczy.

- Zrobiłaś, co należało - mówi. - Nigdy nie mieli zamiaru nas zabić. - Przysuwa się tak blisko, że nasze usta prawie się dotykają. Całuję go. Wiem, że sam by tego nie zrobił. Rozchyłam usta i czuję, jak jego język przesuwają się po moim, upuszczając na niego dwie niewielkie fiołki. Odsuwa się i uśmiecha bez odsłaniania zębów. Odgarnia mi kciukiem włosy z oczu.

Peter stoi w kącie, obserwując nas. Przesuwam jedną fiołkę na języku i pokazuję mu drugą, błyskając żółtym płynem ukrytym wewnątrz. Rozkładam ramiona, jakbym potrzebowała uścisku. Na pewno jesteśmy obserwowani i podsłuchiwani. Wygląda to co najmniej dziwnie, gdy całuję Petera zaraz po Noahu, ale to jedyny sposób, by przekazać fiołki i nie zdradzić się, że je mamy. Lepiej, żeby wyglądało na dziwne niż oczywiste.

Peter stoi tuż przede mną. Ramiona ma tak szerokie, że nie widzę stojących za nim Olive i Noaha.

- W porządku - mówi.

Kładę dłoń na jego piersi.

- Wiem. Chodź tutaj.

Obejmuję go palcami za kark i przyciągam do siebie. Całuję mnie delikatniej niż Noah. Dostaję gęsiej skórki na ramionach i plecach. Otwiera usta, a ja przekazuję mu fiołkę, wsuwając ją do środka językiem. Odsuwa się w chwili, w której mu ją daję, ale niechętnie go puszczam, robiąc krok do przodu, by nadal móc dotykać go ustami. W końcu odrywam się od niego z płonącymi wargami, z fiołką leżącą bezpiecznie pod językiem. Peter sprawia wrażenie równie zmieszanego co ja.

Ale w dalszym ciągu mamy zadanie do wykonania. Odgryzam zatyczkę i połykam gorzki płyn. Później robię to samo z fiołką rozmiarów tabletki. Do głowy przychodzi mi wspomnienie Tycasta - o tym, że Noah czasami mieszał zastrzyki z napojami i że to znacznie obniżało ich skuteczność. Gdybym tylko miała pod ręką strzykawkę...

Patrzę, jak Noah daje Olive „pożegnalny” pocałunek, i nie mogę przestać myśleć o tym, co dzieje się w jej głowie. I Noaha. Zastanawiam się, czy czuje jej miłość w tym jednym pocałunku. Gdy odsuwają się od siebie, wpatruje się w jej oczy przez długą chwilę. Przez jeden ulotny moment na jego twarzy maluje się zmieszanie. Z jakiego powodu, tego nie wiem. Albo dlatego, że wyczuł coś w jej pocałunku, albo dlatego, że sam coś do niej poczuł. Przestań. To tylko domysły. Nie można czuć niczego w pocałunku. Ale nawet gdy ta myśl przechodzi mi przez głowę, wiem, że to nieprawda.

Noah odwraca się od niej do Petera.

Olive dotyka ust opuszkami palców. Widzi, że ją obserwuję, i szybko opuszcza rękę. Chcę jej powiedzieć, że wszystko w porządku, tylko nie wiem jak.

Peter ściska Noaha, ale domyślam się, że to pretekst, żeby mógł mu szepnąć coś na ucho. Noah niemal niezauważalnie kiwa głową i idzie w moją stronę.

Nie wiadomo, jak długo płyn z fiolek będzie skuteczny, ale nie mogę działać wyłącznie z nadzieją, że wystarczająco długo. Muszę coś zrobić.

Noah otacza mnie ramionami i szepcze mi na ucho:

- Będziemy udawać utratę wspomnień. Idź spać. Jeśli uda nam się przekonać ich, że niczego nie pamiętamy, znów dadzą nam zastrzyki. Postaraj się być przekonująca. A teraz zacznij płakać.

- Za Noahem Peter szepcze coś Olive. Mrużę oczy tak mocno, że zaczynają łzawić, a potem mrugam parę razy, by odpędzić udawane łzy. Słucham go, ale trudno mi jest skupić się, gdy jego ramiona obejmują mnie w ten sposób. Po tym jak pocałowałam Petera, to już zbyt wiele.

Nie chcę patrzeć na żadnego z nich. Powiedz, że ci przykro - mówi Noah.

- Tak mi przykro, Noah. Tak mi przykro.

- Ciii, przestań. To nie twoja wina - mówi normalnym już głosem. Puszczą mnie i wyciera oczy, ale one również są suche.

Drzwi celi otwierają się. Stoi w nich Tobias z dwójką żołnierzy. Klepie Petera po ramieniu, jakby byli dobrymi przyjaciółmi.

- Otwórz usta - mówi Tobias. Peter robi, co mu każe. Tobias macha dokoła latarką, sprawiając, że policzki Petera płoną czerwienią. Stoję jak wryta, mając nadzieję, że wszyscy zdażyli pozbyć się swoich fiolek.

Wskazuje na mnie.

- Otwórz. - Posłusznie otwieram. Nie znajduje w nich niczego. Robi to samo z Olive i Noahem, każąc im podnieść języki.

Noah kaszle mu w twarz. Tobias uderza go na odlew w twarz, a on osuwa się na ścianę, chichocząc do momentu, w którym Tobias unosi pięść.

Noah milknie, a Tobias wraca do drzwi. Taksuje nas spojrzaniem jedno po drugim.

- Jesteście kompletnie porąbani - mówi.
- Nie masz pojęcia, jak bardzo - odpowiada Noah.
- Na szczęście minie wam to, gdy stracie wspomnienia.
- Wątpię - odzywa się Olive.

Tobias kręci głową z obrzydzeniem i opuszcza celę. Drzwi znów się zamykają, a szklana ściana ciemnieje.

Czekamy.

Konieczność porozmawiania z nimi nęka mnie jak głód. Nie możemy siedzieć tu i czekać. Musimy iść spać i obudzić się jako zupełnie inni ludzie, jeśli chcemy przekonać pozostałych. Tak jak to się stało w moim przypadku.

Peter masuje skronie i przywołuje na twarz wyraz pełen smutku. Muszę pamiętać, że udajemy, że mamy plan.

- Przepraszam - mówi.
- Za co? - pyta Noah.
- Zawiodłem was.
- Przestań - ucina Olive. - Nie bierz winy tylko na siebie. Nie musisz tego robić.

Peter kręci głową. Oczy ma zamglone.

- Oni naprawdę mają zamiar wymazać nam wspomnienia.

- Zrobią wszystko, co zechcą i uznają za konieczne - mówię.

Zapada kolejna chwila ciszy. Robię pierwszy krok.

- Słuchajcie, nie powinniśmy teraz tego odgrzebywać. To nie potrwa długo. Ja idę spać. A kiedy się

obudzę, i tak nic nie będzie mnie już obchodzić. Stworzymy sobie nowe wspomnienia.

Noah z trudem powstrzymuje się od uśmiechu. Podchodzę do każdego z nich - Petera, Noah i Olive - i całuję ich w policzek. Potem idę w drugi koniec celi. Kładę się na podłogę i podciągam kolana pod brodę.

I najdziwniejsze jest to, że naprawdę zapadam w sen.

Drzwi celi otwierają się z hukiem, budząc mnie. Przetaczam się na bok i mrugam w ostrym świetle z największą ospałością, na jaką mnie stać, podpierając się na łokciu. Nie muszę udawać aż tak bardzo. Nie ma tu okien, ale mam wrażenie, jakby był środek nocy. Drzwi celi są otwarte, ale nikt w nich nie stoi.

Czas przekonać wszystkich, że niczego nie pamiętam.

To trudne, biorąc pod uwagę przelewającą się przeze mnie falę emocji. Tak wiele rzeczy, które trzeba wziąć pod uwagę i martwić się nimi, a ja muszę udawać, że nic mnie nie obchodzi.

Powoli, fragment po fragmencie, oczyszczam swój umysł. Myślę o nas uwięzionych za linią wroga, ale odpycham to od siebie. Rozmyślam o ludziach w mieście, o przerażeniu, którego wkrótce doświadczą. Tę myśl również odpycham. Myślę o Peterze i Noahu. O tym, co do mnie czują i co ja czuję do nich. Kolejna myśl do odepchnięcia. O przyjaźni z Olive, o ile uda mi się ją odbudować. To również od siebie oddalam.

Oczywiście te myśli wcale nie odchodzą. To niemożliwe. Zamiast tego mającą gdzieś w tle, grożąc przedostaniem się do świadomości i zagrożeniem, że nogi się pode mną ugną. Ale na razie odgrywam swoją rolę. Wiem, jak to jest niczego nie pamiętać.

Omiotam spojrzeniem celę, dostrzegając pozostałych, i staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

Obca pamięć

Marszczę nieznacznie brwi, jakbym próbowała rozwiązać jakąś trudną zagadkę. Odgłos stukających obcasów odbija się echem w korytarzu. Do celi wchodzi niska Azjatka z czarnymi włosami obciętymi na boba i w okularach z czarnymi oprawkami. Ma na sobie biały kitel podobny do tego, jaki nosił doktor Tycast.

Podnoszę się z miejsca.

- Gdzie ja jestem?

Kobieta uśmiecha się.

- Witaj, Mirando. Nazywam się doktor Conlin. Mieliście wypadek. Pamiętasz?

- Jaki wypadek? - pytam.

Noah i Peter patrzą na mnie tak, jakby nigdy w życiu mnie nie widzieli. Olive przeciera oczy.

- Skąd znasz moje imię?

Doktor Conlin oblizuje wargi. Nie towarzyszą jej żołnierze. Reszta stara się przybrać jak najbardziej oszołomiony i dezorientowany wyraz twarzy.

Noah wstaje, podpierając się o ścianę.

- Gdzie ja jestem?

Conlin unosi dłonie w uspokajającym geście.

- Spokojnie. Wyjaśnię wszystko w swoim czasie.

A teraz powiedzcie mi, co pamiętacie.

Zamykam oczy. Otwieram je. Kręcę głową.

- Nic - mówię.

- Conlin kiwa głową i wyciąga dłoń. Chodź ze mną.

Mijam ostrożnie pozostałych, jakbym bała się, że mogą zaatakować. Drzwi celi zasuwają się, a mnie oblewa pot. Bez towarzyszy czuję się samotna. Naga i obnażona.

- Dokąd idziemy? - pytam. Próbuję przywołać swoje początkowe odczucia z galerii handlowej, ale są niewyraźne. Była w tym dezorientacja, ale także pogo-

dzenie się z faktami. Jestem w stanie udawać obie te rzeczy.

Conlin prowadzi mnie z powrotem do gabinetu, w którym nie tak dawno klęczeli moi przyjaciele. Nikły zapach dymu z lufy nadal wisi w powietrzu. Conlin wskazuje krzesło stojące przy biurku. Siadam, splatając dłonie. Chwilę później przestaję to robić - ten gest może się wydawać zbyt oklepany. Nie chcę swoim zdenewrowaniem przyciągać niczyjej uwagi.

Conlin siada za biurkiem i kładzie dłonie na blacie.

- Uczestniczyłaś w traumatycznym wypadku, Mirando. Ty i twoi przyjaciele.

- Co się stało?

- Wasza czwórka przebywa w tym ośrodku ze względu na specjalne leczenie. Posiadacie rzadkie zaburzenia pamięci, ale udało nam się wyleczyć je za pomocą serii zastrzyków, które musicie codziennie przyjmować. Chcieliśmy zwiększyć działanie, ale się nie udało. Wasze wspomnienia przepadły. Wierzmy jednak, że powrócą niedługo, kiedy tylko zacniemy wam podawać stałą dawkę lekarstwa.

O co mogłabym teraz zapytać? Spoglądam przez ramię na drzwi, przez które weszłyśmy.

- Czy znam ludzi, którzy tutaj przebywają? Tych chłopców i dziewczynę?

Conlin kiwa twierdząco głową. Kiwa z powagą, próbując wmówić mi to tak samo, jak ja próbuje wmówić jej swoją dezorientację.

- Tak. To twoi przyjaciele. Chciałabym jednak, żebyś zachowała spokój. Sytuacja wkrótce się wyjaśni.

Jestem zaskoczona tym, z jaką łatwością kłamie. Robi to bez żadnego wysiłku, jakby wierzyła we własne słowa. Są tak prawdziwe, że wystarcza to, by wytrącić mnie nieco z równowagi. Jedyнным brakującym ele-

mentem jest odrobina ciepła w jej zimnym spojrzeniu. i Biorę głęboki oddech.

- Jestem spokojna. - Okej, więc pozostali są moimi przyjaciółmi, ale gdzie w takim razie są moi rodzice? Spuszczam wzrok, a potem ożywiam się, jakbym przed chwilą wpadła na jakiś pomysł. - Gdzie są moi rodzice?

Doktor Conlin wzdycha.

- Obawiam się, że oboje umarli, kiedy jeszcze byłaś dzieckiem. Twoje zaburzenia pamięci pojawiły się niedługo po tym. Przykro mi.

- W porządku... Przecież i tak niczego nie pamiętam. - Wiercę się na krześle, czując, jak kombinezon porusza się wraz ze mną.

Podciągam koszulkę, odsłaniając znajdującą się pod nią zbroję.

- Co to, do cholery, jest? - Uderzam pięścią w brzuch. - To jakiś rodzaj zbroi?

Conlin sprawia wrażenie przygotowanej na to pytanie.

- Niezupełnie. To kombinezon, który produkuje niewielkie ładunki elektryczne stymulujące funkcje mózgu. W ten sposób działa - jest jak organiczny komputer, który potrzebuje zasilania. Zamiast nieporęcznych hełmów używamy kombinezonów jako przewodników. Umożliwia to nam utrzymanie ładunków na niskim poziomie. Pomyśl o tym jak o zestawie pierwszej pomocy.

Przywołuję na twarz wyraz zaskoczenia.

- Łał. Niesamowite.

- W rzeczy samej - zgadza się Conlin, uśmiechając się, gdy łykam kolejne jej kłamstwo. - Chcemy, żebyś zapamiętała tak dużo, jak tylko ty potrafisz.

Ogarniam spojrzeniem książki stojące na półkach. I niewielką roślinę na biurku.

- W takim razie co dalej? - pytam.

Conlin klaszcze i odchyła się na krzesło.

- Teraz porozmawiam z twoimi przyjaciółmi i wyjaśnię im sytuację. Chcielibyśmy przeprowadzić kolejny test, żeby sprawdzić, czy uda nam się zresetować wasze wspomnienia.

- Co to za test? - pytam.

To może oznaczać tylko jedno - próbny test. No bo co innego? Teraz nie mam już nic przeciwko byciu wykorzystaną w ich małym teście. Jeśli znajdziemy się wystarczająco blisko zespołu Beta, będziemy mogli powstrzymać ich, zanim ktoś ucierpi. Staram się nie pokazywać po sobie oczekiwania i chęci zrzucenia fałszywej fasady i podjęcia walki.

Conlin wyciąga strzykawkę z szuflady biurka. Jest wypełniona płynem w kolorze lemoniady. Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak na widok igły - to moja pierwsza myśl. Potem zaczynam się zastanawiać, C2y to prawdziwy zastrzyk, czy tylko na taki wygląda. To może być pierwszy krok do zmienienia nas. Do sprawienia, że stanę się taka jak Grace. Możliwe, że Conlin ani przez chwilę nie uwierzyła w moje małe przedstawienie.

- To skomplikowane - tłumaczy. - Porozmawiamy o tym rano. Teraz muszę podać ci zastrzyk.

- Do czego służy?

Z tego, co wiem, równie dobrze może pozbawić mnie przytomności na długie godziny. Na czas wystarczający, żebym obudziła się z tatuażem na szyi. Mimo wszystko muszę zaryzykować, jeśli dalej chcę ciągnąć tę szopkę.

- Środek zapobiegający odrzuceniu substancji, której używamy.

- W porządku.

Conlin obchodzi biurko, dezynfekuje moje ramię, a potem wbija w nie igłę. Czuję ukłucie i nacisk ciśnienia, gdy wtłacza płyn w żyłę. Czekam, aż zemdleję, ale nic takiego nie następuje. Conlin wyciąga bawełniany gazik z kieszeni kitla i każe mi go przytrzymać na miejscu nakłucia.

- Gotowe - mówi. - A teraz pójdziesz korytarzem. Ostatnie drzwi po prawej. Zobaczymy się za kilka godzin, gdy wzejdzie słońce.

- Wstaję i podchodzę do drzwi. Nie czuję żadnej różnicy. Tylko te same, dające o sobie znać, codzienne zmartwienia grożące ujawnieniem prawdy przed Conlin. Mirando? - odzywa się kobieta zza moich pleców.

Odwracam się.

- Tak?

Siedzi na krawędzi swojego biurka, trzymając pustą strzykawkę.

- Pamiętasz swoje nazwisko?

- North - mówię.

Uśmiecha się.

- Świetnie. Dobranoc, Mirando.

Idę długim, białym korytarzem. Powoli. Nieco wytracona z równowagi. Świeżo upieczona osoba z amnezją nie szłaby teraz tak pewnie, mając jasno wyznaczony cel. Po obu stronach znajdują się drzwi. Pokusa sprawdzenia, co się za nimi kryje, jest silna, ale idę dalej. Słyszę, jak Conlin opuszcza swój gabinet i znów otwiera drzwi celi, wywołując następną osobę. Nie odwracam się w obawie, że zdradzi mnie coś w mojej twarzy.

Otwieram ostatnie drzwi po prawej, spodziewając się, że zobaczę za nimi Grace i Tobiasa lub alternatywną wersję Noaha i Olive. Nie mam pojęcia, w jaki dokładnie sposób moi Noah i Olive zostali pojmani ani

jak Noahowi udało się ukryć fiołki w ustach. Kto wie kiedy znowu zostaniemy sami, z dala od wścibskich oczu i uszu, które obserwują każdy ruch. Nie zaryzykują, będą nam siedzieli na karkach, dopóki się nie uwolnimy.

Zamiast Tobiasa i Grace widzę pokój identyczny jak ten, który nazywałam domem. Po obu stronach stoją piętrowe łóżka, na środku stół. Zamiast szachów leży na nim plansza do gry, ale kamienie są tylko do warcabów. Pod ścianą stoi lodówka i komody. Jeśli są tu jakieś kamery, to dobrze je ukryto.

Stoję pośrodku pokoju, czując się jak obca osoba. Sytuacja idealna - jeśli ktoś mnie teraz obserwuje, pomyśli, że nie wiem, które łóżko należy do mnie. Na łóżku niżej leży para bokserek, więc to odpada. Dolne łóżko po prawej to łóżko, które zajmowałam w domu. Zrzucam buty i padam na nie jak długa.

Obserwuję drzwi, spodziewając się, że za chwilę wpadnie Grace i zacznie wrzeszczeć, że zajęłam jej łóżko. Przechodzi mi przez głowę, że nie mam pojęcia, gdzie są teraz inne klony. Być może mnie obserwują. Ta myśl sprawia, że dostaję gęziej skórki. Zamiast tego skupiam się na swoim zespole, wspominając mowę Conlin.

Oblizuję usta, przypominając sobie, jak całowałam Petera i Noaha w celi. I co wtedy czułam. Prawda jest taka, że nie mam czasu analizować swoich odczuć do chwili, aż uciekniemy. Nie zapobiegliśmy jeszcze testowi.

Niestety, te fakty nie powstrzymują mnie od próby zrozumienia, dlaczego Noah i Peter patrzyli na mnie w ten sposób.

Związuje włosy, przetaczam się po łóżku i ściskam poduszkę tak mocno, że bolą mnie palce. Pocałunek

Noaha. Pocałunek Petera. Nie powinnam o tym myśleć, kiedy jesteśmy wśród wrogów.

Skup się, Mirando North.

Oddycham głęboko, wyciszając umysł. W chwili kiedy już zaczynam się odprężyć, Noah otwiera drzwi. Staje, ogarniając spojrzeniem pokój, tak jak ja wcześniej.

- Ale super - mówi. - Które łóżko jest moje? Nie wiem. Może to - odpowiadam, wskazując na górne łóżko po przeciwnej stronie. Peter miał miejsce na dole, a ja domyślałam się, że niektóre rzeczy zostaną po staremu.

Noah mija mnie i podchodzi do komód. Zaczyna grzebać w szufladach.

- Hej, zobacz - mówi.

Staczam się z łóżka i staję za jego plecami. Podaje mi kilka zdjęć. Na pierwszym widać Grace grającą w koszykówkę jeden na jednego z Tobiasem, próbującą oddać rzut ponad jego wysoką sylwetką. Śmieję się nerwowo.

- Wygląda na to, że lubię koszykówkę.

- Chyba tak - mówi Noah.

Na kolejnym zdjęciu widać drugiego Noaha całującego w usta drugą Olive. Wyglądają jak normalny Noah i Olive poza tym, że włosy Noaha są nieco dłuższe i nie wiją się na czubku głowy.

- Wygląda na to, że masz dziewczynę.

Noah wyrywa mi zdjęcie i wpatruje się w nie.

- Coś takiego.

Nie jestem w stanie powiedzieć, czy udaje, czy ten drugi Noah rzeczywiście jest związany z drugą Olive.

Na następnym zdjęciu widać cały zespół Beta stojący w jednym rzędzie, obejmujący się ramionami.

- Więc jesteśmy przyjaciółmi - mówi Noah. Podaje mi zdjęcie.

Obca pamięć

- Na to wygląda.

- Świetnie. Uśmiechamy się. To dobrze. - Chichocze i odwraca się, idąc w stronę swojego łóżka. - A już zaczynałem się czuć jak więzień.

Chwilę później wchodzi Peter, a za mm Olive. Jestem zszokowana, jak wszyscy świetnie odgrywają swoje role, zwłaszcza Olive, która siada na swoim łóżku z wyrazem kompletnego zagubienia na twarzy. Nie jestem w stanie jej w tym dorównać. Co chwila przenosi spojrzenie na kogoś z nas.

Noah przewiesza ramię przez krawędź łóżka.

- Co teraz robimy?

Peter wzrusza ramionami.

- Nie wiem. A co robimy każdego wieczora?

Noah wskazuje na planszę do gry na stole.

- Ktoś tu lubi warcaby. Macie ochotę zagrać?

- Może powiemy sobie, jak się nazywamy? - proponuję. - Jestem Miranda North.

Noah chichocze.

- A ja Noah East. I co ty na to?

Peter marszczy nos.

- Peter West. Nazwiska jak strony świata? Współrzędne? To nie może być przypadek.

Chłopcy patrzą na Olive siedzącą na górnym łóżku.

- Jestem... Olive South.

- Może to jakieś kody - mówi Peter. - Może to wcale nie są nasze prawdziwe nazwiska. Doktor Conlin powiedziała, że to specjalny ośrodek. Wszystko jedno - dodaje Noah. - To zbyt wiele, jak na jeden dzień.

- Zgadza się. Idę spać - mówię. Conlin wspomniała o tym, że do świtu zostało kilka godzin. - Już prawie rano, a my musimy jutro wziąć udział w tym eksperymencie. - Mówienie o masowej panice jako

eksperymentem sprawia, że robi mi się niedobrze! Zdejmuję wierzchnie ubranie. Mam na sobie jedynie kombinezon albo, jak to wyraziła się Conlin, „zestaw pierwszej pomocy”. - A tak na marginesie, miło było znów was poznać.

- Nikomu z was nie wydaje się, że jest coś dziwnego w tej sytuacji? - pyta Olive. - Że obudziliśmy się razem w tym mikroskopijnym pomieszczeniu?

Z początku myślę, że się zagalopowała, ale później uświadamiam sobie, że udaje lepiej od nas wszystkich. To przez niewielką bruzdę między jej brwiami. Sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć płaczem.

Noah stuka palcami w zbroję.

- Owszem, coś jest nie tak. Spójrz tylko, co mam na sobie.

Olive milczy. Podkula nogi pod siebie i zakrywa twarz.

- W porządku? - dopytuje się Peter. - Doktor powiedziała, że jutro odzyskamy swoje wspomnienia.

Olive kiwa twierdząco głową, zasłaniając się rękami.

- Tak, tylko potrzebuję chwili, żeby do siebie dojść.

- Powinniśmy pójść spać - mówię.

Olive nagle kładzie się na łóżku i odwraca do nas plecami. Przez chwilę wydaje mi się, że jest wściekła, bo pocałowałam Noaha. Ale nie, dalej myśli racjonalnie. Zdaje sobie sprawę, że to był jedyny sposób na przekazanie fiolki.

- Racja - dodaje Peter. - Idziemy spać. - On również zdejmuje ubranie, ale ani słowem nie wspomina o zbroi. Wygląda na to, że wszyscy otrzymaliśmy to samo wytłumaczenie.

Noah rzuca mi wymowne spojrzenie, którym zdaje się pytać, czy z Olive jest wszystko w porządku, ale nie chcę ryzykować udzielenia odpowiedzi, więc udaję, że wcale tego nie widziałam. Kładę się na łóżku i naciągam kołdrę pod samą szyję.

Peter odwraca się twarzą do mnie na łóżku naprzeciwko. Przez następne dwadzieścia minut wpatruję się w jego otwarte oczy w ciemnościach. Gdy na niego patrzę, pozwalam, żeby dostrzegł w moim spojrzeniu cząstkę mnie - prawdziwej mnie, a nie dziewczyny udającej amnezję. On robi to samo, ale to nie wystarczy. Noah już chrapie. Nie słyszę Olive. Cisza i czekanie dobijają mnie. Nie mogę po prostu leżeć beczynnie.

Kilka minut później udaję, że się budzę. Bezgłośnie stawiam stopy na podłodze, a potem idę do łazienki. Wmawiam sobie, że to po to, by pobyć trochę w samotności, żeby napić się wody, rozruszać mięśnie, ale tak naprawdę wiem, że Peter pójdzie za mną. Rozmawiając z nim, podejmuję głupie ryzyko, ale nie mogę się powstrzymać.

Być może nazwie mnie lekkomyślną. Możliwe, że wcale nie zdoła mnie pocieszyć. Nie powinnam tego chcieć, o ile jestem równie silna co oni. Przecież powinnam być.

Pod ścianą stoi rząd toalet. Wchodzę do ostatniej kabiny tuż przed prysznicami. Mija kilka minut. W przytłumionym świetle ledwie widzę wodę w toalecie. Jest tak cicho, że słyszę własny puls. Kiedy się odwracam, Peter jest w kabinie razem ze mną.

- Co ty wyprawiasz? - pytam. - Pewnie widzieli, jak tu wchodzisz. - A mimo to sama przyszłam tutaj ze świadomością, że on pójdzie za mną.

- Mam to gdzieś.

Wpatrujemy się w siebie. Wyciągam dłoń w ciemności i kładę ją na jego ramieniu.

- Jestem przerażona, Peter. Boję się, że nie damy rady ich powstrzymać.

Nie próbuje mnie pocieszać. Zamiast tego przyciąga mnie do siebie. Kładę głowę na jego piersi i obejmuję go ramionami, a on opiera brodę na czubku mojej głowy. Trzyma mnie tak przez jakiś czas.

- Co, jeśli zawiedziemy? - pytam.

- Nie zawiedziemy. - Głos wibruje mu w piersi. Odchylam się na tyle, by móc spojrzeć mu w twarz, ale ramiona nadal mnie obejmują, przyciskając do siebie dolne części naszych ciał.

To może być ostatni moment, kiedy mogę z nim swobodnie porozmawiać. I pobyć sam na sam. Kto wie co stanie się jutro i czy w ogóle uda nam się wyjść z tego w jednym kawałku. Nie wiemy nawet, kto jest naszym prawdziwym wrogiem.

- Mirando - mówi Peter, ale całuję go, zanim udaje mu się wypowiedzieć ostatnią sylabę. Jego usta otwierają się pod wpływem mojego pocałunku. To, co powiedziałam o delikatnych pocałunkach, teraz wygląda zupełnie inaczej.

Peter wsuwa dłoń w moje włosy, by przyciągnąć mnie bliżej. Drugą przyciska do moich pleców. Obejmuję go ramionami za szyję. Odsuwam się na sekundę, by zaczerpnąć tchu, a potem znów czuję jego usta na swoich. Jego palce odnajdują szew w kombinezonie, który otwiera się na całej długości mojego kręgosłupa. Peter odrywa usta od moich warg i zaczyna całować mnie po szczęce, zmierzając do wrażliwego zagłębienia pod moją brodą. Odsuwa fragment kombinezonu, obnażając mój lewy obojczyk. Całuje mnie, docierając do ramienia. Każdy centymetr mojej skóry płonie, zupełnie jakbym połknęła żarzący się węgiel.

Peter wraca do moich ust i tym razem składa na nich czuły, tęskny pocałunek.

Przetacza się przeze mnie fala niemal fizycznego poczucia winy. Robię krok w tył. To poczucie winy z powodu No- aha. Co jest kompletnym absurdem. Całowaliśmy się w rzece z konieczności. To wcale nie znaczy, że jestem mu coś winna.

Peter patrzy mi prosto w oczy.

- Nadal go kochasz.

- Nie - szepczę.

- Tak, kochasz. Widzę to.

- Nie, Peter. Jak miałabym go kochać? Nie umiem mu nawet wybaczyć.

- Owszem, umiesz. To się dzieje na moich oczach.

Kładę dłonie na jego ramionach, a potem obejmuję go.

- Peter, ja niczego nie pamiętam. Cokolwiek między nami było, odeszło. - Wypowiedzenie tych słów nie sprawia, że są prawdziwe. Może nie odeszło, ale się zmieniło. Czy zmieniło się wystarczająco dla Petera... czy już zawsze będzie nas dzieliło?

Daje mi chwilę, żebym to zrozumiała.

- Zobaczymy. Tycast stwierdził, że to mało prawdopodobne, że wszystko zapomnisz, bez względu na to, jak długo będziesz obywać się bez zastrzyków. Jeśli upłynie wystarczająco dużo czasu, ta część ciebie, która nadal go kocha, może powrócić.

Znów chcę zaprzeczyć, ale nie potrafię. Pomimo wściekłości na Noaha, jaką czuję, jest coś w moim wnętrzu, co reaguje na jego widok. Zupełnie jak podczas oglądania starej fotografii i przypominania sobie związanych z nią zapachów i dźwięków, nawet jeśli uwieczniona na niej chwila jest nieco niewyraźna.

Może dlatego Peter powiedział „nie”, kiedy zapytałam go o ewentualny powrót moich wspomnień. Dlate-

go że nie chce, żebym pamiętała, co czułam do Noaha. Stwierdził, że me chce robić mi próżnych nadziei, ale mogło chodzić o coś więcej. A może po prostu robię z igły widły?

Serce Petera bije szybko pod moimi dłońmi.

- Czy kiedykolwiek... było coś... między nami? - pytam.

Kręci głową.

- Tylko z mojej strony. Od zawsze należałaś do Noaha.

- Wcale tego nie chcę.

Peter nie komentuje tego ani słowem.

Przysuwam się do mego, a on przyciska usta do mojego czoła.

- Nie pozwól, żeby to cię wytrąciło z równowagi - mówi. - Musisz być jutro gotowa.

- Będę.

- Nie powinienem tu przychodzić.

- Nie, Peter...

- Co?

Nie jestem w stanie wymyślić sensownej odpowiedzi.

- Powinniśmy iść spać - mówi.

- Wiem.

I już go nie ma. Pusta przestrzeń wokół mnie nadal pachnie Peterem. Nadal czuję dotyk jego ust.

Siadam na desce klozetowej i próbuję sobie wyobrazić dziewczynę, którą byłam jeszcze parę dni temu.

Doktor Conlin budzi nas kilka godzin później. Odpływałam i budziłam się co jakiś czas, śniąc o ustach Noaha pod wodą. O dłoniach Petera błędzących po mojej nagiej skórze. O mieście w ogniu - płonącym, spanikowanym, obracającym się w gruzy. Umierającym. Część mnie jest zawstydzona tym, że pozwalałam

się rozpraszać. Utrata pamięci czy nie, wiem, że zostałam lepiej wytrenowana.

Conlin każe nam usiąść przy stole, podczas gdy mruganiem odpędzamy sen z powiek. Pozostali wyglądają okropnie, jakby spędzili noc nie na spaniu, a na boksowaniu. Olive nie wygląda lepiej od Petera i Noaha. Sprawia jedynie wrażenie smutniejszej.

Nie jestem pewna, jak długo będę w stanie udawać. Drażni mnie to, jak robaki pod skórą. Nie możemy wykonać następnego ruchu, dopóki nie wydamy się z tego budynku i nie poznamy miejsca przebywania zespołu Beta.

Conlin wsuwa okulary na nos.

- Chcę przeprowadzić mały test, zanim przystąpimy do eksperymentu. Możliwe, że uda nam się przywrócić wasze wspomnienia. Wiem, że jesteście tym bardzo podekscytowani, ale na razie musimy się skupić.

Chcę spiorunować ją wzrokiem, gdy mówi o próbnym teście jak o eksperymencie, ale zachowuję obojętny wyraz twarzy. Obrazy przyszłych koszmarów znów pojawiają się w mojej głowie, stanowiąc tło dla powściągliwej pozy i twarzy Conlin. Ludzie za jej plecami biegają, krzyczą i umierają. Elementy biorące udział w jej teście ustawiają się na miejscu, ale my utknęliśmy tutaj, całkiem bezradni. Czekamy. Zmrużeniem powiek odpędzam obrazy.

- Przydałoby się trochę kawy - sugeruje Noah.

Conlin uśmiecha się do niego uprzejmie.

- Śniadanie jest już w drodze. Ale najpierw chcę, żebyście skupili się na przestrzeni za waszymi oczami, tuż za nimi. Potraficie to?

Ledwie udaje mi się powstrzymać od okazania niepokoju. Conlin nie nosi opaski ani hełmu. To oznacza, że wyrobiła sobie tolerancję na nasze oddziaływa-

nie, tak jak Tycast. Peter i Noah przywdziewają obojętny wyraz twarzy. Olive marszczy brwi.

- Skupcie się na tym obszarze - mówi Conlin - i wyobraźcie sobie, że się odpręża. Potem wyobraźcie sobie, jak się podgrzewa i rozprzestrzenia. Dacie radę? Pozwólcie mu rozciągnąć się dalej, aż na pokój. Może was od tego rozboleć głowa, ale zapewniam, że to zupełnie normalne.

Robię, co mówi. Fale narastają. Powraca znajomy ból, który zmniejsza się, a potem przeszywa moją czaszkę, rozszerzając się. Momentalnie pojawia się zapach róż. Conlin uśmiecha się z rezerwą - widać, że czuje się nieswojo. Najwidoczniej muszą się upewnić, że jesteśmy w stanie wytworzyć falę strachu, zanim wyślą nas w teren.

Olive przyciska palce do skroni.

- Co to jest? Boli.

- Wystarczy - mówi Conlin. - Możecie już przestać. - Mruga parę razy i oblizuje usta. - Bardzo dobrze. W porządku. A teraz weźcie prysznic i zjedzcie śniadanie. Potem przystąpimy do eksperymentu.

- Doktor Conlin? - odzywa się Noah.

- Tak?

- Co to, do cholery, miało być? Dlaczego pachnie... kwiatami ?

Conlin zerka do notatnika.

- Wykazaliście się wielką cierpliwością. Rozumiem, że był to dla was kłopotliwy czas. Proszę was o jeszcze odrobinę cierpliwości. Postaracie się?

Conlin musi kontrolować nas jedynie przez jeden dzień. Po tym jak zademonstruje nasze umiejętności kupcom, może nas zamknąć do czasu, aż tatuaże będą gotowe. Potem staniemy się identyczni jak zespół Beta. Będziemy gotowi do sprzedania. Do wykorzystania w jakiś nikczemny sposób.

Znajdziemy się pod pełną kontrolą.

- Jasne, doktor Conlin - mówi Noah.

Na usta kobiety wypływa szeroki uśmiech.

- Świetnie. Eksperyment będzie polegał dokładnie na tym samym. Myślcie o nim jak o działaniu zakrojonym na szeroką

Pyta, jak się czujemy. Na zewnątrz czujemy się jak z kamienia, ale w środku...

- W porządku - mówi Peter.

- Świetnie. Gotowi?

- Ja tak - odzywa się Noah. Smutek w jego oczach rani mnie do żywego.

Wstajemy jak jeden mąż, a Conlin wyprowadza nas z pokoju.

Kobieta prowadzi nas korytarzem do windy. Mijamy celę, ale nikt z nas nie zagląda do środka. Drzwi windy rozsuwają się, widać za nimi parking. W światłach jarzeniówek czekają dwie furgonetki. Ich tylne drzwi są otwarte.

Conlin wskazuje na pojazd po lewej stronie.

- Miranda i Noah wsiadą do tego. - Wskazuje na prawo. - Peter i Olive do drugiego.

Wchodzę do środka, machając Peterowi i Olive na pożegnanie i składając w duchu milczącą

obietnicę, że zobaczą się z nimi, zanim ten dzień dobiegnie końca.

Conlin zatrząskuje drzwiami, a Noah uśmiecha się do mnie w pograżonej w półmroku przestrzeni ładowniczej.

- Hej, Mir.

- Witaj, Noah.

To wszystko, co mówimy. Furgonetka rusza. Noah zamyka oczy, a ja po chwili robię to samo, pograżając się w milczeniu. To może być ostatnia chwila spokoju w moim życiu.

Mija trochę czasu. Furgonetka zatrzymuje się, a ja wracam do rzeczywistości, czując się jak uzbrojona bomba. Nie mamy żadnej broni, ale wcale jej nie potrzebujemy. Noah wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co. Cokolwiek się stanie... - zaczyna.

- Daj spokój. Powiesz mi później.

Marszczy brwi, ale po sekundzie uśmiecha się, tak jak przewidywałam. Tylne drzwi otwierają się, a jasne światło dnia kłuje mnie w oczy. Znajdujemy się gdzieś w mieście -zawsza otaczają nas budynki i ludzie. Dwójka mężczyzn w zwykłych ubraniach machnięciem ręki wywołuje Noaha z furgonetki. Zamykają drzwi, pozostawiając mnie w ciemności. Chwilę później jedziemy do miejsca, w którym mam być.

Nie znajduje się daleko. Próbuję wyobrazić sobie, jak nas rozmieścili, ale nie mam się na czym oprzeć. Znowu oddaję się medytacji, rozwiązując nagromadzone wątpliwości i zmartwienia.

Pojazd powtórnie się zatrzymuje. Procedura jest taka sama. Dwójka mężczyzn stoi na tyłach.

- Chodź - mówi jeden. Sprawiają wrażenie całkiem przyjaznych i nijakich. Wychodzę na dach parkingu w samym centrum Cleveland, kilka stóp od bariery. Otaczają mnie strzeliste budynki, odbijając odgłosy ruchu drogowego z ulic poniżej. Daleko na wschodzie widać Key Tower. Jest jeszcze dość wcześnie, prawdopodobnie dochodzi dziewiąta.

- Co my tu właściwie robimy? - pytam.

Jeden z mężczyzn wyciąga rękę do powitania.

- Hej, jestem Bill. Doktor Conlin chce, żebyś tutaj wzięła udział w eksperymencie. My mamy zaraportować wyniki, a potem zabrać cię do domu.

Mężczyzna, który nie jest Billem, ma pistolet pod kurtką. Nie próbuje się z tym kryć.

- Mamy wrócić do furgonetki, żebyś miała trochę prywatności - ciągnie dalej Bill. Zerka na zegarek.
- Gotowa? - pyta.

- Tak, a ty? - mówię, a potem emituję najmniejszą lalę strachu, jaką jestem w stanie wygenerować. Całkiem nieźle mi idzie.

Efekt jest natychmiastowy. Bill i ten drugi momentalnie Sztywnieją, otwierając szeroko oczy. Kopię Billa w klatkę piersiową, a on zatacza się do tyłu, mówiąc rękami powietrze. Uderza nogami w barierkę i przelatuje ponad nią. Dwie sekundy później uderza w ziemię, wydając z siebie ten sam odgłos, co ciała w galerii handlowej. Tym razem to nie jest aż tak okropne. Nie doświadczam praktycznie niczego prócz poczucia wolności. W końcu, po wlokących się w nieskończoność godzinach udawania bezradności, mogę zacząć działać. Czuję się, jakby urosły mi skrzydła.

Drugi mężczyzna sięgnął po broń, ale strach spowolnił go zbyt mocno, żebym się tym przejęła. Chwytam lufę, gdy ją unosi, a potem przesuwam prawą dłoń pod jego rękę, by wybić mu nadgarstek. Kości wyginają się, a potem pękają, z jego ust wyrывa się skrzek. Wyrывam mu pistolet i ciskam nim do tyłu. Próbuje uderzyć mnie drugą dłonią, ale robię unik i wymierzam mu kopniaka w wewnętrzną stronę kolana. Wali się na ziemię z jękiem, chwytając za nogę obiema rękami.

Staję nad nim.

- Gdzie są pozostali?

Pluje na moje buty. Kopię go w brzuch, głównie po to, by pozbyć się śliny.

- Gdzie oni są? Nie będę pytać ponownie.

Kłękam obok niego i przetrząsam kieszenie jego kurtki. Znajduję złożony kawałek papieru. To mapa śródmieścia z oznaczeniami w różnych miejscach - są

nimi Peter, Noah, Grace, Tobias, Miranda, Olive, Joshua i Nicole. Domyślałam się, że Joshua jest sobowtórem Noaha, a Nicole - Olive. Przy imionach są strzałki wskazujące na konkretne miejsca na mapie. Patrzę tam, gdzie oznaczono moją pozycję, a potem widzę imię Grace zapisane trzy ulice dalej na południe i jedną na wschód. Chowam kartkę do kieszeni.

Mężczyzna kuli się.

- Nie zabijaj mnie, proszę.

Już mam odpowiedzieć, gdy wyczuwam ten zapach - różę. Najbliższa Róża znajduje się kilka przecznic dalej, a mimo to jej energia jest tak silna, że wpływa na mój węch. Test już się zaczął. Zostawiam mężczyznę na dachu i wskakuję za kierownicę furgonetki. Uruchamiam silnik i zjeżdżam w dół po rampie. Tylne drzwi uderzają o siebie, bo zapomniałam je zamknąć. To bez znaczenia. Grace jest blisko. Wypadam na ulicę i skręcam w lewo przy akompaniamencie ryku klaksonów i pisku opon pozostałych samochodów. Ludzie stoją nieruchomo na chodnikach, zdezorientowani. Mam nadzieję, że ominie ich fala uderzeniowa, skoro stworzyłam lukę w ośmioboku fal strachu.

Przed oczami migają mi twarze ludzi, którzy zwyczajnie starają się żyć swoim życiem. Nie mają pojęcia, co zagraża ich umysłom. Zaciskam mocniej ręce na kierownicy.

Radiowóz pruje przez skrzyżowanie przede mną. Za nim jedzie następny. Zwalniam, choć mam zielone światło, a potem przejeżdżam, gdy zapach róż przybiera na sile. Skręcam w lewo, jadąc za policjantami. Z prawej znajduje się zarośnięty chwastami parking z popękkanymi płytami oraz ceglany budynek popadający w ruinę, podobny do tego w pobliżu pomostu, tylko mający zaledwie trzy piętra. Ma powybijane okna i wyblakły szyld, którego nie jestem nawet w stanie od-

czytać. Zatrzymuję się po północnej stronie parkingu. Resory furgonetki bujają się na nierównym chodniku.

Grace opiera się o brudną ceglana ścianę. Skrzyżowanie przed nią jest puste, nie licząc dwóch porzuconych samochodów z nadal otwartymi drzwiami. Kierowcy musieli zatem uciec na piechotę. Po drugiej stronie ulicy bezdomny mężczyzna czepia się muru. Kolekcja aluminiowych puszek wypadła mu z rozrwanej torby na ulicę i wala się u jego stóp. Nie potrafi wymyślić sposobu na obejście budynku.

Grace macha do mnie ręką. Wciskam gaz do dechy ze świadomością, że to idiotyczny pomysł, ale czuję, że muszę skierować moją wściekłość na jakiś obiekt fizyczny. Furgonetka pruje naprzód, wycelowana prosto w Grace, która wybucha śmiechem i odkleja się od ściany. Jej postać jest coraz bliżej. Przypada do ziemi. W ostatnim momencie skacze w górę, znikając ponad pojazdem, gdy wjeżdżam w północny róg budynku i odwalam kawał na wpół pokruszonych cegieł. Furgonetka kołysze się na boki, a ja uderzam głową w szybę po stronie kierowcy. Obluzowane cegły wystrzeliwiają na ulicę, tocząc się po chodniku. Słyszę ciche tąpnięcie, gdy Grace ląduje na dachu pojazdu.

Otwieram drzwi, a ona już przy nich jest. Chwyta mnie za przód koszuli i wyciąga ze środka - jestem zbyt oszołomiona, by ją powstrzymać. Ciągnięcie zmienia się w rzut. Staram się ułożyć w powietrzu, ale ląduje na boku i ślizgam się w stronę skrzyżowania.

Możliwe, że zabrałam się do tego w zły sposób.

Moje kończyny przeszywa ból. Próba podniesienia kończy się tym, że zginam się wpół z dłońmi wspartymi o kolana. Krew szumi w głowie. Jeśli właśnie nabawiłam się wstrząsu mózgu z powodu własnej głupoty...

Kawałek dalej tuzin aut wpada w karambol. Tłum ludzi zalewa ulicę, krzycząc. Tyle osób przerażonych czymś, czego nie widzą, o czym nie mają pojęcia... Nigdy się nie dowiem, jak to jest być uwięzioną w tej pułapce, czuć to, co oni czują. Nie mogę im pomóc, bo moja potyczka rozgrywa się tu i teraz, z Grace. Mogę mieć jedynie nadzieję, że zdołają się uwolnić, zanim strach wpędzi ich wszystkich w obłęd.

Grace stoi rozluźniona ze zwieszonymi rękami, czekając na mnie. Nawet kiedy całe miasto próbuje zwrócić na siebie uwagę, zimny dreszcz przeszywa mnie na widok jej twarzy, mojej twarzy.

- Powiedziałam doktor Conlin, że udajecie. Stwierdziłam, że nie mamy pewności, kiedy wzięliście ostatecznie zastrzyki. Jak wam się to udało?

Ignoruję ją, ściągając koszulę przez głowę i odsłaniając czarną, łuskowaną zbroję. Nie muszę już dłużej ukrywać się pod ubraniami, a poza tym nie chcę, żeby miała mnie za co złapać. Drobne łuski migoczą w słońcu. Odpinam spodnie i pozwalam im opaść na ziemię. W dole ulicy, na północ ode mnie, jadą dwie karetki na sygnale. Jedna z nich zahacza o słup telefoniczny i unosi się na dwóch kołach. Nad naszymi głowami przelatuje helikopter, pozostawiając nas we względnej ciszy.

- Nie powiesz mi? - pyta Grace.

- Noah - mówię, rzucając na bok buty i spodnie.

- Miał fiolki w ustach. Dotarł do zapasów, zanim zdołaliście go dopaść.

Rozciągliwa zbroja okrywa mi stopy. Jest wystarczająco cienka, bym mogła poczuć, jak drży chodnik, gdy w dali rozlega się eksplozja. Za moimi plecami wybucha kula ognia i rozwiewa się w kłęby czarnego dymu.

- Jest uroczy - mówi Grace. - O wiele lepszy od Joshui. Rozumiem, dlaczego tak go lubisz.

Żałuję, że nie mam ze sobą broni. Czegokolwiek. To, że Grace wygląda jak ja, nie znaczy,

że nie jest lepsza, silniejsza i szybsza. Walka z nią może być samobójstwem. Fakt, że zapomniałam zabrać broni z dachu garażu, jest czymś, z czego któregoś dnia chcę mieć możliwość się śmiać.

Grace odstepuje krok w tył, opierając się ramionami o furgonetkę.

- Muszę z tobą walczyć - mówię.

Sprawia wrażenie nieco smutnej, jakby nie miała innego wyboru. I chyba faktycznie nie ma.

- Wiem - odpowiada.

Biegnę w jej stronę, gdy przyjmuje najprostszą pozycję, z odpowiednio rozstawionymi nogami i uniesionymi dłońmi.

Na sekundę przed tym, jak się zderzamy, wyciąga rękę, chwyta krawędź dachu furgonetki, podkurczając nogi, i opada na czworaka na dach. Z rozpędu wbijam nogę w bok pojazdu i skaczę zupełnie pionowo. Kopię w powietrzu, ale udaje jej się zablokować moją nogę obiema rękami skrzyżowanymi na kształt litery X. Dotykam stopami dachu. Noga nadal mrowi mnie od jej bloku. Metal ugina się, pęka i załamuje pod naszym ciężarem.

Po ulicy obok nas toczy się pusty radiowóz z otwartymi drzwiami. Mrugają światła, ale nie słychać wycia syren.

Kopię Grace jeszcze raz, gdy radiowóz zatrzymuje się na słupie telefonicznym. Tym razem Grace blokuje mój cios i chwyta mnie za nogę, a potem unosi nad ziemię, zrzucając mnie z furgonetki w stronę drugiego piętra budynku.

Niedobrze. W ciągu minuty udało jej się rzucić mną po raz drugi, tym razem na ceglana ścianę. Przygotowuję się na najgorsze, z całych sił zaciskając oczy przed zbliżającym się uderzeniem...

Uderzam prosto w jedno z wybitych okien, przelatując przez sterczące odłamki szkła. Kombinezon ochrania moje ciało, ale szkło rozcina mi twarz i szyję. Walę ramieniem w drewno i ślizgam się po zakurzonej podłodze. Ostatnio przydarza mi się to coraz częściej. Zrywam się na równe nogi akurat w porę, żeby dostać cios w pierś.

Potykam się do momentu, w którym natrafiam piętami na pierwszy stopień schodów. Całe to miejsce jest zakurzone i mroczne, kilka ocalałych okien jest zbyt brudnych, by wpuścić do środka wystarczająco dużo światła.

Powybijane okna rzucają ciemne, żółte plamy na podłogę, podświetlając ogromne kłęby kurzu, które wirują, gdy przedzieramy się przez nie. Grace krzyczy, próbuje walnąć mnie łokciem w twarz, ale wbijam stopę w jej klatkę piersiową. Odpycham ją i koziółkuje, przetaczam się na brzuch, a potem zrywam i uciekam, wspinając się po schodach.

Następne piętro jest ciemniejsze. Pod ścianą stoją stare biurka z ustawionymi na nich szafkami na akta. Biegnę przed siebie. Rozcięcia na mojej twarzy krwawią, ale to dobry ból. Nie upośledza tak, jak otępienie po urazie psychicznym.

- Nie wygrasz! - krzyczy za mną Grace. - Miasto przepadło. Pozwól nam cię wytatuować, a wcale się tym nie przejmiesz!

Przedostaję się do ostatniego rzędu schodów. Grace łapie mnie za nogę i próbuje ściągnąć. Uwalniam się kopniakiem i pełznę przez resztę drogi. Drzwi na

górze są zamknięte, ale zamek zardzewiał jeszcze w poprzednim stuleciu.

Wyważam drzwi kopniakiem. Jaskrawe światło dnia zalewa klatkę schodową, oślepiając mnie na sekundę. Grace uderza mnie którąś częścią swojego ciała prosto w kręgosłup. Upadam na jedno kolano i rzucając się naprzód, z desperacją starając się zwiększyć dzielący nas dystans. Biegnę w stronę krawędzi, ale podkłada mi nogę. Znów ląduję na kolanach, kilka stóp od pustej przestrzeni nad ulicą. Kolejny kopniak. Upadam. Palcami próbuję pochwycić krawędź, ale nawet jeśli uda mi się to zrobić, nie wiem, co dalej. Utknęłam zbyt wysoko, by skoczyć bez ryzyka złamania sobie czegoś.

Przetaczam się na bok w chwili, w której Grace rzuca się na mnie. Nasze twarze dzieli zaledwie kilka cali. Wyciska ze mnie całe powietrze. Próbuję ugodzić ją kolanem, ale skutecznie przygwoździła mnie do ziemi.

Głowę mam ruchomą, więc walę czołem w jej nos. Łamie się. Krew plami moją twarz. Uderza mnie w usta, które pękają. Krew cieknie mi między zębami i po języku. Mimo wszystko udało mi się ją oszołomić. Opieram o nią stopy i unoszę ją, a potem ciskam za siebie, wkładając w to całą siłę, jaka mi pozostała. Jej osłonięte kombinezonem nogi przesłaniają mi słońce. Przetaczam się na brzuch i widzę, jak młóci rękami w powietrzu na wysokości trzech pięter. Przelatuje ponad ulicą i gładko spada w dół. Z całej siły uderza w ziemię bokiem ciała. Jej głowa odskakuje. Leży bez ruchu. Ani drgnie.

Powoli udaje mi się wstać.

Zatrzymuję się na krawędzi, z dłońmi wspartymi na biodrach, dysząc, i jestem zszokowana faktem, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut zepchnęłam z da-

chu dwójkę ludzi. W oddali dwa bojowe myśliwce prze-
latują nisko nad jeziorem Erie i znikają w chmurach.
Nico bliżej, na południe od miejsca, w którym jestem,
wóz strażacki leży na boku na ulicy, strawiony już
do połowy przez ogień. Ironia tej sytuacji przyprawiła-
by mnie o atak śmiechu, gdybym tylko potrafiła się do
niego zmusić.

Ulice w pobliżu mnie są puste. Mieszkańcom uda-
ło się uciec. Gdy spoglądam na wschód, kierując
wzrok ku centrum, widzę biegnące postacie. Wycie sy-
ren zagłusza większość ich wrzasków. Ludzie zdają się
gromadzić, przypominając gigantycznego, obłąkanego
węża przemykającego ulicami.

Wyobrażam sobie mapę - Peter jest na wschodzie,
ale Noah i Joshua są bliżej, na południu.

Grace nie drgnęła ani razu, a ja zmarnowałam już
wystarczająco dużo czasu. Wypluwam krew i przesu-
wam dłoń po pulsujących ustach. W miarę jak daw-
ka adrenaliny we krwi maleje, moje ciało najwidocz-
niej uznaje, że to doskonały moment na zmienienie się
w jeden wielki siniec. Zbiegam po schodach do furgon-
etki i opieram się o nią przez chwilę, zastanawiając
się, w którym kierunku ruszyć. To kwestia tego, kto
najbardziej potrzebuje teraz mojej pomocy. Część wło-
sów przylepiła mi się do zakrwawionej twarzy, więc
zagarniam je ręką i związuję w niedbały kucyk. Połu-
dnie. Pojadę na południe.

- Mirando.

Odwracam się. Przede mną stoi Noah, szczerząc
zęby w uśmiechu. Zewnętrzna warstwa jego ubrania
również zniknęła. Ma na sobie tylko czarną łuskowaną
zbroję połyskującą w słońcu. Zalewa mnie fala ulgi,
chłodząc gotującą się krew. Od czasu naszego powtór-
nego spotkania jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak na
jego widok.

- Noah - mówię i idę w jego stronę. Obejmuje mnie ramionami i ściska. Odwzajemniam uścisk, pozwalając mu podtrzymywać się przez chwilę. - Dzieje się coś okropnego, Noah. Jak mamy to powstrzymać?

- Gdzie jest Grace? Widziałem ją na mapie.

- Nie żyje. - Dotrzymałam złożonego sobie słowa, że zabiję ją, nim to wszystko dobiegnie końca. Gdybym tylko poczuła się po tym lepiej... Już nigdy nie dowiem się, w jak dużej mierze tatuaż wpływał na Grace i na ile pozostała sobą. Podczas walki nie przyszło mi do głowy, żeby spróbować uszkodzić siatkę przewodów w jej szyi. Może mogłabym ją uwolnić, nakłonić, żeby przeszła na naszą stronę. Gdy o tym myślę, wiem, że gdybanie tylko mnie zrani. Zaatakowała mnie z taką zaciekłością i tak szybko, że i tak nie miałam możliwości zniszczenia tatuażu. Nie wspominając już o tym, że nie mam przy sobie żadnej broni.

Wyczuwam coś, co nie znikło wraz z początkiem akcji, ale zapach róż wokół Noaha jest silniejszy.

I w dodatku nasila się.

Noah nie mówi ani słowa. Jego ręka porusza się. Próbuje się wyrwać, ale ściska mnie jak w imadle.

- Noah - mówię. Jest szybki. Staram się oswobodzić, ale on ma już nóż w garści. Widzę błysk srebra, gdy znika za moimi plecami...

Ostrze wbija się w moje plecy.

Oślepiający ból wystrzeliwuje z rany prosto do wnętrza mojej czaszki, gorszy od wszystkiego, czego dotychczas miałam okazję doświadczyć. Z moich ust wyrывa się krzyk. Noah puszcza mnie, a ja zataczam się kilka kroków w tył. Nóż nie przeszedł na wylot. Moja zbroja ledwo została rozcięta. Dotykam palcami miejsca zranienia. Jest pokryte krwią.

- Joshua - syczę, przypominając sobie mapę i jego imię zapisane na niej.

Uśmiecha się do mnie jak wilk z obnażonymi kłami.

- Naprawdę nie żyje? Ty głupia dziwko. Ona naprawdę nie żyje?

Kolana mam jak z waty. Nogi mi się trzęsa, jakby były z galarety. Czuję nóż w swoim ciele, krew pulsująca wokół ostrza. Nie weszło głęboko. Niezbyt głęboko.

- Zrzuciłam ją z dachu - mówię. - Zaraz za rogiem. Idź i sprawdź. - Głos mam słaby. Pozostali mnie potrzebują. Muszę zachować zimną krew. Kombinezon powinien zadziałać jak bandaż, jak wtedy gdy Peter wyciął nadajnik z mojej kostki. No chyba, że nóż za bardzo odsunął od siebie brzegi materiału.

- Nie powinnaś była tego robić. - Jego oczy zachodzą łzami. - Grace wiedziała, że udajecie. Nie uwierzyliśmy jej.

W ustach nadal mam krew od uderzenia Grace, więc spluwam mu nią na buty. Nad naszymi głowami warczy helikopter. Podczas gdy stoję tam i zastanawiam się, czy zobaczę jeszcze Petera, Noaha i Olive, Joshua kontynuuje przelewanie swojej mocy w miasto. Czuję emitowane przez niego fale, gdy przebiegają obok mnie.

Jeśli powstrzymanie go jest ostatnią rzeczą, jaką mogę zrobić, to - no cóż - istnieją znacznie gorsze sposoby na śmierć.

Joshua wyciąga kolejny nóż.

- Wybacz. Nie mam innego wyboru.

Za plecami Joshui majaczy jakaś postać.

Joshua unosi nóż.

- Miło było cię poznać, Mirando.

Postać podchodzi bliżej. Nie patrzę na nią bezpośrednio ze strachu przed zdradzeniem jej obecności. Jednak w tych mniej skupionych krańcach postrzega-

nia widzę Noaha, mojego Noaha, przykładającego palec do ust.

Staram się wyrwać nóż z pleców, decydując się na ryzyko utraty jeszcze większej ilości krwi, lecz kolejna strzała bólu unieruchamia mnie w miej scu. Opuszczam rękę. Krew ścieka mi po nodze, od wewnętrznej strony kombinezonu.

Joshua bez żadnego ostrzeżenia obraca się o sto osiemdziesiąt stopni, okręcając na piętach i przypadając do ziemi. Jego nogi skręcają się jak podwójna helisa. Robi zamach z ostrzem w dłoni. Ale Noah jest gotowy. Odsuwa się na bok, unikając ciosu. Zanim Joshua ponownie zdoła przybrać pozycję i zaatakować, chwyta go za głowę i skręca mu kark. Ani na sekundę me odwracam wzroku.

Trzask pękających kości jest przytłumiony przez krew szumiącą mi w uszach. Joshua osuwa się bezwładnie, całkowicie nieruchomy. Jest martwy, zanim uderza o ziemię. Ja odczuwam jedynie ból.

Noah odwraca się do mnie, dysząc.

- Nic ci nie jest?

Otwieram usta i robię krok naprzód. Ziemia ucieka mi spod stóp albo to ja uciekam jej. Prawdopodobnie to drugie. Noah łapie mnie i kładzie ostrożnie.

Wstrzymuje oddech, a ja domyślam się dlaczego.

- O cholera - mówi. - Dobra, czekaj chwilę.

- Nie jest tak źle, co?

- Nie. Ani trochę. Zaraz to z ciebie wyciągnę, dobrze?

Nie czeka na moją odpowiedź. Wyjmuje nóż, a ja krzyczę, chowając twarz w jego pokrytym łuskami ramieniu. Krzyki przechodzą w zawodzenie. Robi mi się czarno przed oczami. W końcu widzę tylko twarz Noaha, gdy uważnie wpatruje się w moją ranę. Stopniowo ciemność wycofuje się. Na szczęście nie mdleję.

- Nic ci nie będzie - mówi. - Zbroja utrzymuje brzegi rany razem.

Teraz, kiedy noża nie ma, czuję, jak jej materiał znacznie się napiął.

Siadam z plecami wspartymi o słup telefoniczny obok furgonetki. Joshua leży martwy kilka stóp dalej. Dwoje członków zespołu Beta zostało wyeliminowanych. W dodatku Conlin i kupcy, kimkolwiek są, pewnie znajdują się gdzieś w mieście, żeby nas obserwować. Mam wrażenie, jakby od mojej walki z Grace minęła godzina, choć tak naprawdę upłynęło zaledwie kilka minut. Mimo to tracę czas na jakąś powierzchowną ranę, podczas gdy Peter i Olive są gdzieś w mieście, prawdopodobnie sami.

Muszę wstać. Skoro i tak nie wykrwawię się na śmierć, możemy zacząć ich szukać.

- Mirando? - Noah pstryka palcami przed moją twarzą.

- Nic mi nie jest. - To chyba prawda. Ból jakby... ustępuje. Noah kuca przy mnie i obejmuje dłońmi moją twarz.

- Zbroja została naruszona, ale znów się scaliła. Wytrzyma, dopóki nie założę ci paru szwów. Dasz radę wstać?

- Musimy się zbierać - nalegam.

- Wiem, wiem. Spróbuj wstać.

Podpieram się na jego ramieniu, gdy pomaga mi się podnieść. Dostaję zawrotów głowy, które ustępują po chwili. Czuję się nadspodziewanie dobrze.

Noah uśmiecha się.

- No i proszę. Wnętrze zbroi zawiera środki przeciwbólowe. Jeśli jesteś ranna, powodują odrętwienie w tym miejscu. Nieźle, co?

- Bardzo. - Moje plecy rzeczywiście są drętwe i mrowiące. Choć ból został stłumiony, w dalszym ciągu

muszę pamiętać, że mam tam otwartą ranę, która potrzebuje opatrzenia. Noah stoi blisko mnie. Dotykam jego policzka, a on przytrzymuje moją dłoń przy swojej twarzy'. -Dziękuję. Uratowałeś mi życie.

- Gdzie tam, już prawie go miałaś. - Wpatruje się we mnie jeszcze przez chwilę, przekrzywiając nieco głowę.

- O co chodzi? - pytam.

- O nic. Twoje oczy wyglądają nieco inaczej. Dobrze się czujesz?

Doskonale. Wiem, co ma na myśli, ale w tej chwili nie czas się tym martwić. Może są po prostu przekrwione, a on wcale nie ma na myśli czerwonego zabarwienia tęczówek. Pomyślę o tym, gdy Peter i Olive będą bezpieczni. I gdy całe miasto nie będzie zagrożone w chaosie. Wiatr niesie ze sobą przypadkowe krzyki jako okropne przypomnienie.

Noah niechętnie opuszcza moje objęcia i podchodzi do skrzyżowania. Odrzutowce wróciły, przelatując nisko nad taflą jeziora i wprawiając w drżenie szyby w budynkach.

Noah przywołuje mnie machnięciem ręki, a ja odkrywam, że środki przeciwbólowe znieczuliły mnie na tyle, że mogę iść bez utykania. Dołączam do niego i przyglądam się ulicy, na której wszędzie stoją porzucone samochody. Niektóre są puste z pootwieranymi drzwiami. Pozostałe mają rozbite przednie części nadwozia. Za ich kierownicami widać przygarbione sylwetki ludzi. Na jednej z przednich szyb plamy krwi. Pies uwięziony na tylnym siedzeniu obwąchuje pęknięcia na szybie. Furgonetka leży przewrócona na bok, a jej podwozie liżą płomienie. W poprzek ulicy leży obalony słup telefoniczny. Jego druty strzelają iskrami i podrygują jak żywe.

Noah wskazuje ręką na wschód.

- Idąc tam, dotrzemy do Petera. Jest bliżej niż Olive. Najwyższy czas połączyć siły i uciec stąd, zanim włączą do akcji Gwardię Narodową.

- A co z tymi wszystkimi ludźmi?

- Nie mam pojęcia, Mir.

Maruderzy w dalszym ciągu gromadzą się w dole ulicy, między nami a Peterem. Popychają i tratują się nawzajem, odrywając się od głównego tłumu i młócąc rękami w powietrzu tylko po to, by znów wpaść w kołującą się masę. Odłączony od strumienia ludzi mężczyzna siedzi na ziemi, trzymając się za złamaną rękę, trzęsie się jak liść. Ktoś oddaje trzy strzały z brom palnej, co sprawia, że podnosi się wrzask zagłuszający echo wystrzałów.

- Co, jeśli Peter zdążył do tego czasu przenieść się w inne miejsce? - pytam przyciszonym głosem. Z trudem wierzę w to, co widzę.

- Zaryzykujemy. Pośpiesz się.

Biegnie wzdłuż ulicy. Odrywam wzrok od stale powiększającej się masy ludzi, by upewnić się, że Grace i Joshua na pewno są martwi. Są. Potem rzucam się biegiem za Noahem. Pojechałabym furgonetką, ale boję się znowu usiąść.

Zatrzymuję się po kilku krokach.

- Noah!

Przystaje i wyrzuca ręce w górę w geście irytacji.

- Co znowu?

Podbiegam do furgonetki i zabieram mapę z nanieśionymi na nią naszymi imionami. Nie przyjrzałam jej się zbyt uważnie za pierwszym razem. Pognieciony papier leży w obniżeniu panelu podłogi, obok pedału gazu. Otwieram mapę, by znów sprawdzić nasze położenie, a potem widzę coś innego w samym jej środku. Nieoznakowaną gwiazdę wpisaną w koło. Noah stoi obok mnie, dysząc ciężko.

- Pokaż mi swoją mapę - mówię.

- Ja... hmm...

Rumieni się.

- Ty, hmm, co?

- Zapomniałem jej zabrać. Spojrzałem na nią tylko po to, żeby zlokalizować twoje położenie.

Co za idiotyzm. Oznacza to jednak, że to mnie szukał w pierwszej kolejności. Gdyby tego nie zrobił, już bym nie żyła.

Wskazuję na gwiazdę, zapamiętując wygląd mapy.

- Wydaje mi się, że Conlin i jej kupcy są w mieście jako naoczni świadkowie. Właśnie w tym miejscu. Bliżej niż Peter.

Noah wyrywa mi kartkę z ręki.

- To plac miejski. - Składa mapę i chowa ją pod zbroją na szyi.

Podajemy przerwany bieg. Zatrzymuję się tylko po to, by zabrać dwa noże, jakie miał przy sobie Joshua. Rzucam jeden Noahowi. Od razu przywiera do zbroi pokrywającej jego prawą łopatkę.

Noah wyciąga rękę, dotyka go i uśmiecha się.

Razem biegniemy na spotkanie koszmarowi.

Plac miejski zamienił się w istne pandemonium.

Ludzie biegają na oślep, niektórzy grupami. Strach przejął nad nimi całkowitą kontrolę, a z bliska wygląda to jeszcze gorzej. Z ich gardeł wyrywa się niski skowyt. Zwierzęce odgłosy. Zwierzęce twarze. To właśnie szaleństwo, o którym wspominał Tycast.

Twarz jednego mężczyzny jest zalana krwią. Jakaś kobieta odzyskała wystarczająco dużo siły, by rozpylić w tłumie gaz łzawiąco-duszący. Ludzie wyją i drapią się paznokciami po policzkach, odrywając się od tłumu i uciekając w różnych kierunkach. Potykają się o ciała stratowane na ulicy. Wiatr ustał, a powietrze zrobiło się gorące i gęste. Wielu uciekinierów zbiegło

na południe, samochodem lub pieszo, wybierając autostrady wychodzące poza miasto.

Noah i ja idziemy pod prąd napierającej fali ludzi. Szeroko otwarte oczy wpatrują się we mnie. Próbuje się skupić na źródle fali strachu, ale niczego nie czuwam. Zapach róż unosi się w powietrzu, lecz jest subtelny i wygląda na to, że nie pochodzi z żadnego konkretnego miejsca. Możliwe, że tych ludzi dotknęła fala w innej części miasta i po prostu uciekają w tym kierunku.

Jakiś mężczyzna dygocze na parkowej ławce. Wiatrówkę ma rozsuniętą i obejmuje się ramionami w środku kurtki.

- Proszę pana! - wołam. Spogląda na mnie. - Nie może pan tu zostać! Niech pan podąża za tłumem!

Przelyka ślinę i kiwa potakująco głową. Podnosi się i idzie sztywnym krokiem. To dziwne, jak strach na każdego wpływa inaczej. Niektórzy zamierają w bezruchu, niektórzy zrywają się do biegu. Część krzyczy. Jeszcze inni zaczynają się trząść.

Widzę więcej trupów, najpierw trzy, potem sześć. Później dziesięć stratowanych na ulicy ciał, pokrytych krwią, z powykręcanyimi, połamanymi kończynami i w porwanych ubraniach.

Mały chłopiec ze skreconą kostką siedzi na studzienice kanalizacyjnej i płacze. Tracę go w tłumie, a gdy robi się w nim znowu luka, jego już nie ma.

Zanim to do mnie dociera, opadam na kolana przy staruszku rozciągniętym na masce autobusu. Ledwie się rusza, ale oczy ma nadal otwarte.

- Proszę pana! Zaraz sprowadzimy pomoc, tylko proszę zostać w miejscu. Niech pan... -Noah łapie mnie od tyłu i podciąga do góry. - Przestań! Co ty wyprawiasz? - Szarpie się do momentu, w którym moja rana od noża eksploduje świeżą falą bólu.

- Nie możemy mu pomóc, Mir! Jedyne, co jesteśmy w stanie zrobić, to powstrzymać to szaleństwo.

Ma rację, a ja nienawidzę go za to. Pozwalam, żeby mnie za sobą ciągnął, zbyt słaba, by znów spojrzeć na staruszka.

Tyle mocy i umiejętności, a ja nie umiem powstrzymać miasta przed pogrążeniem się w chaosie. W górnym odcinku drogi leży kolejny zniszczony ambulans. Wszystkie cztery koła stoją w ogniu. W Terminal Tower ludzie przyciskają twarze do szyb, obserwując rozgrywające się na dole szaleństwo. Sprawiają wrażenie, jakby nic im nie było, jakby fala strachu nie sięgała wyżej niż do pierwszego piętra. A może to budynek ochrania ich w jakiś sposób? Wygląda to tak, jakby świat się kończył. Szklane drzwi na dole są zabarykadowane meblami zabranymi z supermarketu. Nikomu nie przychodzi do głowy, żeby włamać się do środka.

Noah łapie mnie za rękę, a ja niemal odruchowo zadaję mu cios.

- O co chodzi? - Ciągnie mnie w dół. Chowamy się za pick-upem porzuconym w połowie drogi. Ktoś przebiega obok nas, dysząc ciężko. - Co zobaczyłeś?

- Wyrzyj nad wóz. Jeśli północ jest na godzinie dwunastej, to oni stoją na dziesiątej.

Zmieniam pozycję, a potem powoli podnoszę się, aż moje oczy znajdują się tuż ponad

maską auta. Trójka ludzi stoi na niewielkim parkingu po drugiej stronie ulicy, jakieś dwieście stóp od nas. Są spokojni, niczym niewzruszeni. Dwójka mężczyzn nosi znajome metalowe hełmy, a czarnowłosa kobieta ma na ręku opaskę. To doktor Conlin. Żołnierze trzymają kamery i nagrywają całe zajście, jakby tworzyli jakąś chorą reklamówkę. Wygląda na to, że nas nie zauważyli.

Obca pamięć

- Co masz zamiar zrobić? - pyta Noah.
- Walczyć z nimi.
- Akurat tego zdażyłem się domyślić. Zastanawiam się tylko, jak chciałaś to zrobić.
- Na noże albo pięści, sam wybierz. - Chowam się za przednim panelem furgonetki, zapamiętując położenie Conlin. Stopy świerzbią mnie od chęci rzuca się do biegu, a dłonie aż rwą się do walki.

Kolejna fala ludzi idzie chwiejnym krokiem przez ulicę. Przecinamy ją biegiem, zanim zdażą nas minąć, wykorzystując tłum jako zasłonę. Przeskakuję ponad dwoma zakrwawionymi ciałami. Potem docieramy do Tower, od wrogów dzieli nas niewiele, rząd krzewów i ogrodzenie. Biegniemy w ciszy. Nikt w tłumie nie zwraca sobie głowy, żeby na nas spojrzeć. W ostatniej sekundzie odbijam się z całej siły od ściany i wyskakuję w powietrze. Muskam stopami krzaki i ogrodzenie. Ładuję na parkingu bezgłośnie, nie licząc stłumionego brzęku, jaki wydaje nóż w kontakcie z betonem.

Czuję za plecami obecność Noaha. Żołnierze stoją przed nami, doktor Conlin znajduje się tuż przed nimi, obserwując, jak rozszalały tłum przeredza się, w miarę jak miasto pustoszeje. W oddali słychać odgłos eksplozji. Skracam gwałtownie w lewo i łapię stojącego najbliżej żołnierza za hełm, zrywam maskę z jego twarzy. W ułamku sekundy ciśnienie za moimi oczami rośnie i zostaje uwolnione. Żołnierz wstrzymuje oddech i wydaje z siebie bulgoczący, dławiony przerażeniem dźwięk, upuszczając na ziemię kamerę i broń. Noah w ten sam sposób rozbiera drugiego żołnierza. Podnoszę leżącą na ziemi broń, składany karabinek G36C z celownikiem mechanicznym, który leży znajomo w moich dłoniach. Trenowałam z takim, choć nie jestem pewna kiedy. To moment, w którym normalnie

rzuciłabym mordercze spojrzenie Noahowi, skoro to on jest powodem, dla którego nic nie pamiętam, ale dopiero co ocalił mi życie.

Doktor Conlin odwraca się. Lufy karabinów są wycelowane w jej pierś. Za jej plecami, utykając, przebiega mężczyzna ubrany jedynie w krawat.

- Nagrywa pani prezentację na video? - pytam.

- Dokładnie tak, Mirando. - Spogląda na swoich spanikowanych ochroniarzy. Spodziewałam się zobaczyć roboty skryte za przyciemnionymi maskami, ale to zwykli mężczyźni, podobni do tych, którzy przywieźli mnie do miasta. - Choć zauważyłam, że skutecznie spacyfikowałaś moją ekipę filmową.

- Gdzie są kupcy? - pyta Noah.

Doktor Conlin spogląda na niego z pogardą, za co muszę oddać jej honor, biorąc pod uwagę wycelowane w nią lufy karabinów.

- Nie tutaj, idioto. Ale doskonale widzą wasze możliwości. - Wskazuje ręką na niemal całkiem opustoszałą ulicę. - Cały świat widzi.

Nad miastem zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana jedynie przez czyjś krzyk, szum wirników helikopterów i stłumiony ryk silników odrzutowców w oddali.

- Wszyscy zdaliście egzamin - mówi Conlin.

- Grace i Joshua nie żyją - informuję, żeby ją zranić. Jeśli choć w niewielkim stopniu była dla nich tym, czym Tycast był dla nas, ta wiadomość na pewno ją złamie.

I faktycznie tak się staje. Jej brwi marszczą się na sekundę przed tym, jak jej czoło znów się wygładza. Usta ma zaciśnięte w bardzo wąską kreskę.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - mówi Noah. - Jeszcze nie.

- Dlaczego to robicie? - pytam. Przesuwam się nieco w lewo, poszerzając swoje pole widzenia do obszaru za plecami Conlin. Jeden z żołnierzy wstaje. Uderzam go kolbą karabinu w twarz, a on znów osuwa się na ziemię.

- Skoro tego nie wiesz, to macie jeszcze większe kłopoty - odpowiada Conlin.

- Domyślam się. Żeby nas sprzedać. Tylko po co? Po co stwarzać problemy? Są łatwiejsze sposoby na zarabianie pieniędzy.

- Tylko ktoś do bólu cyniczny uznałby, że robimy to dla pieniędzy. Ostateczny cel, któremu mielibyście służyć, był dla mnie nieistotny. To stworzenie z was broni idealnej stanowiło prawdziwy priorytet. Dla naukowca nie ma większego wyzwania, niż określić granice potencjału, a potem całkowicie je złamać.

- Niech to szlag - komentuje Noah. - Prawdziwy szalony naukowiec.

Podchodzę krok bliżej. Leniwy uśmiech wpływa na twarz Conlin. Ulica za jej plecami jest teraz całkiem pusta.

- Nie kupuję tego - mówię. - Nie wmówisz nam, że jesteśmy tylko eksperymentem.

- Zgadza się, nie jesteście.

- W takim razie czym jesteśmy? - „Tylko ktoś do bólu cyniczny uznałby, że robimy to dla pieniędzy”. Chodzi o coś znacznie więcej i dobrze o tym wiem. - Mów! - krzyczę.

- Nikt nie ma zamiaru was kupić, Mirando.

- Ale Tycast...

Tycast przez cały czas myślał, że taki jest plan. To przeciwko temu walczył, kiedy zginął.

- Gdyby Tycast znał prawdziwy cel waszego przeznaczenia, uciekłby z wrzaskiem.

Nasze prawdziwe przeznaczenie.

Doktor Conlin sięga do kieszeni kitla.

- Wyjmij rękę!

Trzymam palec na spuście.

- Powodzenia dla was obojga.

Conlin wyciąga rękę, ale nie strzelam, bo z początku wydaje mi się, że jest pusta.

Ale nie jest.

Wkłada coś do ust i rozgryza to.

- Nie! - krzyczy Noah.

Conlin osuwa się na ziemię. Biała piana wypływa z jej ust. Przyklękam obok, podczas gdy Noah mnie osłania. Otwieram jej usta, ale trucizna zaczęła już działać, przyprawiając ją o konwulsje. Nie trwają długo. Oczy Conlin są szeroko otwarte i wpatrują się w przestrzeń.

Spoglądam na Noaha i nie mam zielonego pojęcia, co dalej. Ostatnie słowa Conlin były zbyt niejasne i zawierały małą wskazówkę, która wystarczyła, by doprowadzić mnie do szału. Jeśli istnieje coś gorszego od bycia zmuszonym do przerażania i zabijania ludzi na czyjeś polecenie, to nie wiem, co to może być.

Peter i Olive - oraz pozostałe dwie Bety - mogą być w dowolnym miejscu w mieście. Przegrywamy. A może już przegraliśmy. Krzywda została wyrządzona i jest nieodwracalna.

Mrugam, żeby przywrócić ostrość spojrzenia, które zamazują mi łzy.

Za plecami Noaha stoją dwie osoby. W słońcu wi-
dać zarys ich sylwetek.

- Noah! - krzyczę.

Odwraca się, ale pierwsza postać chwyta za jego karabin i wytrąca mu go z ręki zwykłym ruchem nadgarstka. Noah rzuca się na niego, a mężczyzna uderza łokciem tak mocno, że na sekundę stopy chłopaka odrywają się od ziemi. Upada na plecy obok mnie, cał-

kiem bez tchu. Przetacza się na bok, ściskając za pierś i gwałtownie chwytając powietrze.

Leżę zwinięta na ziemi, gotowa do skoku, ale wpatrywanie się w wycelowaną we mnie lufę karabinu skutecznie to uniemożliwia. Trzymający go facet wygląda na zwykłego chłopaka o włosach w odcieniu jasnego blondu. Za paskiem ma miecz i srebrny rewolwer.

Jego kombinezonu nie da się z niczym pomylić - jest obcisły i zrobiony z czarnych łusek. Nieznajoma Róża uśmiecha się do mnie.

- Zaatakujesz mnie czy nie?

Kręcę nieznacznie głową. Noah siada, trzymając się za pierś.

- To dobrze - mówi chłopak. Rzuca karabin z powrotem w stronę Noaha.

Noah przygląda się broni na swoich kolanach, a potem patrzy na nieznajomego.

Dopiero teraz dostrzegam wyraźnie postać stojącą za blondynem. Czarna zbroja, czarne włosy - to Olive! Jej widok sprawia, że od stóp do głów zalewa mnie fala ciepła.

- Olive, nic ci nie jest? - pyta Noah.

- Z tego, co wiem, to nic. - Twarz ma jak z kamienia. Nieznajomy klaszcze i zaciera dłonie, odrywając moją uwagę od Olive.

- A teraz przystąpimy do załatwiania pewnej pilnej sprawy. Noah drapie się po głowie. Policzki ma czerwone, jakby wstydział się, że ten chłopak właśnie rozłożył go na łopatki.

- Kim ty właściwie jesteś?

Nieznajomy uśmiecha się.

- No tak, racja. Jestem Rhys. - Wskazuje kciukiem na Olive. - Zakładam, że ją już znacie.

Rhys. Zbieg. Stoi przed nami we własnej osobie.

I w dodatku żyjemy, choć miał nad nami przewagę. Oddał Noahowi karabin. Obserwuję go, żeby zobaczyć, jak zareaguje, ale wygląda na to, że Noah doszedł do tego samego wniosku.

To sprawia, że znów skupiam swoją uwagę na Olive, która wydaje się zagubiona, jakby nie wiedziała, jak stać ani co mówić.

- Hej, Olive, naprawdę wszystko z tobą w porządku?

Z jakiegoś powodu nie mogę się zmusić, by zapytać: „Pamiętasz mnie?”. W końcu wstaję i podaję dłoń Noahowi. Upewniam się, że nie zaatakuje nas żaden oszalały ze strachu mieszkaniec miasta, a potem przechodzę ponad ciałem Conlin. Robię krok w stronę zbiega.

- Nic mi nie jest - mówi Olive. - Byłoby lepiej, gdybym wiedziała, o co tu, do cholery, chodzi.

Nie mówi tego takim tonem, jakby komentowała obłęd sytuacji, tylko jakby naprawdę nie rozumiała, co się dzieje. Zimny dreszcz wykręca mi wnętrzości.

- Noah - mówię, wyciągając rękę, by złapać go za ramię.

- Rozumiem - odpowiada. Podnosi głos. - Olive, dlaczego opuściliśmy dom, nie mówiąc niczego Peterowi?

Olive wpatruje się w niego przez moment, marszcząc brwi. Rhys kiwa głową, jakby udzielał jej pozwolenia na odpowiedź. Podmuch wiatru przetacza się po parkingu, szarpiąc włosami wokół jej twarzy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jej słowa wiszą w powietrzu. Dobrze wiem, jakie to uczucie je wypowiedzieć.

Noah podał jej fiolkę. Powinno było wystarczyć. Może minęło zbyt wiele czasu, skoro jako ostatnia poszła zobaczyć się z Conlin. Możliwe, że ma przyśpie-

szony metabolizm i że stworzenie fali strachu, która poprowadziła nas przez las, zbyt ją wyczerpało.

- Jako ostatnia widziała się z Conlin - mówi Noah przyciszonym głosem, kręcąc głową. - Jako ostatnia dostała prawdziwy zastrzyk.

- Jak długo spaliśmy? - pytam. - Jak długo obywatela się bez kolejnej dawki?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Było blisko. Czasami... zawiesza głos.

- Czasami co?

Jego dolna warga drży, a mnie przez sekundę wydaje się, że zaraz się rozplacze. Ale on tylko zaciska wargi.

- Czasami Tycast dawał jej dodatkową dawkę. Mówił, że to dlatego, że ma wyższą temperaturę ciała.

Mój żołądek wywraca się na drugą stronę. Zaraz zwymiotuję. Kiedy wydawało mi się, że udaje i świetnie odgrywa swoją rolę... ona wcale tego nie robiła. Naprawdę nie miału pojęcia, co się dzieje. W głębi duszy i ja o tym wiedziałam, ale wmówiłam sobie, że to stres sprawił, iż stała się inna.

Pamiętam wyraz jej oczu, gdy przyznała, że jest zakochana w Noahu...

To wszystko zniknęło. Olive nas nie zna. Znajduje się w tym samym miejscu, w którym ja wcześniej. A nawet gorzej, bo ja miałam Petera, który się mną zajął.

To niesprawiedliwe. To jedyne, co odczuwam - przenikające wszystko poczucie niesprawiedliwości. Ze względu na nią, ze względu na nas wszystkich.

Z drugiej strony, co, jeśli to kolejny podstęp?

To może być Nicole, klon Olive z zespołu Beta. Moje ciało momentalnie tężeje. To o wiele łatwiejsze niż odczuwanie czegokolwiek.

Trzymam palec na spuście karabinu u boku. Lufy ani nie podniosłam, ani do końca nie opuściłam.

- Dałeś jej fiolkę? - pytam Noaha.

- Patrzyłem, jak ją wypija - mówi. Lufa jego karabinu jest wycelowana w ziemię.

W ułamku sekundy Rhys wyciąga zza paska długi rewolwer. Dociskam palec do spustu, ale on celuje pomiędzy mnie a Noaha. Oddaje pojedynczy strzał. Żołnierz w hełmie za moimi plecami pada twarzą do ziemi.

Nieznacznie zwalням nacisk na spust.

- Następnym razem daj jakieś ostrzeżenie, co?

Nie wspominam słowem o tym, że prawie go postrzeliłam.

- Wybacz. Mów dalej - odpowiada Rhys.

- Kim jesteś?

Część mnie chce go zabić tylko dlatego, że stał się powodem, dla którego Noah chciał mnie „ochronić”. Ale skoro nie zabił nas jeszcze, to może będzie w stanie pomóc.

- To trochę skomplikowane. Na razie uważaj mnie za swojego przyjaciela. W przeciwnym razie już byś nie żyła, prawda?

Prawda. Nie mogę jednak wykluczyć jakiejś większej zasadzki. Nie mam pojęcia, czy to faktycznie zbieg, czy też jakaś jego wersja. Szybkość, z jaką wyciągnął broń, świadczy, że bez wątpienia jest szybszy ode mnie i Noaha razem wziętych.

- Gdzie ją znalazłeś? - pytam, przywołując w pamięci mapę.

- Pod opieką dwóch typów w maskach po południowej stronie. Generowała fale strachu, dopóki jej nie powstrzymałem. - Rhys chowa broń za pasek. Jego lewa dłoń nadal spoczywa na rękojeści miecza.

Oczywiście. Olive nie miała pojęcia, co właściwie robi. Po prostu wykonywała czyjeś polecenia, myśląc, że to prawdziwy eksperyment.

Oczy Noaha są teraz mokre od łez, bo właśnie sobie uświadomił, że teraz żadna z nas go nie pamięta. No, chyba że wystarczająca ilość złudnej miłości pozostanie we wnętrzu Olive. Ta myśl sprawia, że znowu dostaję mdłości.

Mimo to Rhys może kłamać. Mógł wiedzieć, gdzie jest Olive i pozostałe wersje nas. Nie ma żadnego sposobu, żeby się upewnić co do jego intencji, trzeba po prostu osłabić gardę...

Opuszczam broń. Rhys i Olive ani drgną, co nie stanowi niezbitego dowodu, ale na razie musi wystarczyć.

- Posłuchaj - ciągnie Rhys - choć z przyjemnością dokonałbym pełnej prezentacji, obawiam się, że jeden z waszych przyjaciół jest w niebezpieczeństwie. Mam na myśli Petera.

- Gdzie on jest? - pytam. Oszłomienie błyskawicznie mija.

Rhys przekrzywia głowę w prawo, na południe.

- Podczas gdy my tu sobie rozmawiamy, Peter jest ścigany przez Nicole i Tobiasa. Widziałem, jak wchodzą na stadion. Zjawiłem się tutaj, żeby was zabrać, skoro byliście...

Nie słyszę reszty, bo już biegnę w tamtą stronę. Na południe od placu znajduje się arena i stadion do gry w baseball, a potem autostrada. Pędzę pustą ulicą, przeskakując ponad trupami. Część z nich jest stłoczona, zupełnie jakby ludzie upadli razem. Przy wyjeździe z autostrady pół mili stąd widzę kilku ocalałych, stojących spokojnie w grupie. Skoro Tobias i Nicole są zajęci ściganiem Petera, domyślam się, że fala strachu w końcu zanikła. Teraz muszę tylko utrzymać ten stan rzeczy.

Noah biegnie po mojej prawej, dotrzymując mi tempa. Przenosimy się na chodnik i okrążamy zakręt,

za którym widać stadion. Parę sekund później jesteśmy już przy ogrodzeniu. Wskakuję na nie, podciągam się, a potem zeskakuję, lądując na obu nogach. Znajdujemy się przy lewym wejściu od strony trybun. Po chwili widzę już całą płytę boiska. Wycucie czasu nie mogło być gorsze. Jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to fakt, że gdyby Rhys powiedział mi o Peterze minutę wcześniej, może mogłabym jakoś pomóc.

Peter stoi samotnie na płycie miotacza i trzyma kij w obu dłoniach. Przed nim, blisko drugiej bazy, ułokował się Tobiasz. Za Peterem znajduje się Nicole, dziewczyna, z którą Olive walczyła w lesie. Poruszają się jak zaciskające się szczęki za każdym razem, gdy Peter unosi kij. Obraca się, wiruje i wymachuje bronią w przód i w tył, ale przecież mają nad nim przewagę liczebną. Nicole uderza od tyłu kijem w kolano, podczas gdy Peter z najwyższym trudem blokuje cios wymierzony w jego głowę przez Tobiasza.

- Peter! - krzyczę. Cała trójka patrzy w moją stronę. Peter wykorzystuje moment nieuwagi, by wbić koniec kija w szyję przeciwnika. Nicole uderza go między łopatki.

Kij wypada z rąk mojego przyjaciela.

Biegnę przejściem między rzędami, przygotowując się do skoku z trybun na boisko. Noah jest tuż obok mnie. Nagle znajomy warkot helikopterów przybiera na sile, gdy jeden przelatuje nad murem. Czarna maszyna mknie nad murawą i nagle obraca się, odsłaniając bok. W otwartych drzwiach siedzi żołnierz z karabinem maszynowym. Widzę pomarańczowy rozbłysk i rzucam się w stronę trybun, za osłonę na samym dole. Krzesło za mną roztrzaskuje się w kawałki, wypełniając powietrze intensywnym smrodem sproszkowanego plastiku. Noah ląduje obok mnie, zasłaniając dłońmi twarz.

- Nic ci nie jest? - krzyczę. Huk wystrzałów karabinu jest ogłuszający, wypełnia stadion okropnym wizgiem.

- Nie! Widzisz Petera?

Grad kul zasypuje trybuny z dala ode mnie. To wystarczy, żeby bezpiecznie wyrzucić ponad nie. Helikopter ląduje na pierwszej bazie. Peter leży bezwładnie między Tobiasem a Nicole, którzy ciągną go do stojącego w pobliżu helikoptera. Jego stopy wloką się po ziemi. W uszach mi dzwoni. Wstaję i wrzeszczę co sił w płucach. Tobias odwraca się, jakby mnie usłyszał, ale to niemożliwe, zważywszy na ryk silników. Widzę jego olśniewająco biały uśmiech. Chwilę później wszyscy wchodzi do środka, a helikopter odlatuje.

Teraz stadion jest pogrążony w osobliwej ciszy. W oddali słychać tylko przytłumione wycie syren. Gapię się na płytę miotacza i bruzdy, wyżłobione w ziemi przez stopy Petera.

Dotyk dłoni Noaha na ramieniu zaskakuje mnie.

- Odbijemy go - mówi.

- Cóż, to jest dopiero niefortunna sytuacja - odzywa się jakiś głos za moimi plecami.

Odwracam się i idę sztywnym krokiem w stronę Rhysa, który sprawia wrażenie posepnego, choć w tonie jego głosu słychać obłudę. Chcę go uderzyć, ale blokuje mój cios, zaciska dłoń na moim gardle i odpycha do tyłu. Noah łapie mnie, zanim upadam na tyłek. Pomaga mi wstać.

- To było niegrzeczne - mówi Rhys. Olive przeskakuje ogrodzenie i podchodzi do nas. Noah robi taki ruch, jakby chciał zaatakować, ale chwytam go za rękę, nawet jeśli miałabym mu tym oszczędzić wyłącznie zażenowania. To miłe, że chce bronić mego honoru, ale Rhys ma nad nami przewagę. A poza tym nie jest naszym wrogiem.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam od razu? - pytam spokojnym głosem. - Mogliśmy dotrzeć tu, zanim nadleciał helikopter.

- Albo zostać zaskoczeni na boisku i zmasakrowani serią z wielkokalibrowego karabinu. Tak czy inaczej, cieszę się, że go zabrali.

- Dlaczego? - pyta Noah.

Rhys uśmiecha się, a ja chcę zetrzeć mu ten uśmiezek z twarzy.

- Bo wiem, dokąd go zabierają. I dzięki temu mamy wspólny cel.

- Jaki cel? - pytam.

Rhys zaczyna wspinać się na ogrodzenie.

- Koniec naszych twórców i ich pracy. Jeśli chcesz odzyskać swojego Petera, pomożesz mi ich zniszczyć. Powiem ci więcej, gdy tylko znajdziemy się w bezpieczniejszym miejscu.

Przypominam sobie, że jest zbiegiem. Nie można mu ufać. Nie wiedział, że schwytają Petera, zamiast zabić go na miejscu. Wzięcie go żywcem miało sens, ale Rhys nie mógł być tego pewien.

- Dlaczego powinniśmy ci zaufać?

Rhys przeskakuje ponad ogrodzeniem i ląduje w kucki, przeczesując wzrokiem pustą ulicę.

- Dlatego, że wy potrzebujecie mnie, a ja potrzebuję was.

- To za mało. Skąd właściwie się wzięłeś?

Odwraca się plecami do ulicy.

- Pochodzę z pierwszego zespołu Alfa. Wstrzymaj się z pytaniami na jakiś czas, okej? Pierwszy zespół Alfa. Obracam to zdanie w myślach. A więc jest Róża, ale nie kopia

któregoś z członków grup Alfa i Beta, których zdążyłam poznać. Nie jestem pewna, czym przez to jest, poza tym, że zbiegiem.

- Wybaczcie - odzywa się Olive z dłońmi wspartymi na biodrach - ale mam już dość łażenia za wami. Niech ktoś wreszcie powie mi, o co tu, do diabła, chodzi.

Nikt nie odzywa się ani słowem.

- Serio? To wspaniale. Najpierw budzę się w plastikowej klitce z trójką osób, których nie znam, a potem ten chłopak - wskazuje na Rhysa - mówi mi, że jesteśmy superżołnierzami z umiejętnością wywoływania w innych strachu.

- Mniej więcej tak właśnie jest - mówi Noah.

Olive unosi brwi ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś moim kompanem z drużyny?

Noah wzrusza ramionami, ale wyraz jego twarzy gryzie się z tym gestem.

- Można tak powiedzieć. A teraz ludzie, którzy nas wychowali, chcą nas zniewolić, a... my nie jesteśmy pewni, co to dokładnie oznacza.

Odgłos dwóch wystrzałów odbija się echem od budynków. Rhys kręci głową i odchodzi.

- W porządku, zostańcie na ulicy i zaczekajcie sobie, aż nadleci helikopter i was złapią.

- Idziemy z nim? - pyta mnie Noah. - Zostaniesz z nami? - zwraca się do Olive. - Wytłumaczę ci więcej, ale błagam, nie odchodź.

Olive przetyka ślinę, kiwając głową.

- Trzymam cię za słowo.

Biegniemy truchtem przez puste ulice, mijając po drodze kilku maruderów, którzy są zbyt dezorientowani, by wpakować się w jeszcze większe kłopoty. Zatrzymujemy się niemal przy każdym ciełe i szukamy pulsu, ale w miarę jak się oddalamy, ocalałych jest coraz mniej. Część jest tak bardzo poturbowana i strątowana, że na pierwszy rzut oka widać, iż nie żyją.

Mijamy płonące samochody i opustoszałe witryny sklepów. Potłuczone szkło wala się na chodnikach. Zapach róż zniknął, ale kto wie ile czasu minie, nim ludzie zaczną wracać do miasta. Zastanawiam się, co czuli, co widzieli. Jakie okropności podsunął im ich umysł.

Biegniemy przez cały czas, lecz niewystarczająco szybko, by zatrzeć przed oczami obraz śmierci i zniszczenia.

Ok

Rhys okazuje się właścicielem luksusowego apartamentu przy rzece Cuyahoga, która płynie po zachodniej stronie Cleveland. Budynek jest wysoki, zbudowany z niebieskiego szkła. Nim docieramy na miejsce, dyszę z trudem, próbując złapać oddech.

- Jakim cudem stać cię na mieszkanie w tym miejscu? - pytam, gdy podchodzimy do masywnych szklanych drzwi. Centrum miasta znajduje się po mojej prawej stronie, puste i milczące. Krażą nad nim dwa czarne helikoptery, takie same jak ten, który zabrał Petera. Wydaje mi się, że znalezienie schronienia to dobry pomysł.

- To zadziwiające, co można wynająć dzięki gotówce - mówi Rhys. Jego bez troskie podejście do wszystkiego zaczyna mnie drażnić. Na pewno nie jest ślepy na ogrom zniszczenia wokół nas, a jeśli to jest jego sposób na radzenie sobie z sytuacją, to na pewno coś znaczy, świadczy o nim. Jestem jednak zbyt zmęczona, by zastanawiać się, co dokładnie.

Otwiera drzwi i zaprasza nas do środka. Wiem, że żadne z nas nie czuje się zbyt pewnie, wchodząc tu, ale nie mamy wielkiego wyboru. Jedziemy windą, a w dole połyskuje równa, szara powierzchnia rzeki. Mieszkanie Rhysa znajduje się na najwyższym piętrze. Zaprasza nas do wielkiego pokoju ze sklepieniem sufi-

tem. Najdalej położona ściana zrobiona jest w całości ze szkła, zapewniając spektakularny widok na rzekę i miasto.

- Nie myślcie sobie, że jestem próżny - wyjaśnia Rhys.- Wybrałem to mieszkanie dlatego, że to ostatnie miejsce, w którym szukaliby mnie twórcy.

Prawdopodobnie ma rację. Moją reakcją byłoby ukrycie się głęboko pod ziemią, a nie wyjście na otwartą przestrzeń.

- Gdzie trzymasz apteczkę? - pyta Noah.

Rhys unosi pytająco jedną jasną brew.

- Jesteś ranny?

- Gdzie jest apteczka?

- W łazience pod umywalką. Na końcu korytarza.

Noah ujmuję mnie za rękę. Jestem zbyt słaba, żeby się sprzeciwić, gdy prowadzi mnie do łazienki i zamyka drzwi. Wszystko w jej wnętrzu jest zrobione z kremowego marmuru. Światła są odrobinę zbyt jasne.

- Co ty wyprawiasz?

- Rozsuń kombinezon - mówi Noah, schylając się, by wyjąć apteczkę.

Wtedy sobie przypominam. Rana od noża na moich plecach. Odwracam się i ciągnę za materiał zbroi w pobliżu szyi.

Kombinezon rozchyła się, a Noah przystępuje do zadania. Delikatnie zsuwa zbroję z moich ramion, a ja krzyżuję ręce na piersiach. Przyglądam się jego twarzy w lustrze, podczas gdy on wpatruje się uważnie w moje plecy.

- Rana nie jest głęboka. Wystarczy założyć kilka szwów, ale potrzebujesz zastrzyku na tężec i paru antybiotyków, żeby nic ci nie było.

- Wszystko jedno - mówię. To nie jego wina, że jestem ranna. Po prostu chcę, żeby już było po wszystkim.

- Co proszę?

Nie chcę wszczynać kolejnej kłótni. Nie chcę widzieć jego urażonych oczu zbitego psa i słuchać kolejnych przeprosin. To Peter powinien mnie teraz zszywać. To on powinien mnie besztać i mówić, że powinienam zachować większą ostrożność.

Mimo to, gdyby Noah nie podmienił mi zastrzyków, wszystko miałoby sens.

Gdybym tylko tamtej nocy na dachu pociągu powiedziała, że mu nie ufam. I kazała wymazać wszystkie szalone myśli, jakie pojawiły się w jego głowie. Lub zmusiła go do powiedzenia mi prawdy, nim dałam niejasne pozwolenie na zmianę mojej tożsamości.

W tym momencie uświadamiam sobie, że nigdy go nie kochałam. A on nigdy nie kochał mnie. Kochał tę drugą Mirandę, kimkolwiek była. Jestem pewna, że druga Miranda kochała jego, ale ja już nią nie jestem. Jestem kimś zupełnie innym.

Te wspomnienia miłości, jaką do niego czułam, nie należą do nowej osoby, którą się stałam. Utrzymywanie, że jest inaczej, byłoby egoistyczne. Noah z pewnością nadal uważa mnie za Poprzednią Dziewczynę. Kto wie co poczuje, gdy zda sobie sprawę, że jej już dawno nie ma.

Wmawiam sobie te rzeczy, żeby ułatwić sytuację, ale pomogłoby mi znacznie bardziej, gdybym całkowicie w nie wierzyła. Znów zaczynam się zastanawiać, czy Olive ma ten sam problem co ja. Czy jest zmuszona do walki z cieniem minionej miłości? Muszę zachować jej sekret, zakładając, że Noah nie ma o tym pojęcia. Co dobrego wynikłoby z tego, gdybym oznajmiła: „Och, a tak na marginesie, Olive jest w tobie za-

kochana. To dlatego z tobą uciekła. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć”?

- Mirando.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu zaszyj ranę.

Noah klęka, a ja czuję jego palce u podstawy pleców. Słyszę, jak szpera w apteczce. Czuję ostre ukłucie igły. I znowu. I jeszcze raz. Przygryzam swoją spękaną i opuchniętą dolną wargę. Jednostajne ukłucia igły rozpraszają moje myśli. Czuję, że znów zanurzam się w przeszłość. Myślałby kto, że do tej pory zdażyłam się już do tego przyzwyczać...

Biegam po jesiennym lesie. Niebo ma kolor cha-brów, a drzewa wyglądają, jakby stały w płomieniach. Czyjeś stopy wprawiają w ruch liście za moimi plecami - jestem ścigana. Rozłożyste drzewo przede mną ma gałęzie zwieszające się dziesięć stóp nad ziemią, obsypane czerwonymi jak krew liśćmi. Biegnę prosto w jego stronę, a potem odpycham się od pnia i skaczę, chwytając palcami gałąź. Podciągam się, znajduję oparcie dla stóp. Skaczę ku kolejnej gałęzi. Mechanicznie, lecz z pełnym wdziękiem. Właśnie tak o tym myślę. Widzę w głowie swój następny ruch, a potem wprowadzam go w życie.

Kopię w gałąź, żeby opadła z niej chmura liści.

Wspinam się.

Wiatr uderza w drzewo, sprawiając, że mniejsze gałęzie klekoczą, uderzając o siebie. Liść zaplątuje mi się we włosy i szeleści za uchem. Mój prześladowca jest blisko. Słyszę jego oddech, szuranie butów na pniu.

Wtedy to dostrzegam.

Sąsiednie drzewo jest pomarańczowe i równie wielkie. Jego gałęzie łączą się z gałęziami mojego. Zbiegam po konarze, dotykając stopami szorstkiej ko-

ry, i przeskakuję na pomarańczowe drzewo. Moja lewa stopa ześlizguje się z gładziej powierzchni, wydając przy tym dźwięk jak podczas odpinania suwaka. Bez namysłu przerzucam prawą rękę ponad gałąź, żeby się podtrzymać. Jestem zbyt powolna. Szoruję paznokciami po drewnie, a potem natrafiam na pustkę.

Spadam. Gałęzie wbijają się we mnie jak zęby. Szarpia i rozrywają moje ubranie. Czerwone i pomarańczowe liście przesuwiają się błyskawicznie w górę, niby na rolce filmu. Uderzam mocno o ziemię, upadając najpierw na prawą stopę. Kość napina się, a potem pęka. Ból przeszywa nogę od kostki do czubka głowy, a potem eksploduje w prawej ręce. Leżę zwinięta na lewym boku w rozsypanych liściach, pojękując cicho. Mam wrażenie, jakby moja kostka ważyła tonę.

Za sobą słyszę parę butów uderzających miękko w ściółkę. Potem rozlega się tapnięcie i szelest liści. To mój prześladowca. Dotarł na miejsce, żeby mnie wykończyć.

Peter klęczy przy mnie i kładzie szerokie dłonie na moim prawym ramieniu. Delikatnie przewraca mnie na plecy. Liście łaskoczą moją skórę poniżej linii włosów. Spoglądam w jego lodowato błękitne oczy, zauważając, że mają ten sam odcień, co niebo widoczne za nim. Widać w nich wielkie zmartwienie.

- Gdzie cię boli? - pyta.
- Wszędzie.
- Daj spokój, Mirando.
- Kostka.

Tępy ból zamienił się w ogień, jaskrawszy od otaczających mnie drzew. Peter wygrzebuje coś z kieszeni kamizelki.

- Otwórz usta - mówi.

Rozchyłam wargi, a on podaje mi pigułkę. Połykam ją. Ostrożnie obmacuje dłońmi moją nogę,

zmniejszając nacisk, gdy dociera w pobliże kostki. Dotyka jej końcem palca. Jęczę z bólu. Z całych sił zaciskam powieki. Słyszę dźwięk otwieranego noża, trzask rozdzieranego materiału. Zimne powietrze na odsłoniętej skórze. Ciepłe palce na opuchniętej kostce. Pigułka zaczyna działać, przytępiając ból.

- Poniosę cię - mówi Peter.

Biorę głęboki wdech.

- Dom znajduje się całe miłe stąd.

- To był mój pomysł, żeby tutaj przyjść. Tycaś zabije mnie za to, że opuściłem teren ośrodka.

Pigułka działa coraz skuteczniej. Przesuwam plecami w górę po pniu tak długo, aż udaje mi się usiąść.

- Zabraniam ci mnie nieść. To moja wina.

Peter uśmiecha się, gdy to mówię.

- Co znowu? - pytam.

- Nie wydaje mi się, żeby ta pigułka dała ci jakiś wybór.

Otwieram usta ze zdziwienia.

- Co to było? - Dokładnie już wiem co. Czuję, jak zaczynają mi ciążyć powieki, a mięśnie odprężają się. - Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

Odchylam głowę. Powieki są zbyt ciężkie, żebym mogła się przeciwstawić senności. Jak przez mgłę czuję, jak chłopak wsuwa dłonie pod moje ciało. Jestem lekka jak piórko, gdy podnosi mnie i układa na swojej szerokiej piersi.

Na chwilę przed zapadnięciem w sen słyszę, jak szepcze:

- O tym wiem tylko ja, a ty nie dowiesz się nigdy.

Otwieram oczy i czuję ukłucie igły. Szczypie mnie kostka.

Wspomnienie powoli blednie, zostawiając mnie z poczuciem bolesnej pustki. Nie mogło przytrafić mi się

w gorszym czasie - nie chcę myśleć o zniknięciu Petera, tylko o sposobie, w jaki go odbijemy.

Jeśli Noah zauważył, że odpłynęłam na moment, nie pokazał tego po sobie.

- Jakim cudem udało ci się zdobyć te fiolki, skoro już tam na ciebie czekali? - zadaję pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi do głowy.

Czuję, jak moja skóra napręża się, gdy zakłada szwy.

- Dość łatwo udało mi się znaleźć skrzynkę. Otworzyłem ją. Wyciągnąłem garść fiolek. Wtedy czyjeś ręce złapały mnie za ramiona i wyciągnęły z wody. Jacyś faceci w kombinezonach nurków. Trafiłem jednego łokciem, a wokół pojawiły się bańki powietrza, więc wepchnąłem fiolki do ust. Tak się złożyło, że było ich cztery.

Cztery. To nie miało jednak znaczenia w przypadku Olive, która miała pecha, że jako ostatnia poszła na spotkanie z Conlin. Zastanawiam się, jak blisko byliśmy od znalezienia się w jej sytuacji.

Kładzie dłoń na moim ramieniu i podnosi się.

- Gotowe.

- Dzięki. - Wsuwam dłonie w rękawy kombinezonu, a Noah ściska razem krawędzie szwu.

- Ostatnim razem, kiedy zdejmowałeś koszulę, wyglądało to nieco inaczej.

- Musiałeś to powiedzieć, co? - Czuję, jak palą mnie policzki i uszy.

Noah szczyrzy zęby w uśmiechu. W tym samym uśmiechu. Nie chcę go odwzajemniać, gdy Peter jest w niewoli, a miasto pogrążone w totalnym chaosie.

- Chyba tak.

Klepię go w ramię i wychodzę z łazienki, czując, jak skóra w miejscu założenia szwów napina się. Nie utrudnia mi to jednak poruszania się, a to najważniej-

sze. Widok za wielkim oknem-ścianą nie zmienił się. Niebo jest mgliste od dymu unoszącego się z ognisk wielu pożarów.

Odwracam się. Cały pokój jest bardzo przestronny - po lewej stronie stoją skórzane kanapy i telewizor, po prawej masywny stół. Kawałek dalej znajduje się otwarta kuchnia z marmurową wyspą pośrodku, na której stoi sprzęt do gotowania. Trzeba zejść jeden stopień w dół, żeby dotrzeć do kanap. Dotykam ich, jednak nie zamierzam siadać. Rhys krząta się przy wyspie, przygotowując jakiś posiłek. Noah sadza Olive na kanapie i mówi do niej cichym głosem, prawdopodobnie tłumacząc, kim jesteśmy, tak jak wcześniej zrobił to dla mnie Peter.

Gapię się na Rhysa, który w końcu unosi wzrok.

- Jesteśmy bezpieczni. Wydaje mi się, że zasługujemy na jakieś wyjaśnienie.

Rhys zlizuje z palca odrobinę czerwonego sosu i wyciera rękę w ścierkę.

- Racja. O co chcesz zapytać?

Podchodzi do mnie. Jego tęczęwki mają brązowo-czerwony odcień, a mnie uderza wspomnienie tego, jak patrzyłam w lustro w domu Eleny. O tym, jak moje oczy rozjaśniły się od czasu incydentu w galerii handlowej.

- Kim jesteś? - pytam.

- Już ci powiedziałem. Pochodzę z zespołu Alfa. - Przekrzywia głowę na bok, spoglądając prosto w moje oczy. - Chodź no tu, niech ci się przyjrzę. - Chwyta moją twarz w obie dłonie, a ja walczę z odruchem wyrwania się z jego uścisku. Mruży oczy, jeden z jego palców drga przy moim policzku. - Kiedy ostatni raz używałaś maszyny? - pyta niezbyt uprzejmym tonem.

- Jakiej maszyny?

Obca pamięć

- Nie ze mną te gierki. - W dalszym ciągu przytrzymuje moją twarz. Cała jego beztroska i

luz zniknęły. - Twoje oczy zmieniły kolor z zielonego na czerwony. Nie zauważyłaś tego?

- Puść ją - odzywa się z kanapy Noah, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

- Nic mi nie jest - mówię.

Rhys odwraca mnie w stronę okna, przyglądając mi się w lepszym świetle.

- Gadaj.

Mówię powoli, skoro wygląda na to, że chyba mnie nie rozumiał:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Noah podnosi się z miejsca.

- Masz pięć sekund.

Rhys patrzy na niego, nadal trzymając moją twarz.

- Och, przeszkadza ci to?

- Owszem.

Mnie również, ale nie mam zamiaru się ruszyć. Coś go przestraszyło, a ja chcę wiedzieć co. Rhys znów patrzy na mnie. Jest tak blisko, że czuję jego oddech na policzku. Pociera szorstkim kciukiem mój podbródek.

- Powiedz „a”. - Otwieram usta, a on mówi: - Interesujące.

- Co znowu?

- Masz niewiarygodnie piękne zęby. - Gdy Noah podchodzi krok bliżej, Rhys dodaje: - W każdej chwili mogę złamać jej kark, wiesz? Jeden ruch ręki i nie żyje.

- Dość tego - mówię, nie chcąc, żeby mnie przestraszył. Zamieram w bezruchu w jego uścisku. - Wiesz, gdzie jest Peter? To powiedz mi gdzie.

Obca pamięć

- Domyślam się, że nie masz zielonego pojęcia, dlaczego twoje oczy zmieniły kolor. Zazwyczaj potrafisz stwierdzić, kiedy ktoś kłamie.

- Niezły postęp - mówię.

- Tobie będzie z tym łatwiej, bo już to kiedyś robiłaś.

- Robiłam co?

- Przeniesiono ci do mózgu wspomnienia innej osoby.

W pierwszej chwili jego słowa nie mają dla mnie żadnego sensu. Odtwarzam je w głowie. Wspomnienia. Innej osoby.

Przeniesione. Do twojego mózgu. Twojego mózgu.

- Nie - odpowiadam. Równie dobrze mogłabym powiedzieć: „Nie rozumiem” albo: „Co ty wygadujesz?”, ale jedyne, co udaje mi się wykrztusić, to: „Nie”.

Noah stoi tuż obok mnie.

- Wytłumacz.

Rhys unosi dłoń w obronnym geście.

- Hej, ja tylko przekazuję informacje. Powiedziałem, że już kiedyś przeszła przez ten proces. Nie powiedziałem, co to znaczy. - Podejrzliwość i wrogość, które w nim widziałam, na razie zniknęły.

- Więc wytłumacz, co to znaczy - domagam się.

- Nie wiem - mówi Rhys. Odwraca się i idzie do wyspy w kuchni. - Ktoś jest głodny?

- Mówię do ciebie.

Okręca się na pięcie i wyrzuca dłonie w górę.

- Co mam niby powiedzieć? Chcecie, żebym coś zmyślił?

- Jakaś teoria bardzo by się przydała.

Na jego twarzy widać... ostrożność. Jakby próbował coś zataić.

- Teoria. W porządku. Nie wydaje mi się, żebyście byli tym, kim jesteście. I co wy na to?

Obca pamięć

- W takim razie kim jesteśmy?

Unosi brwi, odwracając się w stronę kuchni.

- To dopiero pytanie.

Stoję przez moment ze wzrokiem utkwionym w podłogę, myśląc gorączkowo. Wspomnienia przeszczepione, wspomnienia utracone.

Co, jeśli nie jestem tą Mirandą, z którą wszyscy dorastali?

Może tkwić gdzieś w klatce, uwięziona. Albo jest już martwa. Mogę być kretem sabotującym naszą grupę. Kontrolowanym przez coś innego niż tatuaż. Ale to nie ma żadnego sensu - gdyby chcieli wykorzystać mnie przeciwko zespołowi, już dawno by to zrobili. Chwytam się tej myśli jak tonący brzytwy.

Olive i Noah stoją przede mną z ponurymi minami. Ich twarze rozmazują się, gdy oczy zachodzą mi łzami.

- Jesteś sobą - mówi Noah. - Znam cię. Wiesz, że tak jest.

Kiwam głową. Współczujący wyraz na twarzy Olive sprawia, że jeszcze bardziej chce mi się płakać. Niczego nie pamięta, ale jest jej źle z mojego powodu. Nie zasługuję na jej litość. Ocieram łzy, gdy idziemy do kuchni, zmuszam się do zachowania żelaznej nuty w głosie:

- Czy istnieje możliwość, że nie jestem Mirandą North?

Rhys oblizuje usta.

- Wszystko jest możliwe.

- Gówno prawda - odzywa się Noah. - To Miranda.

- Noah, błagam. Pozwól mi z nim porozmawiać.

Zaciska szczęki i odwraca się w stronę okna.

Rhys patrzy na niego z uniesionymi brwiami.

- Jak już mówiłem - czy to możliwe, że jesteś kimś innym? Kto wie. Wydaje mi się, że odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki, a wy musicie skupić się na tym, co jest przed wami.

Uśmiecha się ostrożnie. - Misja uratowania waszego przyjaciela i zniszczenie twórców. Oraz jedzenie, które właśnie przygotowuje.

Na sekundę odbiera mi mowę, a potem nagle słowa wylewają się z moich ust, głośne i zimne jak lód.

- W nosie mam jedzenie. Przestań ze mną pogrywać. Peter jest Bóg jeden wie gdzie. Miasto pogrążyło się w chaosie. Mówisz, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie jestem Mirandą North, a potem zachowujesz się, jakby to była błahostka.

Rhys milczy przez pełne pięć sekund.

- Pomyśl logicznie. Najpierw odzyskamy siły, a potem wymyślimy sposób na odbicie waszego przyjaciela i wymierzenie sprawiedliwości przestępcom. Ten plan wydaje się całkiem do przyjęcia.

Do przyjęcia? Nie dla mnie. Ale jeśli Rhys zna odpowiedź, musimy grać według jego zasad.

Rzuca Noahowi spojrzenie spod znaku „czy ta dziewczyna mówi poważnie?”.

Noah nie odwzajemnia się niczym, nawet morderczym wzrokiem. Rhys wzrusza ramionami i wraca do kuchni.

Stoimy dokoła stanowiska kucharza, podczas gdy Rhys kończy gotować. Wrzuca bazylię i mielony pieprz do garnka z czerwonym sosem. Drugi garnek, z makaronem, stoi obok. Jestem głodna, ale widok jedzenia sprawia, że robi mi się niedobrze. Muszę ruszać w drogę, a me jeść.

-Wybaczcie, byłem właśnie w trakcie robienia lunchu, gdy wyjrzałem przez okno i co tam zobaczyłem? Całe miasto zamienione w piekło. Wyczułem słaby za-

pach róż. Co jest i tak lepsze od psychicznej energii, która cuchnie jak skunks.

Żadne z nas się nie śmieje.

- Ukrywałem się - ciągnie dalej. Szatkuje grzyby na desce do krojenia. - Gdy uciekłem z bazy pierwszego zespołu Alfa, ukrywałem się w pustych budynkach. Zostałoby tak, gdyby nie okazało się, że to pierwsze miejsce, w którym będą mnie szukać.

Zerkam na Noaha, który faktycznie poszukiwał Rhysa. Kiwa głową.

- Rozumiecie? Od czasu ucieczki obserwowałem oba zespoły. Mam wszelkie potrzebne umiejętności, ale potrzebuję pomocy, jeśli chcę zadać śmiertelny cios.

- Komu? - pytam. - Skoro doktor Conlin nie żyje, kto jest teraz naszym wrogiem?

- Twórcy. Ci, którzy nas powołali do istnienia. Mają waszego Petera.

Ci, z których zostaliśmy sklonowani. Gdy spadałam z tamtego budynku, nawiedziło mnie mgliste wspomnienie twórczyni, kobiety oddającej mnie Philowi. Nie była moją matką, tylko starszą wersją mnie samej.

Zauważam, że Rhys nadal jest uzbrojony w miecz i rewolwer, jakby me ufał nam na tyle, żeby się ich pozbyć. Nie dziwię mu się. Ale ja również nie wierzę w jego historię. Nie, dopóki wszystkie elementy tej układanki nie znajdą się na swoim miejscu. Na początek, czy nie powinna się gdzieś znajdować jakaś druga wersja samego Rhysa? Dlaczego oryginalny zespół Alfa miał swojego Rhysa, a mój zespół Alfa - i Beta - nie?

- Gdzie jest Peter? - pytam ponownie, opierając się o marmurową wyspę. Noah szpera w lodówce. To może być ostatni raz, kiedy o coś pytam, zanim wybiegnę, by szukać Petera.

Rhys unosi podbródek w stronę okna za moimi plecami.

- Nie spodoba ci się to.

Za oknem widać śródmieście.

- Co?

- Znajduje się w najwyższym budynku - mówi Rhys.

Najwyższy jest Key Tower. Ma zwyczajny szary kolor, jak każdy inny wieżowiec, prócz srebrzystobiałego wierzchołka.

- Mój dawny dom, gdzie mieszkałem i trenowałem... wszystko było w srebrnej części. - Jego głos jest niski i schrypnięty od starych wspomnień. Znam to uczucie.

W słońcu wierzchołek wieży z mnóstwem ostrych kątów wygląda na wręcz biały. Przypomina mi jakiś fantastyczny lodowy pałac osadzony na szczycie drapacza chmur. Nie mogę oderwać od niego oczu, zastanawiając się, czy Peter naprawdę znajduje się w tej chwili za jego murami. Czy to miejsce zawiera w sobie odpowiedź na pytanie, które nie daje mi spokoju?

Kim jestem?

Ledwie zdążyliśmy chwilę odpocząć, ale teraz, bezpieczna za ścianami ze szkła, wiem, co mnie napędza. Chcę wiedzieć, kim jestem. Nie tylko, kim byłam, co zrobiłam i kim mogłam się stać.

Kim właściwie jestem.

Czy to naprawdę tak wiele?

- To bez sensu - mówię. - Dlaczego mieliby ścigać na siebie uwagę? Dlaczego nie przetestowali nas w mieście, w którym nie pracują?

- Uwagę? Nasz rząd nawet za milion lat nie powiąże tego, co stało się na pięćdziesiątym siódmym piętrze z tym, co zdarzyło się dzisiaj. W końcu życie wróci do normy. Nie będzie żadnych dowodów. - Wrzuca pie-

czarkę do ust. - Ukrycie się na widoku. Test ukończony. Róże odniosły sukces.

Podaje nam talerze z makaronem, a my siadamy przy ciemnym, drewnianym stole obok kuchni. Wypijam szklanke wody i dopiero gdy dotykam ustami jej brzegu, uświadamiam sobie, jak bardzo byłam spragniona. Siedzenie tutaj i jedzenie wydaje mi się nie na miejscu. Peter jest Bóg jeden wie gdzie, samotny i być może ranny, a my sobie jemy?

- Jesteś niecierpliwa - mówi Rhys. - Pójdziemy tam, gdy się ściemni. Wymyśliłem plan, dzięki któremu zniszczymy srebrną kopułę i uratujemy waszego przyjaciela.

- Ale czy to ich powstrzyma? - pyta Olive. - Czy to powstrzyma ludzi, którzy... mam na myśli naszych twórców.

Rhys marszczy brwi.

- Możliwe, pod warunkiem że tam będą. Okaleczy ich to lub przynajmniej ujawni światu. Być może to wystarczy, żebyśmy żyli do końca naszych dni bez konieczności ciągłego oglądania się za siebie.

Przez to wszystko w głowie przewija się jedno zdanie...

Przeszczepione wspomnienia. Przeszczepione wspomnienia. Przeszczepione wspomnienia...

Rhys zmiata wszystko z talerza przed nami.

- Chcieliście wiedzieć, kim jestem. - Wyciąga pistolet zza paska i kładzie go na blacie.

- Owszem. Ale ja chciałabym dowiedzieć się więcej o tym, dlaczego nasze oczy zmieniają kolor. I o tym, co powiedziałaś o wspomnieniach.

Rhys uśmiecha się.

- Oczywiście. Ale musisz wiedzieć, że to, co zobaczysz, może ci się nie spodobać. Właściwie mogę ci to zagwarantować.

- Jakoś to zniosę.

A przynajmniej tak mi się wydaje. Próbuje przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz spałam. Krótka drzemka w celi, a potem kolejna przed wypadem w miasto. Powieki mi ciążyą, jakby były z betonu. Sprawdzam godzinę na zegarze na kuchence elektrycznej. Jest cztery po dwunastej. Jeszcze kilka godzin temu wszystko było w porządku. Nadal byliśmy razem. Martwi ciągle żyli.

- No dobrze - mówi Rhys, odchodząc od stołu. Noaha ogarnia napięcie, ale rozluźnia się, gdy kładę dłoń na jego ramieniu. Rhys podchodzi do szafki w pobliżu drzwi i otwiera ją. Wyciąga z niej opaskę. Niemal taką samą, jaką nosili Tycast i Conlin, żeby zneutralizować działanie naszych fal, tylko nieco grubszą i sztywną, dzięki czemu zachowuje kształt koła.

Rhys wskazuje ręką na sofę.

- Połóż się.

Jestem skołowana, ale domyślam się, że odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki. Podchodzę lekkim krokiem do sofy, żałując, że nie czuję pod stopami pluszowego dywanu. Noszę ten kombinezon już tak długo, że oddałabym wszystko za powiew chłodnego powietrza na skórze. Z jakiegoś powodu wolę stać, niż się położyć. To pewnie przez instynkt.

Rhys schodzi stopień niżej, do miejsca, gdzie stoi sofa, trzymając opaskę. Gruby materiał jest czarny, ale w dziwny sposób odbija światło, migocząc na brzegach.

- Powiedziałem ci, że masz przeszczepione wspomnienia.

- Zgadza się.

Unosi opaskę.

- Doszło do tego właśnie w ten sposób, przy użyciu jednej z tych maszyn. Od pierwszego dnia twórcy

mieli plan, by stworzyć nas więcej. Trik polegał na zebraniu naszych doświadczeń - zespołu Alfa i Beta - i wykorzystaniu ich jako szablonu do wczytania w nowe wersje nas. Gotowe doświadczenia dla klonów, które będą mogli dalej hodować. Kopie tej samej osoby z tymi samymi wspomnieniami. Ogólnie rzecz biorąc, niekończący się zapas... nas samych.

- Dokładnie takich samych - mówi Olive przyciszonym głosem, wstając od stołu. Świadomość sytuacji przytłacza nas na moment. Staram wyobrazić sobie pozostałe kopie mnie, identyczne nie tylko pod względem wyglądu, ale i umysłu.

- Ukradłem to z Tower w trakcie ucieczki z gabinetu pani North.

Wszelkie ślady dobrego humoru w oczach Rhysa zniknęły bezpowrotnie. Noah i Olive siadają na drugiej kanapie.

- Co to właściwie oznacza? - pytam. - Dla mnie.

Rhys wzrusza ramionami.

- Wszystko. To, że już zabrali ci twoje wspomnienia, by podać je kolejnej Mirandzie czy tej samej dziewczynie o innym imieniu. Kiedyś znałem Petera i Noaha. - Spogląda na siedzących na kanapie Olive i Noaha. - Znałem też Olive. I ciebie, Mirando. Gdy uciekłem, skopiowałem swoje wspomnienia z nadzieją, że spotkam ludzi z pozostałych zespołów. Wtedy musiałbym... wytłumaczyć im i pokazać prawdę. A zobaczenie czegoś na własne oczy równa się uwierzeniu w to. Mógłbym gadać z tobą przez cały dzień, ale nie uwierzyłabyś dopóty, dopóki nie przekonałabyś się na własne oczy.

- O czym?

- O tym, dlaczego musimy ich powstrzymać. Dlaczego nie możemy przegrać.

- Skoro pierwotny zespół Alfa nosił nasze imiona
- odzywa się Olive - dlaczego zespół Beta ma inne?

Rhys ponownie wzrusza ramionami.

- Domyślam się, że utrzymanie kontroli nad kilkoma osobami o tym samym imieniu musiało sprawiać kłopoty. Jeśli zawiedziemy, a oni stworzą kolejny zespół, dajmy na to Gamma, założę się, że jego członkowie również będą nosili inne imiona. - Zwraca się do mnie: - Lepiej będzie, jeśli się położysz. Mówię serio.

Kładę się posłusznie, czekając na to, co ma nastąpić. Rhys waha się.

- Co znowu?

- To nie będzie przyjemne.

- Jakoś to zniosę. - A przynajmniej mam taką nadzieję. Delikatnie unosi moją głowę, zupełnie inaczej, niż kiedy dotykał mnie ostatnim razem, zakłada mi opaskę na oczy, blokując widok Noaha i Olive. Metalowa opaska z początku jest lodowato zimna, a potem rozgrzewa się pod wpływem ciepła mojej skóry.

- Rozluźnij się - mówi uspokajającym głosem. - Odpręż się, Mirando - dodaj e, gdy w moją czaszkę wbija się tysiąc ostrzy.

Otwieram oczy.

Siedzę przed komputerem. Na ekranie widać trójwymiarowy obraz Cleveland. Stukam w kilka klawiszy, a po mieście rozprzestrzenia się różowawoczerwona chmura. Na dole widać napis: „Potrzebne Róże: 1”. Liczba rośnie, w miarę jak chmura się rozrasta, aż obejmie cały obszar numer siedem.

Ogarnia mnie przerażenie. Zakrywam twarz dłońmi i dopiero wtedy zauważam, że należą, do Rhysa.

Jestem Rhysem.

Zamykam oczy. Gdy je otwieram, jestem w pokoju identycznym jak ten w domu i jak pokój zespołu Beta. Po obu stronach stoją piętrowe łóżka, ale po le-

wej znajduje się dodatkowe. Widzę Petera i Noaha. Jest też Miranda siedząca naprzeciwko Petera, zmagająca się z supłem na sznurowadle. To ja, tylko że to nie ja. To oryginalny zespół Alfa...

Gdzie teraz przebywają?

- Nie rozumiecie - mówię. Głos Rhysa wydobywający się z moich ust brzmi nieco inaczej niż ten, który znam.

Peter kręci głową.

- Czego dokładnie nie rozumiemy, Rhys?

- Posłużą się nami w terenie. Widziałem komputerową symulację. Chcą nas przetestować na terenie Cleveland.

Miranda wybucha śmiechem.

- To niedorzeczne. Wiesz, jak idiotycznie to brzmi? Kiwam głową.

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę.

Olive zeskakuje z górnego łóżka.

- Nie zmuszą nas do zrobienia czegoś, czego nie chcemy. Sami wiecie, jacy jesteśmy już silni.

Noah również zeskakuje z łóżka, a potem rozpoczyna serię rozciągających ćwiczeń przed wieczorną misją.

- Nie przesadzasz trochę? Skąd wiesz, co tak naprawdę widziałeś?

Peter unosi dłonie w pojednawczym geście.

- Ludzie, przestańcie. Skoro Rhys mówi, że coś widział, to faktycznie coś widział.

Wyrzucam ręce w górę.

- Posłuchajcie. Jak myślicie, dlaczego tu jesteśmy? Jaki jest nasz cel?

Miranda wstaje z łóżka.

- Rhys, mów ciszej.

- Nie rozkazuj mi - odpowiadam.

Miranda wzrusza ramionami.

- Jak chcesz. Zaraz przyprowadzę mamę, a ona powie ci, że kompletnie zwariowałeś.

Powstrzymuję ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Spogląda na Olive, a potem na mnie.

Dlaczego się tak zachowuje? świetny plan - opowiedzenie jej matce o okropnościach, jakie odkryłam, podczas gdy to właśnie ona za nimi stoi. Jej jasnozielone oczy wytrzymują mój wzrok.'

- Usiądź, Mirando - mówię.

Noah wybucha śmiechem, siedząc na podłodze i rozciągając się.

- Teraz ty wydajesz nam rozkazy?

Tylko Peter bierze mnie na poważnie. I być może Olive, która jest cicha i niepewna jak zwykle. Są zbyt ufni. Zawsze tacy byli. Mieszkaliśmy tu od lat, trenując, ucząc się, jak kontrolować moc, którą nie do końca rozumiemy. Nie powinnam zaglądać do serwerowni, ale to wcale nie zmienia tego, co widziałam. Nadal pamiętam nagłówek...

PROJEKT RÓŻA

PLAN EMISJI FALI DLA MIASTA

Min: Cztery (4) Róże

A później, na dole...

Dwie Róże mogą zostać użyte skutecznie w mniejszych miastach. Zalecane łączenie w pary z partnerami.

Róża Numer Jeden i Trzy mogą być łączone w zespół. Niezalecane jest łączenie Róży Numer Trzy i Pięć. Nie zaleca się łączenia dwójki tych samych klonów. Róża Numer Dwa i Cztery mogą zostać użyte w każdej konfiguracji.

Silę się na ostatni apel do moich kolegów.

Nadali nam numery. Symulacja określała, w jakiej konfiguracji możemy zostać wykorzystani. Tam było napisane: „Plan emisji fali dla miasta”. Sami mi powiedzcie, co to znaczy. W symulacji powiedziano, że jesteśmy klonami.

Olive o mały włos nie parska śmiechem.

- Klonami, tak? Nieźle mnie zagiąłeś.

Noah w końcu podnosi się z podłogi, kładzie rękę na piersi.

- Przysięgasz na Boga, że nie kłamiesz?

- Dowcipy Rhysa są zwykle bardzo wiarygodne - mówi Peter.

Biorę głęboki oddech.

- Przysięgam. Widziałem to.

- W takim razie przyjrzyjmy się temu - proponuje Noah. - Prawdopodobnie źle coś zrozumiałeś, ale nie zaszkodzi, jeśli sami to obejrzymy. A kiedy okaże się, że wyszedłeś na idiotę, będziesz sprzątał łazienkę przez następne sześć miesięcy.

- Zgoda - mówię.

Noah zerka ponad moim ramieniem, a ja odwracam się. Matka Mirandy stoi w drzwiach z uniesioną w górę jedną, idealnie wyprofilowaną brwią. Jest równie piękna, jak jej córka. Nie skończyła jeszcze czterdziestu lat, a na jej twarzy widać zaledwie kilka zmarszczek. Ma na sobie szary, surowy garnitur.

- Opuśćcie pokój - mówi pani North. - Chcę porozmawiać z Rhysem w cztery oczy.

- No nie wiem, pani North - odzywa się Noah.

Pani North przewraca oczami.

- Poważnie, Noah? Zabierajcie stąd swoje tyłki.

Wychodzą. Wpadłam w kłopoty i dobrze o tym wiedzą. Chcę krzyknąć za nimi, żeby zostali. Nikt nie rozumie powagi sytuacji, i to moja wina, że nie wytłumaczyłam tego wystarczająco jasno.

Mamy zostać wykorzystani do krzywdzenia niewinnych ludzi. Niezłe wyjaśnienie, co?

Mimo to pozwalam im wyjść. Dam szansę pani North żeby się wytłumaczyła, a potem podejmę kolejne kroki. Żyliśmy wygodnie od tak dawna, że nie dziwię się, iż stali się ślepi na prawdę. Gdybym sama tego nie widziała, również bym w to nie uwierzyła.

- Rhys - mówi pani North. Wskazuje na stół. Leży na nim plansza do gry w monopol. -Usiądź.

Siadam naprzeciwko niej, w pobliżu drzwi i broni, jaką ukryłam w swoim łóżku. Pani North jest naszym instruktorem sztuk walki. Nauczyła nas, jak korzystać z kija, miecza, naszych palców i stóp. Składa swoje mocne, a zarazem delikatne dłonie na blacie. Dłonie, które czułam tak wiele razy, lecz nigdy nie okazały swojej dobroci. Towarzyszyły mi zawsze na macie, kiedy byłam zbyt wolna, a jej cios przeszedł przez moją zasłonę, trafiając mnie w szyję lub

Pani North wzdycha i przesuwa kciukiem jeden z hoteli na planszy.

- Wydaje mi się, że każde wytłumaczenie, jakie ci podam, nie będzie wystarczające.

Oblizuję usta.

Pani North kiwa głową.

- Tak, rozumiem. Czego właściwie szukałeś, Rhys?

- Coś było nie tak, odkąd tylko pamiętam. Nawet moje najwcześniejsze wspomnienia są związane z tą wieżą, z całą naszą piątką mieszkającą w jednym miejscu. A pani nigdy nie wytłumaczyła nam dlaczego. Żaden z naszych rodziców tego nie zrobił. A co do reszty... wiedzą, że coś jest nie tak, ale boją się to dostrzec. A raczej nie chcą.

- Czego szukałeś, Rhys?

- Prawdy - mówię.

Pani North kiwa głową.

- Znalazłeś ją?

- Tak. Wychowaliście nas do bycia bronią. Potrafimy tworzyć strach z niczego, a *ja* założę się, że są ludzie, którzy zapłacą za tę moc. Stworzyliście... nasze kopie. - Wypowiedzenie tego słowa na głos sprawia, że czuję się idiotycznie, ale i tak je mówię. - Klony.

Mój własny ojciec zmarł wiele lat temu, ale pozostali rodzice zostali tu, żeby pomóc nas wychować. A to dlatego, że jesteśmy wyjątkowi, mówili. Że jesteśmy rodziną.

- Mylisz się - poprawia mnie pani North.

- Nie.

- Owszem. Nie sklonowaliśmy was. Wy jesteście klonami.

- Co? Niemożliwe.

- Tak. Wy wszyscy. Miranda? Jak ci się zdaje, kim ona jest? Spójrz na mnie. - Zielone oczy pani North są upstrzone brązowymi i zielonymi plamkami. - Przyjrzyj się mojej twarzy, Rhys. Kim jestem?

- Nie... - mówię. Zgadza się. Stworzyliśmy was. I możemy zrobić z wami, co nam się tylko podoba. - Milknie na chwilę, pozwalając, żeby to do mnie dotarło.

- Co się teraz stanie?

W ramionach pani North widać napięcie. Dopiero niedawno udało mi się pokonać ją w pojedynku.

Pani North rozpina przód marynarki.

- Zatrzymam cię w odosobnieniu i wstrzymam podawanie zastrzyków na pamięć. Po jakimś czasie zapomnisz o wszystkim, a potem wrócisz do pozostałych. W ich przypadku będę musiała postąpić tak samo. To twoja wina, Rhys. Twoja wina. Wścibiasz nos w nie swoje sprawy, a później dochodzi do nieprzyjemnych sytuacji.

Myślę o powrocie do poprzedniego stanu rzeczy. O tym, że nie będziemy mieć o niczym pojęcia. Efekt będzie taki sam - wykorzystają nas jako broń ostateczną. Nie mogę na to pozwolić. Nie dopuszczę do tego, żeby zmusili mnie do zapomnienia o wszystkim.

Pani North zdejmuje z nadgarstka cienki zegarek.

- Pójdiesz ze mną dobrowolnie czy mam cię zmusić?

Przez długą chwilę żadne z nas nie rusza się z miejsca.

Pani North mruga. Zeskakuję z krzesła i rzucam się w stronę swojego łóżka. Pod poduszką mam schowany pistolet. Nie wolno nam trzymać w pokoju żadnej broni, ale ja zignorowałam ten zakaz. Pani North wchodzi na stół i skacze. Za sekundę mnie zaatakuje. Wsuwam dłoń pod poduszkę, czując pod palcami dotyk chłodnej stali. Zaciskam wokół niej dłoń, gdy pani North uderza mnie w tył głowy tak mocno, że robi mi się czarno przed oczami. Zaciska wokół mnie ramiona i rzuca mną przez pokój. Ładuję na plecach, ślizgając się po podłodze, ale ona nie widzi, że zaciskam dłoń na broni. Celuję w jej serce i strzelam. Pistolet odskakuje w tył, a kula wyrywa w jej piersi czerwoną dziurę. Robi jeszcze jeden krok i upada na kolano. Zakrywa dłońią dziurę w bluzce i osuwa się na ziemię.

Nie tracę ani chwili. Podnoszę się z podłogi i zbieram do plecaka wszystko, co mam pod ręką. Klękam przy pani North i sprawdzam puls. Jej serce nadal bije. Przykładam lufę do jej czoła. Nie mogę się jednak zmusić, żeby pociągnąć za spust. Nie mam pojęcia dlaczego. Może przez to, że przez te wszystkie lata była dla mnie i reszty jak matka? Nawet jeśli bywała tak brutalna, jak tylko mogła, pomogła mi wychować. Wiem, że to kłamstwo, ale nic na to nie poradzę.

Obca pamięć

Nie umiem pociągnąć za spust. Wylot lufy zostawia różowy ślad z przypalonej skóry na jej czole.

W drzwiach pojawia się strażnik z uniesioną bronią. Strzelam mu między oczy. Osuwa się w przejściu.

Wstaję, posyłając pani North ostatnie spojrzenie.

Potem uciekam.

Przede mną pada jeszcze więcej strażników, mężczyzn bez twarzy, którzy byli tu przez cały czas, lecz nigdy nie zamienili ze mną ani słowa. Gina. W gabinecie pani North odnajduję jeszcze więcej amunicji oraz dziwną metalową opaskę. Wrzucam to wszystko do plecaka. Na dnie szafki znajduję ukryty spadochron, kilka zwitków banknotów oraz kasetkę z zastrzykami. Co chwila zerkając w stronę drzwi, napelniam plecak, aż pęka w szwach. To dzięki pani North, która trzymała u siebie spadochron i wystarczająco dużo gotówki w razie ucieczki. Pamiętam, żeby jej któregoś dnia podziękować, o ile uda jej się przeżyć.

Zamykam oczy, a po chwili otwieram je.



Teraz stoję przy oknie wychodzącym na miasto i jezioro. Za moimi plecami słychać odgłosy wystrzałów. Okno rozpryskuje się w drobny mak, a ja przeskakuję przez odłamki. Wiatr targa moimi włosami. Czuję gwałtowne szarpnięcie, gdy spadochron się otwiera. Czuję zapach róż.



Zamykam oczy.

Jesteś Mirandą. Nie Rhysem. Mirandą. Jesteś Mirandą.

Mirandą North.

Ale jednocześnie jestem Rhysem.

Gdy otwieram oczy po raz kolejny, zatracam się kompletnie.

Jestem w lesie. Baza zespołu Beta jest w pobliżu - widziałam inne wersje nas trenujące w lasach. Są niemal tak dobrzy jak my, może rok do tyłu.

Doktor Tycast sprawia wrażenie całkiem miłego faceta. Zastanawiam się, czy mogę ostrzec zespół Beta bez narażenia się na śmierć. Mój zespół Alfa to przegrana sprawa. Są w lesie, ścigają mnie, ślepi na prawdę. Myślą, że oszalałam. Moi przyjaciele zwrócili się przeciwko mnie z powodu kłamstwa. Zostaną wykorzystani. Sprzedani, by zabijać. I nie ma rzeczy, którą mogłabym zrobić lub powiedzieć, żeby przekonać ich, iż jest inaczej.

- Rhyyyyyyys! - Ktoś mnie woła. Są blisko. Wskazuję na niską gałąź pobliskiego drzewa i zaczynam się wspinać. Nie ma znaczenia to, że mnie zabiją. Liczy się tylko to, co się z nimi stanie, gdy już to zrobią.

Istnieje tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić, żeby ich uratować.

Czekam godzinę w gałęziach. Może trochę więcej. Siłą woli utrzymuję płytki oddech. Mięśnie mam rozluźnione, lecz gotowe do walki. Wtem widzę Petera kucającego pod drzewem, zupełnie nieświadomego faktu, że znajduję się tuż nad nim. Świdruje wzrokiem jakieś krzaki po drugiej stronie ścieżki, zachowując kamienny spokój. Dostrzegam w tym swoją szansę. Ześlizguję się z gałęzi najciszej jak potrafię i spadam na dół, wy-

ciągnąc rewolwer. Ładuję tuż za nim i wstaję. Peter, który mógł mi uwierzyć. Peter, który jest sprawiedliwy wobec wszystkich.

Strzelam mu w tył głowy. Znow rzucając się do biegu. Las gęstnieje wokół mnie. Gałęzie czepiają się kombinezonu. Hałasuję jak stado słoni. Przeskakuję ponad wielkim krzakiem, wprost na polanę. Niebo jest fioletowe i upstrzone gwiazdami. Noah stoi na polanie ze swoim mieczem.

- Kogo zastrześliłeś? - pyta. Oddycha ciężko.
- Petera.
- Dlaczego, Rhys? Dlaczego?
- Dlatego że nie pozwolę, by zmienili nas w potwory. Pani North sprawi, że o wszystkim zapomnimy.
- Nie robi tego. Musisz jej ufać. - Noah zrzuci karabin z pleców i trzyma go pionowo, lufą w dół.

Wskazuję na rewolwer.

- Lepiej tego nie rób.
- Oszalałeś? Powiedziała nam, że kompletnie ci odbiło. Ze twoje ciało odrzuca zastrzyki na pamięć.
- Posłuchaj sam siebie. Zastrzyki na pamięć. Kim my właściwie jesteśmy, Noah? Po co tu jesteśmy?
- Zabiłeś Petera.

Unosi karabin, lecz jest zbyt wolny. Zupełnie jakby dawał mi czas lub bał się strzelić. Pociagam za spust, a na jego czole rozkwita jaskrawoczerwona dziura. Noah znika w wysokiej trawie.

Olive wyskakuje z uniesionym mieczem zza linii drzew, za którymi się chowała. Obracam się i tracę broń, gdy wytrąca mi ją z dłoni. Kopie mnie w jabłko Adama. Upadam w trawę, walcząc o złapanie tchu przez bolące gardło. Wskakuje na mnie, wrzeszcząc, i unosi miecz nad głowę. Mój własny miecz zaklinował się w pasie pod jej biodrem, więc wbijam kolano w jej pośladek. Olive stacza się ze mnie. Czubek jej mie-

cza wystaje z ziemi obok mojej głowy. Chwytam ją za nogę i przewracam, przyciągając do siebie. Jedną ręką ściskam ją za gardło, a drugą przyszpilam do ziemi rękę. Wystarczy szybko pociągnąć delikatne kości nadgarstka, by broń wypadła jej z palców.

- Wybacz - szepczę, dusząc ją do momentu, w którym drobne naczynia krwionośne w białkach jej oczu zaczynają pękać. Olive przestaje walczyć. Ściskam jeszcze mocniej.

Aż w końcu mam pewność, że jest martwa. Wybucham płaczem. Wielkie łzy spadają na czarny kombinezon Olive. Teraz przynajmniej nikt nie wykorzysta moich przyjaciół do skrzywdzenia kogokolwiek. Nikt nie sprawi, że o wszystkim zapomną.

Ześlizguję się z niej, nadal płacząc, i przypadkiem udaje mi się znaleźć broń w wysokiej trawie. Wstaję i ocieram łzy przedramieniem. Nie mogę złapać tchu. Gdy otwieram oczy, Miranda stoi na skraju wysokich traw. Na jej twarzy malują się rezygnacja i smutek. Żałuję, że nie mogę powiedzieć czegoś, co sprawi, że poczujemy się lepiej.

- Kocham cię - mówi.

Znów zanoszę się płaczem. Twarz mam ściągniętą, policzki obolałe. Mimo to mierzę do niej z pistoletu, choć drży mi ręka.

- Nie rób tego - mówi. - Kocham cię, Rhys. Jesteś moim bratem.

Czy naprawdę tak myśli, czy to tylko puste słowa? Czy to kolejny podstęp? Czy to ma

jakiegokolwiek znaczenie? Nie mogę jej ufać. Przyszła tu z pozostałymi.

- Pokaż dłonie, Mirando.

Unosi ręce i wychodzi na polanę. W oddali słyszę helikopter, stały rytmiczny szum jego wirnika.

- Nie podchodź bliżej - mówię.

Ponieważ to Miranda, ignoruje mnie i podchodzi bliżej. Wkrótce stoi ze mną twarzą w twarz. Moja determinacja topnieje, gdy odpycha broń i obejmuje mnie. Drży na całym ciele.

Boi się.

- Chodź ze mną - mówi. - Wróc do domu.
- Nie mogę.
- Wybacz, Rhys.

Wyciąga zza pleców nóż i odsuwa się, chcąc trafić mnie w gardło. Blokuję cios przedramieniem. Ostrze rozdziera mój kombinezon i skórę, odbijając się od kości. Zalewa mnie fala oślepiającego bólu. Przystawiam jej broń do piersi i strzelam. Wstrzymuję oddech. Wyciągam nóż z ręki i chwytam ją, gdy osuwa się na mnie. Dziewczyna wpatruje się w moje oczy.

- Mam nadzieję, że masz rację - szepcze. - Nie wierzę, że tak jest, ale mam nadzieję. Mam nadzieję, że ty...

- Tak - mówię.

- Więc zabij ich wszystkich. - Kładzie czoło na mojej piersi i umiera.

Teraz jestem zupełnie sama, ale to nie czyni mnie smutną. Po moich policzkach nie spływają łzy, bo wyparowały przez gniew. Trzęsącymi się dłońmi kładę Mirandę na trawie, obok członków jedynej rodziny, jaką znałam.

Stworzyli nas do bycia bronią, a ja mam zamiar pokazać im, co się stanie, gdy nie używa się jej z należytą odpowiedzialnością.

Zabiję ich wszystkich, tak jak powiedziała Miranda.

Powoli opuszczam las.

Otwieram oczy i wybucham płaczem. Szloch wstrząsa moim ciałem. Widok Rhysa porusza coś w moim wnętrzu. Wyciągam ku niemu rękę, a on robi to

samo. Chowam twarz w jego ramieniu i płaczę bez końca. I to nie przez pulsujący ból głowy w miejscu, w którym dotykała jej metalowa opaska, tylko przez przerażenie, jakie odczuwał, a które stało się teraz moim udziałem. Nadal czuję opór spustu i strzałę bólu przeszywającą jego serce wraz ze śmiercią każdej osoby, którą zabił. Strata przyćmiewa wszystko, co do tej pory czułam. Ten ból to jedyny powód, dla którego nie wybiegłam z krzykiem z mieszkania i nie odepchnęłam go ze wstrętem. I choć brzmi to niewiarygodnie, rozumiem, dlaczego to zrobił.

- Teraz już wiesz - mówi.

- Zabiłeś ich.

- Tak.

- I zabiłbyś także nas...

- Gdybyście nie odkryli prawdy na własną rękę lub gdybym nie mógł pokazać wam tego na czas...

Jego wspomnienia zostają ze mną, lecz ich żywe kolory blakną, aż w końcu znów mogę normalnie oddychać. Rhys obejmuje mnie przez cały czas. Chcę spytać, gdzie jest Noah, ale wiem, że go tu nie ma. W przeciwnym razie stałby u mojego boku. Za oknem południe już dawno minęło. Patrzę na zegarek na kuchence. Wskazuje trzecią czterdzieści siedem. Spędziłam wiele godzin we wspomnieniach Rhysa, choć mam wrażenie, jakby upłynęło tylko kilka minut.

- Dlaczego jesteście inni?. - pytam.

Jego oddech łaskocze mnie w ucho, gdy mówi:

- Wasz zespół był pierwszym, jaki wychowano bez jakiegokolwiek wpływu „rodziców”. Trafiliście tam rok po nas, a obecny zespół Beta jest rok młodszy od was. Możliwe, że zamysłem twórców było trzymanie mojego zespołu z dala od poznania prawdy. Czegoś, czego nigdy nie poznaliście w miarę waszego dorastania.

Odsuwa się. Chcę ukryć swoją spuchniętą, zapłakaną twarz, ale on przykłada mi dłoń do policzka.

- Wasz zespół nigdy mnie nie znał - ciągnie dalej. - Nawet jeśli istnieją jakieś inne wersje mnie, to nigdy ich nie spotkałem. Może jestem wyjątkowy. Albo to oni usunęli mojego klona z waszych wspomnień.

Urywa, marszcząc jasne brwi.

- Ale to nie tłumaczy, dlaczego użyłeś opaski, a pozostali nie... - mówię.

Kręci głową i wzdycha.

- Nie wiem. Wiem za to, że tatuaż dla Bet przyszedł krótko po tym, jak odszedłem. To była tylko kwestia czasu, zanim i was zaczęliby w pełni kontrolować.

Wycieram nos o przedramię.

- A nas nie będzie na miejscu, żeby walczyć.

- Dokładnie. - Czeka przez chwilę, aż wezmę się w garść, pociągając nosem i wycierając łzy z policzków. - Nienawidzisz mnie? - pyta.

Pytanie zaskakuje mnie.

- Nie. - Siadam, a Rhys wstaje. - Gdzie są Noah i Olive?

- Wysłałem ich, żeby wydobyli mój zapas H9 i zastrzyków. Ukradłem tego wystarczająco dużo.

- H9 - mówię.

- Środek, którego użyjemy do zniszczenia ich laboratoriów. Domyślam się, że już go znacie.

Ogień, który strawił mój dom. O tak, znam go doskonale.

Rhys nie próbuje ukryć bólu widocznego w oczach. Może wcale nie dba o to, że go dostrzegę. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak to jest nas spotkać - niemal identyczne kopie jego drużyny. Drużyny, którą zamordował, żeby ocalić ją od losu potworów. Nie mogę ogarnąć tego umysłem. Musi istnieć jakieś

inne wyjście. Sens ma jedynie to, że zabije nas, nim będzie za późno, zanim nas złapia.

- Skąd wzięłaś opaskę? - pytam, odpychając na bok tę okropną myśl.

- Ukradłem ją. Widziałaś to w gabinecie pani North. Razem z całkiem sporym zapasem serum na pamięć. Wziąłem też trochę broni i H9 ze zbrojowni zespołu Beta. Obserwowałem was od dawna, obie grupy, czekając na odpowiedni ruch. Musiałem wiedzieć, komu mogę zaufać.

Zaufanie. Koncepcja wydaje się zabawna, gdy jej znaczenie jest odwrotne. Przez cały czas mój instynkt podpowiadał mi, żeby mu nie ufać tylko dlatego, że go nie znam. Nie przestaję się zastanawiać, że może i my musimy zasłużyć na jego zaufanie. Chcę walczyć z tą dziwną więzią, jaką czuję względem niego. Nie sądzę jednak, żebym mogła to zrobić, tak samo jak nie mogę przestać być sobą. Mam w sobie cząstkę Rhysa. Nie ma już odwrotu. Nie ma sposobu na wymazanie wspólnych wspomnień.

- Nie martw się na zapas, ale czerwony odcień twoich oczu pogłębił się. Maszyna działa...

- Jak?

- Przeszywa twoją czaszkę mikroskopijnymi igłami. Są zbyt cienkie, żeby dostrzec je gołym okiem. Gdy już przedostaną się do twojego mózgu, mogą odtworzyć wspomnienie, jakby ono naprawdę miało miejsce. Domyślałam się, że dotyczy to również twoich oczu.

Myśl o igłach w oczach wcale nie poprawia mi humoru.

- Zaprojektowali to, żeby stworzyć nowe wersje nas? Żeby przechowywać nasze tożsamości?

- Nie wiem, do czego innego miałyby służyć.

Och, jestem pewna, że istnieje mnóstwo nikczemnych pomysłów, dla których można to wykorzystać.

- Pokażesz to innym?

Kręci głową i znów siada na kanapie.

- Nie. Nie powiem im. Nie, dopóki to się nie skończy.

- Pokaż im. Mnie pokazałeś.

- Za pierwszym razem to zbyt bolesne. Pod względem fizycznym. A przynajmniej dla mnie. Skoro mamy odbić Petera, muszą być gotowi. Nie chcę ich niczym rozpraszać. Mogą nie znieść tego tak dobrze jak ty.

- Tak dobrze jak ja?

Wzrusza ramionami.

- W końcu nadal tu jesteś.

Kiwam głową. Nagle czuję się niezręcznie sama na kanapie. Uczucia Rhysa dla drugiej

Mirandy przepływają przeze mnie, gdy je sobie przypominam. To, jak dbał o nią i troszczył się jak o własną siostrę.

Na pewno to widzi.

- Nie przejmuj się. Wiem, że nie jesteś Miranda, którą znałem. Wiem o tym.

- W porządku. - Nagle coś przychodzi mi do głowy. - Jak się nazywasz?

- Rhys...

- Chodzi mi o twoje nazwisko - mówię.

Zaciska usta.

- Nazwisko mojego ojca to Noble. Ten głupi kompas pochodził z misji treningowej, gdy byliśmy dziećmi. Domyślałam się, że wasz zespół przeszedł tę samą misję, tę, na której wszyscy zaczynacie na różnych miejscach na mapie? Nigdy nie dostałem kierunku. Jestem po prostu Rhys.

Nie pamiętam żadnej misji.

- A pani North?

Prawie się uśmiecha.

- Tak nasi twórcy kazali na siebie mówić. Pani North, pan West. Chyba nie ufali nam na tyle, żeby zdradzić swoje prawdziwe nazwiska. Dowiedziałem się, jakie było nazwisko ojca, tylko dlatego, że powiedział mi o tym w nocy, kiedy zniknął.

- Co się stało?

- Zniknął nad ranem. Po prostu wyparował. Powiedzieli nam, że umarł. Nie podali żadnego innego wytłumaczenia.

Drzwi mieszkania otwierają się. Pół sekundy później Rhys trzyma w dłoni pistolet. Widok broni sprawia, że znów robi mi się niedobrze.

Okazuje się, że to tylko Noah i Olive niosący ogromne czarne worki. Noah widzi mnie i upuszcza worek na ziemię.

- Nic ci nie jest? - pyta, zatrzymując się w niewielkiej odległości. - Nie chciałem cię tu zostawiać.

- Wszystko w porządku. Czuję się dobrze.

Ale to nieprawda.

- Co widziałaś?

Kręcę głową.

- Porozmawiamy o tym później. Musimy się skupić.

- Mirando...

- Musisz mi zaufać, Noah. Proszę.

Otwiera usta, żeby powiedzieć coś więcej, ale Rhys klaszcze w dłonie i mówi:

- To mi się podoba. - Wstaje i podchodzi do kuchennego stołu, gdzie Olive liczy kawałki

H9. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko wspinaczce.

Ok

Bierzemy po kolejnym zastrzyku i dyskutujemy o tym, co mamy nadzieję osiągnąć.

Rhys chce spalić budynek do gołej ziemi, licząc na to, że dzięki temu zniszczy twórców na dobre i już nigdy nie będzie musiał mieć z nimi do czynienia.

Olive chce mniej więcej tego samego, żeby podobna sytuacja już nigdy jej się nie przytrafiła.

Noah chce uwolnić Petera i uzyskać więcej odpowiedzi na pytania co do tego, skąd się wzięliśmy i do czego zostaliśmy stworzeni, skoro doktor Conlin dała do zrozumienia, że istnieje wiele sposobów, dzięki którym można wykorzystać nasz potencjał.

Ja chcę wszystkiego. Chcę być wolna. Najbardziej jednak pragnę, by Peter wrócił na swoje miejsce, które jest wśród nas. Jeśli w tym celu będę musiała zrównać z ziemią wieżowiec i zabić twórców, to w porządku. Peter powinien przetrwać noc, ale zgodziliśmy się, że pozbawią go dostępu do zastrzyków, żeby znów wszystko zapomniał i mogli go wykorzystać. Odciągam na bok Olive, podczas gdy Rhys i Noah sprzeczą się co do planu sforsowania budynku.

- Jak sobie z tym radzisz? - pytam. Biorę z lodówki butelkę wody i upijam łyk.

Wzrusza ramionami.

- Chyba dobrze. Pamiętam tylko fragmenty. Pamiętam ciebie. Noah wydaje się znajomy. Przecież i tak nie mam innego wyjścia, jak pójść z wami, prawda?

Uśmiecham się.

- Wiem. Dla mnie na początku też tak było.

- To chyba nie takie trudne, ale też nie mam tego z czym porównać. Wydaje się... normalne. Ale wraca mi coraz więcej wspomnień. Może to dlatego, że nie minęło zbyt dużo czasu, odkąd wzięłam ostatni zastrzyk. Pamiętam doktora Tycasta i jazdę czarnym motocyklem po krętej drodze. Pamiętasz to?

- Tak. To był świetny dzień. - Prawdę mówiąc, nic nie pamiętam, ale chcę tego tak bardzo, aż boli.

Olive wygląda, jakby nie do końca mi wierzyła.

- Zrobimy to ponownie, kiedy to wszystko się skończy, dobrze?

- Jasne.

Wracam do stołu, przy którym siedzi Noah, kręcąc głową.

- Po wspinaczce będziemy wyczerpani. Nie ma mowy, żebyśmy się włamali, podłożyli ładunki i uciekli przez nikogo niezauważeni.

- Masz inny pomysł? - pyta Rhys, opierając się na krześle z ramionami założonymi na piersi.

- Tak. Rozwalimy ich od środka. Pójdziemy schodami tak jak normalni ludzie.

Rhys kręci głową.

- Nie znasz tamtejszego systemu bezpieczeństwa tak dobrze jak ja. Wspinamy się po ścianie budynku albo nie idziemy tam wcale. Nie musimy wspinać się całą drogę, Noah, wystarczy osiągnąć odpowiednią wysokość. Założę się, że będą obserwować lobby.

- Cóż, nie lubię być całkowicie odsłonięty na ścianie jakiegoś budynku, bez względu na to, czy jest ciemno, czy nie - ripostuje Noah.

Rhys wzrusza ramionami.

- Z pewnością są inne wejścia. Wszystkie obserwowane przez kamery.

Siadam przy stole.

- A w jaki sposób stamtąd wyjdziemy? - pytam.

- Dzięki spadochronom - mówi Rhys. Równie dobrze mógł jeszcze dodać: „To chyba jasne, prawda?”.

- Skąd wiesz, że to właśnie tam zajmują się klonowaniem? Mogą mieć do tego osobny ośrodek - zauważa Noah.

- Nie wiem. Ale są tam ojcowie i matki. To tam przeprowadzają badania. W podziemiach mogą mieć

więcej laboratoriów. Pamiętam, że schodziłem tam na dół jako dziecko.

Nie musi tłumaczyć, co oznacza zwrot „ojcowie i matki”.

To nasi „rodzice”.

- Podoba mi się pomysł zniszczenia czego tylko się da podczas poszukiwania Petera, ale chyba dobrze by było, gdybyśmy nie kręcili się po wszystkim w pobliżu budynku i kusili los. Co w takiej sytuacji robi wilk? Okalecza ofiarę, a potem czeka, aż osłabnie na tyle, by zadać śmiertelny cios.

- Wilki naprawdę tak robią? - pyta Noah.

- Właściwie to przed chwilą to wymyśliłam, ale chodzi o to, że wysadzenie w powietrze połowy budynku na pewno zostanie zauważone. Zachłanność w niszczeniu może się na końcu obrócić na naszą niekorzyść.

- Zapamiętam to - mówi Rhys, biorąc do ręki marker. Ton jego głosu sugeruje, że nigdzie nie odejdzie, dopóki zadanie nie zostanie wykonane, co jest mi jak najbardziej na rękę. Podchodzi do wielkiego okna z widokiem na miasto. W oddali widzę światła awaryjne i kilka zamaskowanych pojazdów kołowych toczących się po drodze. Rhys rysuje na szkle poziomą linię w miejscu, w którym kończy się wieża i zaczyna jej szczyt.

- Na górze znajduje się baza. Pierwsze piętro to miejsce, gdzie mieszkaliśmy. Na drugim mieszczą się laboratoria. Na trzecim trenowaliśmy. - Rysuje pionową linię od szczytu do podstawy budynku. - A tutaj są podziemia. Nie wiem, co się tam dzieje, ale wiem, że dociera tam winda. Taka, z której nie może korzystać reszta budynku.

- Czy H9 zniszczy cały gmach? - pytam.

Rhys zakłada skuwkę na marker i stuka nim o usta.

- Nie powinien. Ale kogo to tak naprawdę obchodzi? Jeśli zrobimy to dobrze, stopieniu powinna ulec wyłącznie górna część. Będą mieli mnóstwo roboty z uprzążaniem bałaganu, ale struktura wieżowca pozostanie nienaruszona.

Rozmazuje ślady markera dłonią, odwracając się.

Drapacz chmur majaczy w oddali, otoczony kłębamii dymu. Czeka na nas.

Z arsenału Rhysa, który tak naprawdę mieści się w jednej szafce, wyciągam prosty miecz i dodatkowy magazynek amunicji do karabinu. Noah również bierze karabin i dorzuca do tego kolekcję czarnych noży, które nosi zatknięte za pas przerzucony przez pierś. Rhys zostaje przy swoim duecie składającym się z pistoletu i miecza. Noah daje mi mikroskopijny radionadajnik do wsunięcia w ucho.

Olive wpatruje się w zbrojownię. Wyciągam w jej stronę swój miecz.

- Chcesz spróbować?

Patrzy na miecz, a potem na mnie. Wzrusza ramionami.

- W czym jestem dobra?

Uśmiecham się.

- Myślę, że jesteś świetna we wszystkim.

Wkłada rękę do szafki i wyciąga metalowy kij, a potem trzyma go w dłoniach, sprawdzając ciężar. Robi szybki wymach.

- Wezmę to - mówi.

- Jak na razie dobrze ci służył. - Przesuwam kostkami palców po kombinezonie na jej plecach. - Przyczep go tutaj.

Przykłada kij do namagnesowanej powierzchni zbroi, a potem wyciąga dwa pistolety i kaburę. Odsu-

wam się. Mam wrażenie, że to jej własny moment prywatności. Odkrywa na nowo broń, z którą ćwiczyła przez całe życie. Podnosi colta do światła, odciąga zamek i zagląda do komory z nabojami.

Opuszcza broń.

- Dziękuję. Za pomoc.

- Wiem, jak to jest.

Po zaopatrzeniu się w broń rozciągamy się na podłodze salonu. Trudno nam pozostać w bezruchu. Odnoszę wrażenie, jakby słońce miało już nigdy nie skryć się za horyzontem. Rhys rozdaje nam jedzenie i wodę. Noah włącza wieczorne wiadomości, lecz Rhys po kilku minutach wyłącza telewizor. Cały świat myśli, że doszło do jakiegoś ataku powietrznego, chemicznego lub biologicznego. Miasto jest objęte kwarantanną. Jedynie wojsko i komitet obrony cywilnej mogą wkroczyć na jego teren, dopóki nie stanie się znów bezpieczne. Pokazują materiał filmowy z helikopterów, na którym widać porzucone auta na ulicach i poturbowanych ludzi stojących sto stóp od blokady obstawionej uzbrojonymi żołnierzami. Ludzie są uwięzieni w mieście. Jestem wdzięczna, gdy Rhys wrywa kabel z gniazdka w ścianie.

Wkrótce niebieskie niebo robi się purpurowe. Key Tower sprawia wrażenie ciemnej i opustoszałej. Co piętro widać jakiś oświetlony gabinet. Karetki i żółte ciężarówki komitetu patrolują ulice, wyglądając jak czerwone światełka poruszające się między budynkami. Nasza psychiczna energia zniknęła, lecz centrum miasta nadal pozostaje wyludnione.

Nasz plan jest mniej niż idealny. Trzeba wspiąć się po ścianie budynku, w dodatku pozostając widocznym. Potem trzeba się włamać, podłożyć materiał wybuchowy, odbić Petera i uciec przy pomocy trzech spadochronów, jakie mamy. To oznacza, że dwoje z

nas będzie musiało zejść na dół po ścianie czy jeszcze w jakiś inny sposób. Nie mamy czasu na znalezienie większej ilości spadochronów. Pogodziliśmy się z tym. Jesteśmy Różami i mamy przed sobą jasno wyznaczone zadanie, które postaramy się wykonać. Na razie noszę cienki spadochron na plecach, tak jak Olive i Rhys.

Gdy na zewnątrz robi się kompletnie ciemno, opuszczamy apartament i idziemy pustymi ulicami. Nad nami przelatują helikoptery, błyskając światłami reflektorów, ale z łatwością je omijamy. Przecież i tak nas nie szukają. Na końcu ulicy dostrzegam ludzi w białych skafandrach, chroniących przed szkodliwymi substancjami, którzy sprawdzają powietrze przenośnymi instrumentami. Musimy schować się w zaułku, gdy zza rogu wyjeżdża z rykiem pojazd kołowy. Jego wielki silnik Diesla brzmi jak tysiąc uderzających naraz młotów. Żołnierze noszą pełne, osłaniające twarze maski gazowe i zielone plastikowe płaszcze.

Wkrótce docieramy do podstawy wieżowca. Odchylam głowę w tył i spoglądam na jego szczyt. Rhys celuje w niebo wyrzutnią haków i wypala. Rozlega się donośny brzdęk. Hak i linka fruną wysoko w nocne niebo. Nie widzę ani nie słyszę, żeby zaczęły o jakąś krawędź, ale Rhys pociąga za nie kilka razy.

- Widzicie? - mówi. - To całkiem bezpieczne. - Opiera stopy o ścianę budynku i zaczyna się wspinać. Po jakimś czasie znika w mroku, a ja tracę go z oczu.

Mija kilka minut, a potem słyszę trzask w słuchawce.

- W porządku, North. Możesz się wspinać.

Biorę głęboki oddech i chwytam linę. Nie boję się wysokości, ale jest różnica między skakaniem po dachach, które znasz, a wspinaniem się po ścianie wie-

żowca na linie podpiętej do czegoś, czego nie widać. Opieram prawą stopę o ścianę.

- Mirando - odzywa się Noah.
- Co?

Otwiera usta. Zamyka je.

- Uważaj na siebie.
- Zawsze na siebie uważam.

To zabawne, co powiedziałam, biorąc pod uwagę parę ostatnich dni. Skupiam się na swoich dłoniach, przekładając jedną za drugą. Moje okryte łuskowanym kombinezonem stopy mocno czepiają się podłoża. Mięśnie ramion i palce zaczynają palić z bólu, ale ignoruję go. Nie patrzę w dół. Czyjaś dłoń chwyta mnie za nadgarstek. Już otwieram usta do krzyku, ale okazuje się, że to tylko Rhys. Jestem na pierwszym parapecie. Rhys przerzuca mnie ponad krawędzią. Stawiam stopy na pewnym gruncie, a potem idę w stronę drugiej krawędzi, spoglądając na mroczne miasto. Jestem na wysokości jakichś stu stóp, może mniej.

Słyszę trzask w słuchawce.

- Olive, ty jesteś następna - mówi Rhys.

Teraz nie ma już odwrotu. Nie żebym chciała wracać. Mimo to wspinaczka znacznie nadwreżyła moje nerwy. Podczas gdy Noah i Olive mozolnie wspinają się na górę, ja mądrze wykorzystuję ten czas i siadam po turecku, żeby pomedytować. Jednak medytacja nie działa. Krew za mocno szumi mi w uszach. Wkrótce wszyscy stoimy na parapecie.

Rhys wyciąga miecz i uderza nim w pobliskie okno, które roztrzaskuje się na kawałki. Otwór jest wystarczająco szeroki, byśmy mogli się przez niego przeslizgnąć.

Wchodzimy do pogrążonego w ciemności biura, znajdujemy schody i zaczynamy wchodzić na górę.

Poruszamy się w wolnym tempie i na zmianę, włącznie z nasłuchiowaniem wszelkich najcichszych odgłosów, więc wejście na pięćdziesiąte siódme piętro zajmuje nam blisko dwie godziny. Rhys i ja przez cały czas wypatrujemy kamer ochrony, podczas gdy Olive i Noah pilnują nam tyłów.

Drzwi prowadzące na pięćdziesiąte siódme piętro są zamknięte. Żeby je otworzyć, trzeba wpisać kod na klawiaturze pomocniczej obok. Rhys odcina kawałek H9 i przykleja do panelu, a potem wciska w półmiękkiego materiału wybuchowego małego detonator w kształcie kuli. Zamek eksploduje ułamek sekundy później. Drzwi rozsuwają się ze świstem, a my wchodzimy do gabinetu.

Rhys wskazuje na sufit.

- Nad nami znajduje się pierwsze piętro. W tym rogu budynku znajdował się nasz pokój. Powinien być pusty.

- Powinien? - pyta Noah.

- Chyba tak. Przecież nie mam w oczach rentgena, prawda?

- Raczej nie.

- Dajcie spokój - przerywam im.

Rhys kręci głową, i wskazuje na czyjeś biurko, skopując na bok stertę dokumentów. Zdejmuje panel z sufitu, a potem wyjmuje większy kawałek H9 z woreczka i umieszcza na miejscu. Z dłońmi na suficie spogląda na nas z góry.

- Lepiej przesunąć się na drugą stronę gabinetu.

Robimy, co mówi. Dołącza do nas po chwili. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że materiał nie wypali, lecz zaraz potem z sufitu strzelają strumienie iskier wraz z kawałkami stopionej stali, która uderza w biurko. Mebel momentalnie staje w płomieniach. Kwa-

tera główna Projektu Róża została oficjalnie naruszona.

- Wybacz - mówi Rhys, zupełnie jakby właściciel biurka mógł go usłyszeć. Noah ściąga ze ściany gaśnicę i opryskuje blat białą pianą.

Gromadzimy się pod wypaloną dziurą i spoglądamy w ciemność. Otwór zmienia akustykę biura. Słyszemy puste pomieszczenie nad sobą.

- Okej. Kto pierwszy? - pyta Rhys.

- Zaczekaj. Trzeba to inaczej zrobić - mówi Noah. Rhys wyrzuca dłonie w powietrze.

- Och, cudownie. Akurat teraz dopadły cię wątpliwości.

- Właściwie to miałem je już wcześniej. Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy się rozdzielić.

Olive zaczyna kciukami o swój pas z bronią.

- Dlaczego?

Noah odwraca się do niej w przytłumionym świetle. Za jego plecami widzę wielką połąć jeziora Erie połyskującą w świetle księżyca.

- Pomyśl o tym. Cała nasza czwórka przeciskająca się ciasnymi korytarzami? Nie będziemy zbyt efektywni. Mogą nas schwytać wszystkich po kolei. Jeśli się rozdzielimy, podłożymy ładunki po przeciwnych stronach, a potem spotkamy w umówionym punkcie, pójdzie nam lepiej. Szybciej.

- Nie. Trzymamy się razem - mówię.

I choć jego propozycja jest przekonująca, istnieje zbyt wielkie ryzyko. Zbyt wiele niewiadomych. Nie pozwolę, żeby porwali jedno z nas i uwięzili, zmuszając pozostałych do szukania tej osoby lub pozostawienia jej w tyle. Albo wygrywamy jako zespół, albo wszyscy ginimy.

Olive kiwa potakująco głową.

- Robimy to, co powiedziała.

- Miranda ma rację - dodaje Rhys. - Tylko ja mam rozeznanie w tym budynku. Beze mnie się zgubicie.

Noah milczy. Przejmuję dowodzenie, przeskakując przez dziurę. Zachowuję ostrożność i nie dotykam dłońmi tłących się krawędzi otworu. Zamiast tego odbijam się stopą od dziury i wskakuję do pokoju wyżej. Dotknięcie żaru przez zaledwie ułamek sekundy sprawia, że spód mojego kombinezonu trochę się przysmażył. W powietrzu czuć zapach spalenizny.

Pokój jest zbyt ciemny, żeby rozróżnić jakieś szczegóły. Widzę jedynie obłe zarysy przedmiotów. Nagle robi się jasno, a z każdego kąta błyskają czerwone światła. W moich uszach odbija się potworny ryk alarmu.

Wiedzą, że tu jesteśmy.

Rhys wskakuje tuż za mną, jeszcze w powietrzu wyciągając miecz i pistolet. Kolejny jest Noah, który łąduje na czworaka i odbezpiecza karabin. W stroboskopowych czerwonych światłach wyglądamy upiornie.

- Noah, pilnuj drzwi! - krzyczy Rhys, wyciągając kostkę H9 ze swojej sakiewki i ciągle trzymając broń. Noah celuje z karabinu w drzwi, ja robię to samo.

Kątem oka widzę, jak Rhys odcina następny kawałek materiału wybuchowego i przykleja do sufitu. Dwaj żołnierze wpadają przez drzwi i walą się na ziemię, gdy otwieramy do nich ogień. Oddaję jedynie krótką serię, żeby oszczędzać amunicję. Liczba potencjalnych celów jest nieznana - może być tu cały tuzin żołnierzy lub więcej. I twórcy. Oraz Tobias i Nicole.

Przez tyk alarmu przebija się syk i skwierczenie topiącego się metalu, gdy H9 wgryza się w sufit. Do pomieszczenia wpada niewielki granat, kręci się wokół własnej osi. Rozpoznaję go jako granat, który ma dezorientować światłem i dźwiękiem, zamiast wybuchać

jak szrapnel. Odbija się raz od podłogi i znika w dziurze, którą zrobiliśmy w suficie pięćdziesiątego siódmego piętra. Biały rozbłysk światła i huk nie mają na nas żadnego wpływu. To raczej my mamy wpływ na strażnika, który wchodzi do środka, myśląc, że leżymy tu oślepieni i ogłuszeni.

Nowa dziura, którą stworzył Rhys, znajduje się dokładnie nad pierwszą, więc stopiony metal spada na dolne piętro i nie gromadzi się na tym. Po kilku sekundach dziura nad naszymi głowami przestaje płonąć. Noah kryje nasze tyły, gdy przeskakujemy przez nią, przetaczając się na plecy. Potknięcie oznaczałoby upadek z dwóch pięter na stertę na wpół ostygniętego poszarpanego metalu.

Kieruję karabin w stronę następnego zagrożenia.

Ale żadnego nie ma.

W tym pomieszczeniu nie ma żadnych błyskających świateł i alarmu, nie licząc stłumionego jazgotu pod nami. Jesteśmy w pokoju operacyjnym, pełnym wózków do transportu chorych i rzędów monitorów oraz fluorescencyjnych świateł. Panująca tu względna cisza jest niemal zaskakująca. Szkarłatne światła z dziury malują sufit na krwistoczerwono.

Tylko jedno łóżko jest zajęte. Od razu rozpoznaję opaskę otaczającą głowę leżącej dziewczyny. Rozpoznaję też kasztanowate włosy przyciśnięte do jej uszu.

To ja, kolejna Miranda.

Następny klon.

Podchodzę do niej, przerzucając karabin przez plecy. Noah zatrzymuje się obok mnie, mając na oku i muszce drzwi. Powoli zdejmuję opaskę z głowy dziewczyny. Jej ciało pod prześcieradłem jest nagie.

- Mirando - mówi do mnie Noah.

- Mają moją kopię.

Po mojej prawej Rhys wciska całą kostkę H9 w ścianę. Ustawia licznik. Cyfry migają na czerwono, a potem znikają.

Rozpoczyna się niewidzialne odliczanie. Patrzę na drugą wersję samej siebie.

Dziewczyna otwiera oczy.

Siada, gwałtownie nabierając powietrza. Odsuwam się i automatycznie podnoszę karabin.

Ściska się za pierś, która jest obnażona, bo opadło z niej prześcieradło. Nie zakrywa się jednak. Wygląda, jakby cierpiała z bólu.

- Zostałam postrzelona. Było mnóstwo krwi - mówi. Patrzy na mnie, jakbym miała dwie głowy. Później obejmuje wzrokiem całą naszą grupę. - Noah? Olive?

Noah patrzy na nią, a potem na mnie.

- O mój Boże.

- Co pamiętasz? - pyta Rhys. Obok łóżka znajduje zwiniętą w kłębek koszulę nocną, którą rozwija. Zakłada ją dziewczynie przez głowę i zmusza do przełożenia rąk przez rękawy.

Dziewczyna nadal ściska się za klatkę piersiową.

- Zostałam postrzelona. Noah, dlaczego mnie zostawiłeś? - Nie zanosi się płaczem, ale jej oczy napętniają się łzami. Rhys pomaga jej zejść z łóżka. Noah gapi się na nią z otwartymi ustami, przypominając sobie coś, czego ja nie pamiętam. Zostawił mnie. Ale skąd ona może o tym wiedzieć? Czy to jakaś koszmar-na sztuczka mająca na celu odwrócenie naszej uwagi?

- Noah! - krzyczę.

Do pokoju wpada jeszcze dwójka żołnierzy w hełmach z karabinami, którzy oddają serię w naszą stronę. Kula odbija się rykoszetem od kombinezonu Noaha. Strzelam i uszkodzam hełm żołnierza po lewej. Olive oddaje kilka strzałów ze swojej broni.

Noah sprawdza kombinezon.

- Niech to szlag. Bolało. - Znów wpatruje się w mojego klona.

Druga Miranda schodzi z łóżka, dygocząc na całym ciele, ubrana jedynie w cienką koszulę nocną. Olive bierze ją za rękę i ciągnie na tył- Przypilnuję jej - mówię do Rhysa. - Idźcie dalej.

Alarm wyłącza się. Światła w podłodze przestają migać.

Rhys kiwa głową i przygotowuje kolejną kostkę, chowając pistolet. Zostawiamy salę za sobą, idąc z jedną Różą więcej.

Przechodzimy do następnego pomieszczenia, a potem do kolejnego. Rhys nie mówi, ile czasu nam zostało. Część pokoi przypomina biura, część laboratoria. W każdym z nich zostawiamy kostkę H9, a nie tylko mały pasek. Wszystkie liczniki są zsynchronizowane.

Rhys trzyma ostatnie dwie kostki. Podaje mi jedną. Patrzy na mnie pytająco, jakby chciał powiedzieć „Chcesz?”. Kiwam głową, a on rzuca ją w moją stronę. Wciskam ją do sakiewki przytroczonej do pleców pod spadochronem.

Jedna rzecz staje się dla mnie całkiem jasna.

Petera tu nie ma.

- Zostało nam kilka minut - mówi Rhys.

Mam gęsią skórkę. To me powinno być takie proste.

I nie jest.

Wychodzimy z za rogu. Tobias i Nicole stoją przed drzwiami windy. Przyłapali nas na gorącym uczynku. Zastygamy w korytarzu, nie zawracając sobie głowy wyciąganiem broni, bo wiemy, że nie dadzą nam szansy. Tobias i Nicole celują do nas z karabinów. Kątem oka widzę, jak Noah powoli wycofuje się w głąb korytarza. Skoro zatrzymaliśmy się na rogu, ką,

pod jakim się znajduje, sprawił, że jest niewidoczny dla innych.

- Rzućcie broń - rozkazuje Tobias.

Klękam powoli, przekładając pas karabinu przez głowę i kładąc go na podłodze. Zastanawiam się, czy wiedzą, że zostało nam zaledwie kilka minut, zanim budynek zmieni się w prawdziwy wulkan. Wyciągam miecz i rzucam na podłogę.

Nicole uśmiecha się. W jej oczach jest złośliwość, której nigdy nie widziałam w oczach Olive. Ciekawe, co takiego zrobili, że zespół Beta jest inny. To nie może być wyłącznie zasługa tatuażu. A może złośliwość jest tylko spaczoną formą radości - w końcu to przecież oni wygrali.

- Gdzie jest Peter? - pytam z całym spokojem, na jaki mnie stać.

- W piwnicy - mówi Tobias, szczerząc zęby zza swojego karabinu. - Wiedzieliśmy, że przyjdziecie, więc pani North uznała, że najlepiej będzie trzymać go na dole. - Mruży oczy. - Gdzie jest Noah?

Skrada się za twoimi plecami. Noah przykłada palec do ust. Musiał przebiec jakimś równoległym korytarzem, żeby zajść ich od tyłu.

- Po prostu ich zabij - mówi Nicole. - Są zbyt niebezpieczni.

- Masz rację - odpowiadam. Noah staje obok Tobiasa, wytrącając mu karabin z rąk. Ja przetaczam się po podłodze i chwytam swoją broń. Rhys jest szybszy od nas wszystkich, kopniakiem wyrzucając swój pistolet w górę. Łapie go w powietrzu w chwili, w której Noah skreca Tobiasowi kark. Słysząc paskudne chrupnięcie kości. Nicole otwiera ogień. Błysk z jej broni oślepia mnie. Rhys również strzela, ale tylko raz. Nicole osuwa się na ziemię. Podbiegam i odkopuję jej karabin mimo tego, że jest już martwa.

- Ile czasu nam zostało?

Rhys zerka na zegarek.

- Sześć minut.

Druga Miranda zanosi się płaczem za moimi plecami.

Odwracam się na pięcie.

Olive leży na plecach z rozrzuconymi rękami.

Widzę wystarczająco dużo krwi, żeby od razu poznać, że część pocisków Nicole sięgnęła celu. Mimo to podchodzę do Olive i opadam na kolana. Podnoszę ją i przytulam do piersi, podczas gdy reszta stoi wokół, bezradna.

Nie ma nic, co mogliby zrobić.

Olive nie żyje.

Nie mam pojęcia, jak dużo czasu minęło, zanim Rhys zacisnął rękę na moim ramieniu.

- Musimy iść. Czas ucieka.

Moje łzy zdążyły obeschnąć, a jedyne, co we mnie pozostało, to ogień. Wydawało mi się, że wiem, czym jest wściekłość, ale się myliłam. Jestem wściekła na naszych twórców. Na pozostałe wersje nas. Na zmutowane mózgi zapewniające nam te niezwykle moce. Na cel naszego istnienia jako bycie czyjaś bronią. Na ludzi, którzy chcą nas wykorzystać. Na wszystko. Furia przepływa przeze mnie i daje mi siłę.

Kładę Olive na ziemi i podnoszę się, zrzucając z pleców spadochron.

- Co ty wyprawiasz? - pyta Noah.

Rhys przytwierdza ostatnią kostkę H9 do ściany. To nasza ucieczka.

Ich ucieczka. Nie moja.

- Schodzę do piwnicy - mówię.

Widzę błysk w oczach Noaha. Wydaje mu się, że może mnie powstrzymać. Wyciągam rękę, żeby go uciszyć, a potem rozkładam ramiona do uścisku. Nie

stawia oporu. Podchodzi bliżej, podczas gdy H9 wypala dziurę na zewnątrz. Ciśnienie powietrza ulega zmianie, a podmuch wiatru rozsypuje mi włosy dokoła twarzy. Chwytam Noaha za rękę i wytrącam go z równowagi. Staję za jego plecami i obejmuję go ramieniem za szyję. Z początku próbuje walczyć, ale nie chce mnie skrzywdzić. Rhys przygląda się, jak przydużam go na tyle, żeby stracił przytomność. Kładę go delikatnie obok Olive. Potem wciskam guzik windy.

Rhys patrzy na mnie, otoczony poszarpanymi krawędziami czarnej dziury.

- Załóż mu spadochron i ocuć. Wynoście się stąd. Spo tkamy się na zewnątrz.

Chce się ze mną sprzeczać, ale nie ma na to czasu. Kiwa głową. Wchodzę do windy.

- North.

Patrzę na guziki. Są tylko dwa - jeden oznaczony literą B i drugi z literą R.

Rzuca mi swój pistolet. Chwytam go w powietrzu. Następny w kolejce jest jego miecz - to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek trzymałam w dłoniach. Solidny, lekki, prosty, z wystarczająco ostrą głownią.

- Nazywam go Promieniem - mówi Rhys, kiwając głową w stronę miecza.

Czuję, że powinnam powiedzieć mu coś więcej, jakieś pożegnanie. Istnieje między nami więź, której nie umiem wytłumaczyć. Jego wspomnienia są wszechobecne w mojej głowie. Nie muszę się jednak żegnać, bo niedługo się z nimi zobaczę. Tylko najpierw muszę wyciągnąć stąd Petera.

- Ochroniaj ich - mówię. Wciskam guzik oznaczony literą B.

Patrzymy sobie w oczy, gdy drzwi między nami zamykają się. Winda zjeżdża w dół.

Sprawdzam magazynek pistoletu - jest w nim sześć naboí. Widocznie załadował go między postrzeleniem Nicole i odciąganiem mnie od Olive. Karabin, który zostawiłam za sobą, może i był nowoczesny, ale dość nieporęczny. Rozumiem już, dlaczego Rhys wybrał takie połączenie broni. Samo ich trzymanie sprawia, że czujesz się elegancko. Może jeśli pożyję wystarczająco długo, sama będę ich używać.

Winda zjeżdża w dół szybciej niż zwykle. Czuje lekkość w żołądku i obserwuję mijane piętra na małym wyświetlaczu między dwoma guzikami. Odsuwam kciukiem kurek pistoletu i celuję w drzwi.

Kabina windy zatrzymuje się wystarczająco gwałtownie, żeby ugięły się podę mną kolana.

Drzwi rozsuwają się na boki.

Czarny jak smoła tunel prowadzi w stronę dziwnego niebieskozielonego blasku. Opuszczam kabinę, trzymając broń prosto. Miecz ściskam ostrzem w dół. Drzwi zamykają się z sykiem. Słychać brzdęk napinających się lin, gdy winda rusza.

Idę tak przez całą drogę. Jeden krok, potem następny. Jedynym słyszalnym dźwiękiem jest mój płytki oddech i chrzęst żwiru pod stopami. Pistolet robi się ciężki, ale trzymam go mocno.

Jakieś sto stóp dalej natrafiam na pokój z czarnym sufitem, który może sięgać nawet tysiąc stóp w górę. W powietrzu słychać jednostajny, uspokajający szum. Wydobywa się z czterech rzędów zbiorników stojących pod ścianą. Każdy jest o trzy głowy wyższy ode mnie. Nie ma tu niczego poza tym. Wszystkie zbiorniki połyskują na niebieskozielono. Wszystkie oświetlają osoby zawieszane w ich wnętrzu. Każdy rząd jest opisany imieniem...

PETER

NOAH

MIRANDA

OLIVE

Brakuje imienia Rhysa.

Rząd Mirandy jest trzeci od lewej. Dwa zbiorniki są puste i ciemne. Wygląda na to, że każdy zawiera inną pod względem wieku wersję nas. Niektóre są jeszcze dziećmi, część wydaje się być w naszym wieku.

To stąd się wzięłam. Tutaj się urodziłam. Nie przychodzi mi do głowy żadna sensowna myśl. Jest tylko ogólny brak całkowitego zrozumienia. I pytanie - czy to w ogóle możliwe?

Wpatrując się w pomieszczenie pełne zbiorników, opuszczam broń do boku. Podnoszę ją, gdy dostrzegam dwie postaci w drugim końcu pomiędzy drugim a trzecim rzędem.

To pani North, od której się wzięłam. Peter klęczy obok niej z rękami związanymi za plecami i zakneblowanymi ustami. Ma podbite oko. Wokół knebla widzę zaschniętą krew. Nie tracę ani sekundy. Po prostu naciskam spust, a odrzut pistoletu zdrapuje mi skórę z dłoni. Niekończący się sufit pochłania dźwięk. Z wyłotu lufy unosi się dym, a pani North znika. Peter klęczy, krzycząc coś pod materiałem knebla. Robię kilka kroków naprzód, nienawidząc sposobu, w jaki zbiorniki rzucają na mój kombinezon widmowe światło.

Po prawej miga mi fragment czyjejś pokrytej łuskami zbroi. Strzelam ponownie, trafiając w jeden ze zbiorników. Rozlega się trzask plastiku, a potem ze środka wylewa się strumień niebieskozielonej mazi, która rozpryskuje się na podłodze. Kpi sobie ze mnie. Chce, żebym wystrzelała wszystkie naboje. Kątem oka znów dostrzegam jakiś ruch. Patrzę w górę. Pani North stoi na szczycie jednego z moich zbiorników. Unoszę miecz w momencie, w którym jej ostrze opada. Chciała,

żebym ją zobaczyła. Mogła przecież zeskoczyć na dół i zaatakować mnie od tyłu.

Moja twórczyni bawi się mną.

Przeskakuje ponad moją głową w stronę rzędu Noahów. Unoszę pistolet, a ona wytrąca mi go z dłoni, zanim udaje mi się wycelować. Broń wypala. Między nami eksploduje smuga pomarańczowego światła. Pistolet koziołkuje po ziemi i zatrzymuje się w kałuży. Pani North zeskakuje w dół, a ja prę naprzód, wymachując mieczem. Wcale nie blokuje uderzeń. Zamiast tego cofa się prosto w stronę mazi, robiąc uniki, kiedy to potrzebne. Rozpryskuje stopą maź, a ja się zatrzymuję. Wygląda zupełnie jak ja, tylko jest starsza. Wokół oczu ma drobne zmarszczki. Te same brązowo-czerwone włosy. Te same czerwone oczy od opaski.

Oddycha równo, nawet nie dostała zadyszki.

- Jesteś lepsza od ostatniej Mirandy. Jestem pod wrażeniem.

Pistolet jest na wpół zanurzony w mazi płynącej pomiędzy nami.

- Mirandy z pierwotnej grupy Alfa - mówię. - Tej, którą zabił Rhys...

Pani North wybucha śmiechem. Stoi w pobliżu dwóch pustych zbiorników w moim rzędzie. Jeden jest po Mirandzie, którą znaleźliśmy w sali operacyjnej na górze.

A drugi po...

- Nie - mówi pani North. - Tej, którą Noah wykradł i zostawił w Columbus. - Stuka palcami w pusty zbiornik. - No już, przypomnij sobie. Część wspomnień pozostawiłam nienaruszonych. Są głęboko ukryte, ale nietknięte.

Obca pamięć

- Nie. - Kręcę głową, walcząc ze sobą, by zachować spokój. Nie mogę pozwolić, żeby wspomnienie przejęło nade mną kontrolę, nie teraz.

- Tak. Przypomnij sobie. - Ścisza głos i wyowiada pod nosem sekwencję liczb. Mówi zbyt szybko, by można je było rozróżnić, ale usłyszenie ich wywołuje reakcję w moim mózgu. Kod wyciąga na powierzchnię kolejne, głęboko ukryte wspomnienie.

Nie jestem w stanie dłużej się opierać.

Przypominam sobie.



Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Otacza mnie miasto. Wysokie, nieznane budynki. Jestem w małym parku, jednym z tych mikroskopijnych, które zakłada się na pustych działkach, a potem się o nich zapomina. Przede mną stoi jakiś chłopak. Ból w jego oczach rozdziera mnie na pół.

- Nie będziesz tego rozumieć jeszcze przez jakiś czas - mówi. - Nie wiem, jak długo.

- Dlaczego mnie pamiętam? - pytam.

Ujmuje mnie za rękę i ja mu pozwalam, choć jest dla mnie obcym człowiekiem. Pociera kciukiem moje palce.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia mi wybaczysz. Staram się zapewnić ci bezpieczeństwo. To najbardziej samolubna rzecz, jaką zrobiłem. - Z jego ust wyrwa się krótki, bezradny śmiech. - Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to, ale nie potrafię.

Za mną na ulicy stoi dziewczyna z czarnymi włosami. Obserwuje nas.

- Noah, pośpiesz się - mówi.

Noah unosi palec.

- Robię to, bo cię kocham. Gdy odkryję już, jak zapewnić ci bezpieczeństwo, wrócę po ciebie. Znajdę cię. Po prostu tu zostań. Jesteś zaradna, dasz sobie radę. Tylko nie pakuj się w kłopoty, Mirando, dobrze? Nie wychylaj się.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą?

- Bo nie sądzę, żebyśmy mogli wygrać. - Podaje mi złożoną kartkę. - Tu są instrukcje. Jeśli nadal będziesz sama w dniu, który tu napisałem, zadzwoń pod ten numer. Spytaj o Petera. Tu jest wszystko, co masz powiedzieć.

Biorę od niego liścik, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Ale nie dojdzie do tego - mówi. - Przysięgam, że cię odnajdę.

Pochyliła się i całuje mnie. To odruchowe. Czy zazwyczaj całuje nieznanomych? Co on właściwie powiedział o tym, że mnie kocha? Czuję się jak we śnie.

Siadam na parkowej ławce i patrzę, jak chłopak odchodzi z dziewczyną. Nie odwracają się ani razu.

Biegnę. Nie wiem, gdzie jestem. Znajduję się w mieście z wysokimi budynkami, których nie rozpoznaję. Pada, a moje ubrania przemokły do suchej nitki. Zapadła noc, nie wiem, dokąd uciekam ani przed czym.

Chwila... Wiem. Ludzie chcą zarzucić na mnie sieci. Coś jest nie tak z moją głową. Jest za ciepła. Wydaje mi się, że mam gorączkę. Ciśnienie rośnie za moimi oczami.

Skrećam w następną uliczkę i przewracam się na kawałku mokrego kartonu. Uderzam ramieniem w śliską, ceglana ścianę i lecę do przodu, potykając się. To ślepy zaułek. Odwracam się i widzę kobietę stojącą

kilka stóp dalej. Ma piękne rude włosy i jasne oczy. Mam poczucie, jakbym ją znała.

- Mamo?
- Hej, skarbie. Co ty wyprawiasz?
- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że ktoś mnie ściga.

Mama macha do mnie ręką.

- Chodź tutaj, kochanie.

Nie pamiętam, jak się tu dostałam. Biegłam przed siebie, gonili mnie jacyś ludzie. Zza jej pleców wyłania się mężczyzna. Jego krótkie brązowe włosy błyszczą od kropli deszczu. Wygląda znajomo, zupełnie jak chłopak, którego widziałam wcześniej. Tak jak on, tylko że jest dorosły. To tak, jakbym zapadła w bardzo długi sen i obudziła się, odkrywając, że jest znacznie starszy.

Tak nie powinno być. Ktoś kazał mi uciekać, zostać na wolności. To na pewno nie jest moja mama. Imiona pojawiają się na krótko w mojej pamięci - Peter, Noah, Olive - a ja schylam się i biorę do ręki zarzewiały kawałek rury. Jest chropowata i solidna.

- Przepuście mnie - mówię.

- Mirando, pozwól nam zabrać cię do domu - odzywa się kobieta.

- Nie jesteś moją matką. Zejdź mi z drogi.

- Nie, Mirando. Odlóż rurę.

Oceniam ich możliwości, unosząc rurę nad głową. Skaczą. Zastygają z zaskoczenia. Jeszcze chwila, a ich trafię. Coś żółtego błyska na jednym z dachów otaczających zaułek. Sekundę później coś uderza mnie w pierś. Osuwam się na kolana, a potem przewracam. Rura wpada do kałuży.

- NIE! - krzyczy piskliwym głosem kobieta. - Kto strzelał? Kto strzelał?

- Jezu Chryste - komentuje mężczyzna obok niej. Słysząc trzask radia, a on mówi: - To nie było konieczne.

Leżę na brzuchu i mam wrażenie, że woda pod mną robi się coraz gorętsza i w dodatku rozlewa się. Nie mogę oddychać. Nie mogę złapać nawet jednego oddechu.

Mama klęka i odwraca mnie na plecy. Spieniona krew wypływa z rany na piersi, mieszając się z deszczem. Mama odgarnia mi włosy z twarzy. Patrzę jej w oczy, myśląc: *Proszę, pociesz mnie. Powiedz mi co to wszystko znaczy.*

- Udaje, że mówię. Równie dobrze mogłam otworzyć bezgłośnie usta.

- Wiem. Tak mi przykro, kochanie. To był wypadek.

Mój umysł w końcu ogarnia sytuację. Ten żółty rozblask na dachu to wystrzał z broni palnej. Oczywiście, że tak. Postrzelili mnie, a teraz krwawię.

- Twoja śmierć nie pójdzie na marne - ciągnie mama. - Obiecuję.

Próbuję coś powiedzieć, ale moje usta odmówiły współpracy. Mama spogląda na mężczyznę.

- Czy kolejne ciało jest już gotowe?

- Właściwie to dwa. Jedno jest właśnie przygotowywane.

- Musimy się pośpieszyć - mówi mama.

Pochyla się i całuje mnie w czoło, ale moje oczy zamykają się, zanim zdąży mnie dotknąć.

Otwieram oczy. Nade mną pali się jaskrawe białe światło. W tle słyszę jednostajne popiskiwanie jakiejś aparatury. Unoszę głowę i widzę, że jestem naga. Pamiętam wypadek w alejce, wodę, krew i napięcie w klatce piersiowej. Ale nigdzie nie widzę ran. W takim razie to musiał być koszmar. Siadam, usuwając z cia-

ła wszystkie podłączone do niego czujniki i igły. Muszę się stąd wydostać. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że to prawda.

- Spokojnie - odzywa się jakiś głos. - Rozluźnij się, Mirando.

Na stole operacyjnym po mojej lewej leży dziewczyna o kasztanowatych włosach. Jest tak samo naga jak ja, a między piersiami ma ogromną, ziejącą, czerwona dziurę. Na stole między nami spoczywa gruba, czarna obręcz z metalu z odchodzącymi od niej przewodami oraz pusta strzykawka z grubą igłą- Jak się czujesz? - pyta głos. Mama wyłania się z ciemności.

- Nie żyję - mówię; nie wiedząc, co to oznacza, ale mając świadomość, że to prawda.

Mama zatrzymuje się między dwoma stołami. Kładzie jedną dłoń na mojej nodze, a drugą na nodze martwej dziewczyny. Patrzy na jej paznokcie pomalowane na ciemnoczerwono.

Odcień jest niemal identyczny z jej włosami.

- Cholera, muszę pomalować ci paznokcie u stóp - mówi.

Wskazuję ręką na zwłoki.

- Oto, co mi się przydarzyło. Coś trafiło mnie w pierś. Ja nie żyję.

Mama kręci głową.

- Dopiero co się urodziłaś, kochanie. - Widzi, że nic nie rozumiem, i wzdycha. - Pamiętasz cokolwiek z domu?

Nie wiem nawet, gdzie to jest.

Podaje mi parę džinsów i czarny top.

- Załóż je. Nie będziesz tego pamiętać, ale musisz wrócić do domu.

Bierze strzykawkę ze stołu na kółkach. Nie jest pusta. W środku znajduje się niewielki przedmiot w kształcie pigułki. Przytrzymuje moją stopę i wbija igłę

w miękką skórę za kostką. Słyszę świst skompresowanego powietrza, a niewielka tabletką znika. Nawet jej nie poczułam.

- Oby to nie poszło na marne - mruczy, rozmawiając mi kostkę. Zniża głos prawie do szeptu. - Mam nadzieję, że trafisz sama do domu i że nie będziemy musieli interweniować. - Ściska moją kostkę po raz ostatni.

Łzy spływają mi po policzkach, ale oddycham normalnie. Wskazuję martwą dziewczynę na stole.

- To ja - mówię.

Mama wpatruje się w trupa.

- To byłaś ty - uściśla.

Otwieram oczy w terażniejszości, pomiędzy rzędami Peterów, Olive, Noahów i Mirand. Nie jestem pewna, ile czasu minęło, odkąd przeżywałam na nowo wspomnienia. Pani North ani drgnęła. Obserwuje mnie tylko.

Kładzie dłoń na pustym zbiorniku.

- Ten należał do ciebie.

Czuje, jakby krew w moich żyłach zastąpił ołów. Nie jestem Mirandą North, z którą wszyscy dorastali.

Jestem tylko skorupą z zaledwie kilkoma strzępami jej wspomnień...

Jestem niczym.

Ale to nieprawda. Peter ciągle klęczy na końcu rzędu, a wyraz jego oczu podgrzewa ołów na tyle, że znów mogę się poruszać. Mój zespół się o mnie martwi, a ja go nie zawiodę. Pamiętam, co Peter powiedział mi wtedy w łazience. Słowa wypowiedziane w przeszłości dają mi teraz siłę.

„Stworzymy nowe wspomnienia” - powiedział.

Pani North robi pojedynczy zamach mieczem.

- Tej nocy, kiedy zginęłaś, byłaś naszym pierwszym klonem. Gdy zamordowałaś Grace, zesłałam tutaj

i stworzyłam naszą pierwszą kopię. Ciebie. Wykorzystując do tego niepełną tożsamość, którą niechcący stworzył twój zidiociały chłopak, kiedy podmienił zastrzyki.

Urywa, pozwalając, by to do mnie dotarło.

- Jak powinniśmy nazywać dziewczynę na górze? - pyta.

- To bez znaczenia - odpowiadam. - I tak już jej nie ma. Tak jak wszystkiego innego powyżej pięćdziesiątego siódmego piętra.

Jeśli wywiera to na niej jakiegokolwiek wrażenie, nie daje tego po sobie poznać.

- Rozejrzyj się po tym pomieszczeniu. Możemy was zrobić całe mnóstwo.

Przeszłość nie należy już do mnie. Umarła wraz z Mirandą tamtego dnia w zaułku.

Ale przyszłość jest jak najbardziej w zasięgu mojej ręki.

Pani North schyla się, by podnieść rewolwer Rhyssa, ale robię krok naprzód i posyłam go kopniakiem w stronę Petera. Biorę zamach mieczem, ale pani North robi unik, mijając mnie z prawej strony, i skacze na równe nogi, gdy się odwracam. Znów ścieramy się w walce. Trudno powiedzieć, kto atakuje, a kto się broni. Wygląda na to, że przewiduje każdy mój ruch. Odgłos stali uderzającej z brzękiem o stal rozlega się nieprzerwanie.

Udaje jej się uniknąć poziomego cięcia, a ostrze mojego miecza wbija się w jeden ze zbiorników z Noahem. Szeroki, płaski strumień niebieskozielonego płynu wylewa się ze środka, opryskując nas obie. Nie ma żadnego zapachu. Wyrzynam miecz ze zbiornika, ale to zajmuje mi całą sekundę, co wystarcza pani North, żeby rozpruć mi kombinezon w okolicy pępka na całą stopę. Krzyczę, cofając się przez kałużę. Próbuje

dźgnąć ją w gardło, ale odrzuca głowę w tył, a ostrze przechodzi nad jej szyją i twarzą, nie czyniąc żadnej szkody. Pani North robi salto i wytrąca mi stopą bron. Drobne kości w moich palcach łamią się, a z ust znów wyrywa się okrzyk bólu. Robię krok do przodu, choć jestem wytrącona z równowagi po ciosie, a ona dokańcza salto i robi wymach, pozostawiając kolejne rozcięcie na moim policzku. Krew cieknie mi po brodzie. Pukiel moich włosów spada na ziemię.

Pani North znów atakuje, wyprowadzając cios. Robię dokładnie to, czego obie wcale się nie spodziewamy. Upuszczam miecz i obiema rękami chwytam ją za nadgarstek, wyginając ciało tak, żeby zejść z drogi cięcia. Obracam się w kółko, aż wreszcie stoimy ramie w ramie z wyciągniętymi rękami i walczymy o kontrolę nad jej mieczem. Odwraca twarz w moją stronę, a ja wbijam czoło w jej nos. Czuję, jak chrzęści ulegają zmiążdżeniu, i słyszę niski jęk wydobywający się z ust przeciwniczki. Odpycham ją na odległość ramienia. Mruga gwałtownie, próbując odzyskać wzrok. Zaczepiam stopą o jej piętę i zwalam ją z nóg. Upada na ziemię, praktycznie pływając w mazi ze zbiornika, a jej broń koziołkuje na koniec przejścia między zbiornikami. Nim udaje mi się podnieść miecz i uderzyć, kobieta odpycha się od zbiornika i rusza w stronę broni, pozostawiając wyraźny ślad w mazi. Mogłabym ją gonić, ale muszę uwolnić Petera, na wypadek gdyby mnie pokonała. Zostawienie go na jej łasce nie wchodzi w grę.

Rzucam się biegiem w jego kierunku. Nie poszczęściło mu się z więzami. Ujmuję go pod pachę i podciągam w górę, a potem schylam się, żeby podnieść pistolet Rhysa. Celuję w panią North i strzelam jeszcze trzy razy, gdy próbuje wstać. Nogi się pod nią uginają i wali się z hukiem na ziemię.

- No dalej - mówię, ciągnąc Petera wzdłuż przejścia.

Peter jęczy coś zza knebla, spoglądając na moją talię szeroko otwartymi oczami. Krew sączy się pomiędzy łusek i po moich nogach, zmieszana z mazią. Ledwie to czuję. Z drugiej strony, mój policzek płonie z bólu.

- Mirandooooo! - wrzeszczy pani North. Stoimy w przejściu. Pani North znajduje się na środku przejścia, chwiejąc się na zakrwawionej nodze i trzymając oburącz miecz. Galaretowata substancja ze zbiornika przyklepia jej włosy do twarzy. Błyszczą upiornie w jasnozielonym świetle.

- Przed prawdziwą ziemią nie ma ucieczki - mówi. Robi krok do przodu, utykając mocno. Jej prawa noga jest bezużyteczna. Nie mam pojęcia, o czym mówi. Wygląda, jakby wpadła w obłęd. - Nie uciekniecie.

Wsuwam broń za pasek i wyciągam kostkę H9. Wciskam czerwony guzik i kciukiem nastawiam licznik na dziesięć sekund. Patrzę na wszystkie zbiorniki za jej plecami, na te wszystkie bezimiennie kopie, które mogły być, lecz już nigdy nami nie zostaną.

- Zegnaj, pani North. - Podskakuję i przyklejam kostkę do łuku nad wejściem.

- NIE! - krzyczy.

Zostało osiem sekund.

Biegnę, wlokąc Petera do windy i odliczając w głowie pozostały czas. Pani North udaje się zrobić kilka kroków, nim łuk zaczyna skwierczeć i sypać iskrami. Kawałki stopionej materii spadają w dół. Chwilę później zawala się cała konstrukcja. Kamienie pękają, rozpryskują się na kawałki i zasypują podłogę. Po chwili zmieniają się w głązy. Kilka odłamków wielkości pięści wystrzeliwuje w stronę windy, mijając nas po drodze.

Ściana dymiących kamieni odgradza nas od pomieszczenia ze zbiornikami. Zza niej wydobywają się jeszcze stłumione wrzaski pani North.

Siadam, opierając się o zepsutą windę. Jęczę z bólu, jaki nagle odzywa się w całym moim ciele. Pistolet wbija mi się w żebra, więc wyciągam go. Jest całkiem mokry.

- Rhys się wścieknie, jak to zobaczy.

Peter siada obok mnie. Zaczynam rozwiązywać linkę zawiązaną wokół jego nadgarstków. Jęczy coś, a ja zrywam mu knebel i ciskam go na bok.

- Co to za Rhys? - pyta.

- Zbieg. Nieważne.

- Mam wrażenie, że sporo mnie ominęło.

- Owszem.

- Dlaczego nie jesteśmy w windzie?

- Dlatego że winda nie jedzie na żadne inne piętro prócz ostatniego, a ostatnie stoi akurat w ogniu.

- Aha.

Pył z kamieni wisi w powietrzu. Pewnie niedobrze, że go wdychamy, ale w tej chwili mało mnie to obchodzi. Opieram głowę o windę i zamykam oczy.

- Nie powiem nikomu - mówi Peter.

Uchylam powieki.

- Nie pisnę ani słowa. O tym, kim naprawdę jesteś. To właśnie chciała powiedzieć pani North, prawda? Ze nasza Miranda nie żyje.

Nie mogę się wyprzeć tego, że słuchanie, jak mówi „nasza Miranda”, sprawia, że boli mnie serce.

- Tak - potwierdzam. - Nie żyje.

- Ty jesteś naszą Mirandą. To niczego nie zmienia.

- To zmienia wszystko. - Nie mogę spojrzeć mu w oczy, jeszcze nie teraz.

Nakrywa moją dłoń swoją. Przysłuchujemy się, jak kamienie strzelają i skwierczą, ochładzając się. Siedzimy tak przez jakiś czas. Czuję na sobie mocny uścisk jego dłoni. Mogłabym tak siedzieć jeszcze długo.

- Nie dla mnie - mówi cicho Peter po chwili, która zdaje się ciągnąć godzinami.

Milczę. Pochyłam się jednak i całuję go delikatnie w usta. Nagle ból w moim podbrzuszu staje się zbyt intensywny, więc znów opieram się plecami o windę.

- Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz.

- Ty zrobiłbyś to samo dla mnie. Dla każdego z nas.

Mijają minuty. Kamienie w końcu ostygły, przestając wydawać z siebie jakiegokolwiek dźwięki.

Wtedy Peter dostrzega w podłodze pokrywę wjazdu.

- Wygląda na to, że jeszcze trochę pożyjemy - mówi.

- Chyba tak.

Uśmiecha się jednak i ja również. Przeżycie kolejnego dnia nie wygląda tak źle. Nie, jeśli zrobię to z nim.

Wykrwawiam się pod windą, podczas gdy Peter podważa pokrywę pistoletem Rhysa. Niewielką duszną przestrzeń wypełnia smrodliwe powietrze. Można je nazwać zapachem wolności.

Peter spogląda w dół w ciemność, a potem patrzy na mnie.

- Panie przodem.

Ściek to kolejny koszmar, ale w naszej sytuacji całkiem mile widziany. Przeciskamy się z trudem przez tunel biegnący pod miastem. Po kilkuset metrach natykamy się na drabinę, która prowadzi na powierzchnię. Zaczepiam się o nią i wyciągam Petera, krzywiąc się z bólu pulsującego w ranie.

Znajdujemy się obok wieży. Wygląda jak olbrzymia świeczka na urodzinowym torcie. Jak pochodnia płonąca w nocy i prowadząca bezpiecznie do domu. Jesteśmy sami na ulicy, ale tylko na krótko.

Po chwili zjawia się Rhys z Noahem i drugą Mirandą. Noah rzuca mi mordercze spojrzenie, a ja wcale mu się nie dziwię, biorąc pod uwagę fakt, że niecałe dwadzieścia minut temu przydusiłam go tak, że stracił przytomność. Mimo to cieszy się na mój widok. Rhys ignoruje nas, obserwując najbliższą okolicę.

- Miło znów cię widzieć, Peter - mówi Noah oschłym tonem.

Peter zanosi się śmiechem, a potem kiwa głową w podziękowaniu i ściska Noaha.

- Fuj! - krzywi się Noah, odpychając go od siebie.
- Śmierdzisz gównem. - Kładzie rękę na ramieniu drugiej Mirandy. - Hmm, jest tu ktoś, z kim chciałbym cię poznać.

Peter wpatruje się w drugą Mirandę.

- Witaj - mówi. Jest trochę wystraszona. Ja bym była na jej miejscu.

- Gdzie jest Olive? - pyta Peter.

Wbijamy wzrok w ziemię. Znów uwiera mnie ta chęć, żeby nie stać w miejscu, żeby poszukać sobie jakiegoś ciemnego kąta.

- Było źle? - pyta Noaha, ocierając oczy.

- Nie - mówi druga Miranda. - Trwało krótko.

Rhys wyciąga dłoń w moją stronę.

- Co z moją bronią?

Na pierwszy rzut oka widać, że nie znosi przebywać na otwartej przestrzeni, ale zasłużyliśmy sobie na tę chwilę.

Upuszczam pokryty mazią pistolet na jego rękę.

- Ohyda - odpowiada tak bezbarwnym tonem, że parskam śmiechem. Unosi w górę jedną brew. - A miecz?

- Wydaje mi się, że chyba go zatrzymam.

Wzdycha, obejmuje mnie za ramię, a potem odwraca się twarzą w stronę płonącej wieży. Pożar powoli słabnie, nie docierając na dolne piętra. Wkrótce Peter podchodzi i otacza mnie ręką z drugiej strony.

- Jestem Peter.

- Miło cię poznać - mówi Rhys.

Noah staje przed nami wszystkimi.

- Zmywamy się stąd?

Ulice wokół nas są ciche, ale nie na długo.

Znikamy w ciemnościach. Biegniemy ulicami, unikając całej masy opancerzonych pojazdów. Wszystkie zacierają się w tę samą stronę. W połowie drogi do domu każę nam zatrzymać się w pobliżu skrzyżowania. Widok stąd, na ulicy biegnącej prosto ku wieży, jest wręcz idealny. Panuje taka cisza, że słyszę kliknięcie żarówek podczas zmiany świateł ulicznej sygnalizacji.

Razem patrzymy, jak pożar gaśnie.

Potrzeba tygodni, żeby miasto doszło do siebie. Nikt nie wie, co się właściwie stało. Najbardziej zagadkowy będzie pożar na szczycie Key Tower. Surowe twarze w wiadomościach pytają: „Czy te wydarzenia są ze sobą połączone? Co takiego znajdowało się na ostatnim piętrze?”. Jest tam szyb windy prowadzącej do podziemi, ale został zablokowany dużą ilością materiału, a żadna maszyna nie ma odpowiednich rozmiarów, żeby zejść tam i go odkopać. Podsumowując, jest sześćset dwanaście ofiar śmiertelnych. Wiele z nich zostało stratowanych. Część umarła z powodu ataków serca. Pokazują ciała w wiadomościach. Karetki pogotowia, ochotnicy i ludzie w żółtych kurtkach zalewają

miasto, przeczesując najpierw ulice, a potem zaułki i budynki w poszukiwaniu ciał. Zawsze otaczają ich żołnierze Gwardii Narodowej, z bronią gotową do strzału. Dwadzieścia dziewięć osób utonęło w jeziorze Erie. Ciała są już zwożone z ulic. Każdy człowiek w mieście nosi niebieską maskę zakrywającą usta i nos ze strachu, że cokolwiek spowodowało tę manię, mogło unosić się w powietrzu.

Gdybyśmy zostali zmuszeni do udziału W tym zdarzeniu, mogłoby być o wiele gorzej. Dobrze, że udało nam się powstrzymać test.

Dziwne jednak, że nie czujemy się, jakbyśmy odnieśli zwycięstwo.

Nasza piątka zatrzymuje się u Rhysa, gdzie mamy teraz swój nowy dom. Dostałam własny pokój. Peter i Noah dzielą jeden na spółkę. Druga Miranda - którą Rhys nazywa Sequelem - śpi gdzie popadnie. Walczymy o to, kto pierwszy skorzysta z prysznicza. To dobry rodzaj walki. Miło jest choć raz martwić się o głupie, bezsensowne rzeczy. Chłopcy zachowują wobec siebie dystans, ale nie do końca. Staramy się przywyknąć do drugiej Mirandy, a ona stara się znaleźć sobie miejsce w naszej grupie.

Okazuje się, że to trudne. Ona jest mną. I nie wiem, w jak dużym stopniu jesteśmy takie same. Prowadzimy zupełnie inne życie. Mamy inne opinie na temat różnych rzeczy. Czy to wystarcza, że ja lubię cebulę, a ona jej nie znosi? Czy to wystarczy, że zacznę się kłócić z Rhysem lub Noahem, a ona odegra rolę mediatora? Czas mija, a ja mam nadzieję, że każda z nas rozwinie się w innym kierunku. Będę mogła żyć bez poczucia, że ktoś może mnie zabić i nikt się o tym nie dowie. Ta druga wersja, druga Miranda, może zajmując moje miejsce i przejąć mizerną tożsamość, którą staram się budować każdego dnia. Na szczęście czer-

wona blizna na moim policzku sprawia, że łatwo nas rozróżnić.

Pamięta niektóre rzeczy, które i ja pamiętam, tak jak wspomnienie o tym, że Noah zostawił ją na ławce w parku. Dzięki Bogu pamięć o pierwotnej, umierającej Mirandzie robi się coraz bardziej niewyraźna, jak senny koszmar. Tak jak w moim przypadku, wspomnienia wracają u niej stopniowo.

Wspomnienia, które nie należą do żadnej z nas. Oficjalne wytłumaczenie jest takie, że w którymś momencie twórcy musieli przejąć nade mną kontrolę i przenieśli moją tożsamość do kopii zapasowej. Potem mnie uwolnili, wiedząc, że zaprowadzę ich do reszty zespołu Alfa. Oczywiście prawda jest o wiele bardziej skomplikowana.

Nie rozmawiamy ze sobą zbyt dużo, bo me możemy na siebie patrzeć dłużej niż kilka sekund. Z Grace było inaczej. Nie była mną, choć wyglądałyśmy tak samo. Jednak widok Sequela przypomina mi, skąd się wzięłam. Ze zbiornika. Urodzona jeszcze tego samego lata.

Któregoś dnia przychodzi do mnie, gdy jestem w łazience.

- Nadal to widzisz? - pyta.

Zastygam w bezruchu.

- Co?

- Każdej nocy budzę się w zaułku i czuję, jak wycieka ze mnie krew. Przysięgam, że to prawdziwe. - Przechyliła głowę. Kasztanowate włosy zakrywają jej oczy.

Ja mam te same koszmary. Powoli unoszę dłoń i kładę jej na ramieniu.

- To tylko koszmar. Czasami... trudno odróżnić jawę od snu. - Nie chcę kłamać, ale nie mogę powiedzieć pozostałym, kim tak naprawdę jestem. Jeszcze

nie teraz. To by zniszczyło Noaha, gdyby dowiedział się, że jego próba ocalenia pierwszej Mirandy zakończyła się jej śmiercią.

Peter wie. Dochowa mojej tajemnicy.

- Nie jesteśmy tamtą dziewczyną - mówię.

- W takim razie kim?

Uśmiecham się do niej i czuję się z tym dobrze. To prawdziwy uśmiech.

- To właśnie urok tego... że dopiero to odkrywamy.

Po chwili odwzajemnia uśmiech. Który zaraz blednie.

- Pozostali są...

- Traktują cię inaczej, wiem. - Urywam, szukając odpowiednich słów. - Przeszłam już przez to wszystko - nadal przechodzę. Czujesz to w środku, prawda? Ta pustka... zapełni się. Obiecuję. To po prostu wymaga czasu. - Moje uczucie pustki nie znikło tak do końca, ale to w niczym by jej nie pomogło. Obietnica jest zarówno dla mnie, jak i dla niej.

- Czy między nami kiedykolwiek będzie normalnie?

Normalnie. Chciałabym. Sequel w niczym nie ułatwia mi zrozumienia własnej egzystencji. Ale każdego dnia sytuacja się poprawia. Każdego dnia stajemy się coraz bardziej sobą.

- Będzie normalnie - mówię. - Przyrzekam.

Sequel kiwa głową i nagle wychodzi. Słyszę, jak zamykają się za nią drzwi. Domyślam się, że płacze, bo sama czuję się tak, jakbym miała zaraz zacząć szlochać.

Od czasu do czasu wyglądamy przez wielkie okno, obserwując, jak miasto wraca do normy. Ulice są obstawione i czujne. Helikoptery krążą nad głowami przez cały czas. Gwardia Narodowa patroluje okolicę w

maskach przeciwigazowych. Naukowcy wymyślają nowe teorie w telewizji. Przywódcy kilku odłamów religijnych ogłaszają, że koniec świata jest bliski.

Na ulicach nadal panuje strach, nawet jeśli to nie my jesteśmy jego przyczyną.

Przyglądamy się. Czekamy. Trenujemy, odbywamy sparingi i utrzymujemy się w formie. Przyjmujemy zastrzyki na pamięć. Sequel przypomina sobie rzeczy związane z Noahem podczas snu i wymawia jego imię. Noah przychodzi wtedy do pokoju, nie wiedząc, kto go wołał. Stoi z ustami otwartymi ze zdziwienia, dopóki Sequel nie wytłumaczy mu, że to tylko koszmar. Nie mogę się zdecydować, aby mu wyznać, że gdyby nie on, nadal rośląbym w zbiorniku. Nie mogę nic zdradzić, bo z powodu jego czynów Miranda, którą kochał, umarła w zaułku, wykrwawiając się na deszczu.

Którejś nocy Peter i ja idziemy wyrzucić śmieci. Rozpoznaję napięcie w jego ramionach. Opancerzony pojazd toczy się ulicą. Artylerzysta z tyłu kiwa do nas głową, a my odwzajemniamy gest.

- Co się stało? - pytam.

Rzuca czarny worek na stertę śmieci. Spogląda w pochmurne niebo. Wokół nas rozpryskuje się kilka pierwszych kropeł deszczu.

- Nic - mówi.

- Peter... - nalegam.

Wybucha śmiechem.

- Masz rację. Jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć.

Uśmiecham się, odciągając w czasie to, co nieuniknione.

- Wiesz, wydaje mi się, że Sequel cię lubi - mówię.

- Lubi Rhysa - stwierdza Peter rzeczowym tonem.

- I to nie Sequel uratowała mnie przed panią North.

Czekam. Peter wpatruje się we mnie, a ja w niego. Wiatr porusza jego włosami, ale reszta ciała pozostaje nieruchoma.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Podchodzę do niego, zmniejszając dystans między nami, aż w końcu spoglądam w jego oczy. Wspinam się na palce, a on całuje mnie czule. Osuwam się na pięty, ale jego usta nie przestają dotykać moich.

Całuje mnie tak, jak robił to wcześniej - delikatnie na początku, później coraz mocniej. Kolejny raz cieszę się, że udało nam się uciec z wieży. Zaczynam sobie uświadamiać, że moje życie nie musi koncentrować się wyłącznie na poszukiwaniu tożsamości czy też jej braku. Jeśli skupię się na drobiazgach, nawet tych ulotnych, staną się moją własnością. Nikt nie doświadczy ich w taki sposób, w jaki tylko ja mogę to zrobić.

Znajduję rąbek jego koszulki i ściągam mu ją przez głowę. Nasze usta rozdzielają się na sekundę, która jest potrzebna do tego, by przeszedł między nimi materiał. Peter rzuca ją na stertę śmieci. Jego zegarek zaczyna piszczeć. Spogląda na niego, marszcząc brwi.

- Czas na zastrzyki, co? - pytam ochryplym głosem.

- Tak - mówi, a zmarszczka między jego brwiami wygładza się. - Nie chciałbym tego zapomnieć.

Bierze koszulkę, otrzepuje ją i zakłada.

- Możliwe, że będę tu wieczorem, żeby popatrzeć na gwiazdy - dodaje.

- Lubię gwiazdy.

Obejmuje mnie w pół. Razem wracamy do środka, żeby wziąć zastrzyki.

Któregoś dnia pod koniec lata, gdy pozostali udają się na rekonesans, biorę opaskę ze sobą do łazienki i zamykam drzwi. Nazwijcie mnie paranoiczką, ale tego lata uzbierało się mnóstwo wspaniałych momentów,

których nie chcę stracić. Zeszłej nocy „pożyczyliśmy” czyjaś łódź i udaliśmy się na wędkowanie na jeziorze w świetle księżyca. Wspaniale było to, że choć na chwilę udało mi się zapomnieć o ludziach, którzy nas uwięzili i chcieli zabić. To wspomnienie zostaje więc przeniesione do maszyny na wypadek, gdybym znów zapomniała.

Zamykam klapę sedesu i siadam na nim, przekładając opaskę przez oczy. Macam palcami metalową powierzchnię w poszukiwaniu niewielkiego przycisku umożliwiającego kopiowanie. Ból jest teraz krótki, niemal do zignorowania, gdy mikroskopijne igły wbijają się w czaszkę. Wracając myślami do tej chwili, kiedy woda przypominała ciemne szkło, przygotowuję się do przekazania wspomnienia maszynie. Jednak zamiast tego urządzenie decyduje się przekazać jedno ze wspomnień w moim kierunku. Pozostawiła je po sobie pani North.

Jazda windą jest najdłuższą w moim życiu. Nigdy wcześniej mnie do siebie nie wezwała, nie w ten sposób, nie bez wcześniejszego powiadomienia. Nie mogę przestać myśleć, że po latach czekania właśnie zbliża się ten moment. W końcu zostanę powołana do służby. Notuję sobie w duchu, żeby zapisać później to wspomnienie, żeby pozostali mogli usłyszeć, jak słowa wychodzą z jej ust, a nie z moich. Splatam trzęsące się dłonie za plecami. Drzwi windy rozsuwają się, a ja wchodzę do jej gabinetu. Szklane ściany tworzą piramidę, ale kazała zostawić je przyciemnione. Na tle lewego panelu słońce wygląda jak mała marmurowa kulka.

Siedzi za biurkiem. To jedyny mebel w tym pokoju. Bez spoglądania znad dokumentów przywołuje mnie gestem. Idę po pluszowym dywanie i klękam

przy jej biurku, nawet jeśli czuję się z tym głupio. Tutaj sprawy rządzą się innymi prawami.

- Wstań - mówi.

Robię, co każe.

Ma na sobie łuskowaną zbroję, ale złotą, nie czarną jak moja. Jej łuski lśnią jak lusterka. Włosy nie utraciły jeszcze tego złocistoczerwonego połysku, wyglądają więc tak jak moje. Twarz nadal przypomina oblicze siedemnastolatki, zupełnie jak u Mirandy, którą wychowuję jako swoją córkę. Muszę się jej wydawać stara, bardzo stara. Przygląda mi się młodzieńczymi oczami, które widziały więcej, niż jestem sobie w stanie wyobrazić. Być może, jeśli uda mi się ją zadowolić, któregoś dnia ja również będę mogła to zobaczyć.

- Wezwałam cię, ponieważ chciałabym dowiedzieć się więcej o twoim rozwoju. I to od ciebie. Czy wszystko przebiega zgodnie z planem?

- Tak - mówię od razu. - Co prawda mogą wystąpić małe komplikacje, ale pani test zostanie przeprowadzony w planowanym czasie.

- Jakie komplikacje masz na myśli?

- Nic, czym należałoby się martwić. Wydaje mi się, że Rhys jest podejrzliwie nastawiony do prawdziwego przeznaczenia Róż i być może zechce zbadać to na własną rękę, jeśli pozostawimy go bez nadzoru. Powinniśmy usunąć go z zespołu Alfa.

- To bardzo smutne, co mówisz. Rób, co uważasz za konieczne.

Znów skupia uwagę na dokumentach. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy właśnie zostałam odprawiona, czy nie, ale nie chcę ryzykować odwrócenia się do niej plecami bez pozwolenia. Ta kobieta jest moją prawdziwą matką, źródłem pochodzenia wszystkich klonów Mirandy, mojej własnej krwi, a mimo to spr-

wia, że czuję się jak karaluch. Jak ktoś nieistotny, szkodnik, którego miażdży się butem.

Mój umysł zapuszcza się w mroczne rejony w miarę upływu sekund, a pragnienie zobaczenia jej nowej brom jest obezwładniająca. Czekam. Zasłużyłam na to, żeby ich zobaczyć.

Udaje mi się wykrzesać z siebie trochę odwagi i spytać:

- Mogę ich zobaczyć?

- Ich? - pyta, widocznie zaskoczona faktem, że nadal tu jestem.

- Pani... Tych, którzy będą pracować oprócz Róż. Tych, którzy podbijają nasz świat.

Uśmiecha się.

- Boisz się wypowiedzieć ich imiona? Boisz się, że cię usłyszą?

Potwory mają imiona, ale jeśli o nich pomyślisz, usłyszą cię. A ja tego nie chcę.

- Tak. Odrobinę.

Wygląda na to, że zamiast rozczarować, zdołałam ją rozbawić.

- Nie chciałabym, żeby koszmary zaczęły prześladować cię we śnie.

- Dziękuję.

Odprawia mnie wtedy, ale musi wyczuwać mój zawód, bo woła za mną:

- Bądź cierpliwa. Wkrótce ich zobaczysz, tak jak wszyscy na świecie.

Zdejmuję opaskę i kładę ją na kolanach. Drzwi mieszkania otwierają się. Słyszę, jak czwórka ludzi wchodzi do środka, zrzuca buty, otwiera szalki i śmieje się z czyjegoś żartu.

Dwa lata. Oto, jak stare jest to wspomnienie. Minęło tyle czasu.

Pani North ma swojego własnego twórcę. Istnieją potwory, które faktycznie podbija świat. Potwory o imionach, które nawet pani North boi się wypowiedzieć.

Spoglądam w dół na swoje dłonie trzymające opaskę i zastanawiam się, z *czym* mój zespół będzie musiał się zmierzyć w przyszłości. Zastanawiam się, co może wzbudzić strach w sercu tak czarnym jak u pani North.

Potem uświadamiam sobie, że to bez znaczenia. Cokolwiek to jest, przejdziemy przez to razem.

KONIEC

Podziękowania

Dziękuję:

Adamowi Lastorii za przeczytanie moich wcześniejszych powieści i niepsioczenie na ich temat. I za pożyczenie mi nie tak dawno tej książki, która sprawiła, że moja miłość związana z czytaniem znów rozkwitła.

Suzie Townsend za wszystko. Może to głupie, ale oboje wiemy, że to prawda. Dziękuję ci za wszystko. Ta książka powstała dlatego, że nie zrezygnowałaś ani z mej, ani ze mnie.

Janet Reid. Z tobą u boku czuję, że mogę zrobić wszystko. Dzięki za przekąski i wodę. Dzięki za QueryShark.

Obca pamięć

Catherine Onder za pokazanie mi prawdziwego potencjału książki. I za bycie wszechstronnym mistrzem. Oraz Hayley Wagreich, jej nieustrudzonej asystentce.

Moim rodzicom, całej czwórce, za wychowanie mnie w przekonaniu, że mogę dokonać wszystkiego, do czego się przyłożę. I, no wiecie, za utrzymanie mnie przy życiu.

Adamowi Grisakowi za wsparcie medyczne.

Lastorii BP za dziewięć i pół roku. To tam wymyślałem swoje historie. I dostawałem pieniądze za przeczytanie kilkuset książek. Wybacz, Don.

Ekipie EB Games z Randall: Mike'owi, Rashadowi i Aaronowi. Za wszystkie rozmowy. Oraz ekipie EB Stów, w szczególności Willowi Lyle'owi za dzielenie ze mną marzeń.

Joannie Volpe, Meredith Barnes i Sarze Kendall za czytanie wstępnego maszynopisu i pomoc w odnalezieniu mojej wewnętrznej nastolatki. Brookswi Shermanowi, który co prawda nie pomógł mi w odnalezieniu mojej wewnętrznej nastolatki, ale zrobił mnóstwo innych rzeczy.

Seanowi Ferrelowi i Jeffowi Somersowi za bycie moimi mentorami. Serio.

Joshowi Bazellowi za inspirację. Suzanne Collins za to samo.

Oraz wszystkim w Disney Hyperion za pomoc w stworzeniu książki, z której jestem dumny. Po dziewięciu latach nalewania benzyn na stacji paliw w celu uzyskania środków na skończenie studiów DAN KRO-KO, lat dwadzieścia sześć, został pisarzem na pełen etat. Uwielbia oglądać telewizję grać na komputerze i pić kawę. Obecnie pracuje nad kolejną książką o przygodach Mirandy.